Fred Roberts
(Robert Heymann)

W szponach stepowych wilków

(Gefangene der Buschwölfe)

Wyd. przedwojenne: Lwów : A. Bardach, 1938
Wyd. powojenne: Glob, 1990
Tłumaczenie: Seweryn Krzemieński

I

Glen Robles nie śpiesząc się wyszedł z knajpy, w której unosiły się jeszcze dwie wąskie smugi dymu. Właśnie przed chwilą, padły tam dwa strzały. Wewnątrz panował mrok. Tylko z trudem można było rozeznać twarze gości, wśród których znajdowała się również młoda dziewczyna. Na ubitej z gliny podłodze leżał trup.

Koń Glena stał uwiązany na dworze. Glen Robles rozpętał go, wskoczył na siodło i odjechał. Teraz dopiero z saloonu Raleighsa wybiegło jakieś pół tuzina mężczyzn, którzy poczęli strzelać na oślep. Kilku z nich spiesznie kulbaczyło przebierające kopytami konie. Strzelanina wywołała olbrzymi zamęt. Wszystko to działo się bowiem jeszcze wczesnym wieczorem i na ulicach miasta widać było wszędzie ludzi. Na odgłos strzałów kobiety i mężczyźni schronili się w domostwach. Tymczasem strzelający dosiedli koni i pognali galopem za Glenem.

Ze swej siedziby, gdzie odbywała się właśnie narada, wyszedł szeryf z kilkoma ranczerami i kowbojami, by stwierdzić, co się stało.

Zabójca jechał beztrosko spokojnym kłusem głównymi ulicami miasta i dopiero gdy jakiś jeździec usiłował zabiec mu w poprzek drogę, spiął konia ostrogami. Zanim nacierający zdołał się spostrzec, kasztan Glena najechał nań z taką siłą, że koń i jeździec zagradzający drogę przewalili się na ziemię.

Ciszę wieczoru przeszyły znowu strzały. Jeźdźcy ścigający Glena nie dawali za wygraną. Tymczasem zbieg przesadził ostatnie rowy i znalazł się w szczerym polu. Teraz dopiero, w pełnym biegu, kasztan Glena okazał się niezrównany. Prześladowcy nie mogli długo wytrwać w tym szaleńczym galopie — gdy Glen dotarł do leśnej gęstwiny, pościg pozostał daleko w tyle.

Na wschód od miasta rozpościerały się poszyte lasem wzgórza. Droga wspinała się. tu stromo pod górę. Nie stanowiło to jednak dla wierzchowca żadnej poważniejszej przeszkody. Wkrótce też Glen znikł zupełnie z oczu swym prześladowcom. Między miasteczkiem a niknącymi w dali górami narastała jak mur nieprzenikniona ciemność.

Szeryf Bellowes naradzał się właśnie z ranczerami, w jaki sposób zapobiec stale powtarzającym się napadom i zbrodniom „Stepowych Wilków”. Rozprawiano gorąco, gdyż dopiero przed niespełna tygodniem zamordowano w pobliżu miasteczka człowieka i w biały dzień splądrowano duży transport. Niedawno nawet „Stepowe Wilki”, posunęły swą zuchwałość do tego stopnia, że — mimo silnej eskorty — zaatakowały dyliżans pocztowy. Rozgorzała walka, która — jakkolwiek nierozstrzygnięta — kosztowała obie strony wielu zabitych. Cóż więc dziwnego, że szeryf Bellowes pienił się teraz ze złości, a ludzie jego gotowi byli zlinczować zbiega na najbliższym drzewie, gdyby tylko udało im się dostać go w swe ręce.

Jeźdźcy, którzy powrócili z bezskutecznego pościgu, wraz z kilku naocznymi świadkami zajścia poczęli teraz opisywać szeryfowi cały przebieg zdarzeń. Ich relacje nie były dla nikogo niczym nowym — tym razem rzecz miała się następująco.

Jakiś młody człowiek stał spokojnie przy barze w saloonie Raleighsa i popijał swą whisky. Człowiek ten — jak się później okazało — nie miał przy sobie żadnych dokumentów, ale młoda, dania, która była w jego towarzystwie i podawała się za jego siostrę, udzieliła wyjaśnień. Nazywał się Tommy Farley — jego siostra zaś June była córką pastora w White Hill. Nagle otwarły się drzwi i do saloonu Raleighsa wszedł obcy facet. Młodzieniec odwrócił się, a świadkowie zajścia zdołali dostrzec, że nowy przybysz odbezpieczył natychmiast rewolwer. Padł strzał. Gdy obecni ocknęli się z osłupienia, Tommy Farley leżał już na ziemi nieżywy, a zabójca rzucił się do ucieczki.

Szeryf Bellowes zaklął. Ilekroć dochodziło do jakiejś strzelaniny, zawsze zaczynała się w knajpie Raleighsa. Szeryf nie mógł jej zamknąć — jak dotąd, brak było po temu prawnych podstaw. Nie mógł też wdawać się w dochodzenia, zanim nie ujął człowieka, który ośmielił się zakłócić spokój miasteczka.

Ale mógł zrobić jedno: pojmać drania, który bez jakiegokolwiek powodu zastrzelił człowieka. Musiał to zrobić, by pokazać tym „Stepowym Wilkom”, że w jego dystrykcie nie można bezkarnie naigrywać się z prawa.

Bellowes wydał krótkie zarządzenia. Następnie szybko zaprzysiągł obecnych, a po pięciu minutach czternastu jeźdźców dosiadło koni i pognało pod wodzą szeryfa w gruchą noc.

Nie był to pierwszy pościg, jaki prowadził Bellowes. Szeryf był doświadczonym człowiekiem. Nie lękał się ani wymiany kul, ani kryjącej się w zasadzkach hałastry rewolwerowców. Chciał teraz pokazać „Stepowym Wilkom”, że w jego rewirze nie ma dla nich miejsca.

Na niebie zza chmur wyłonił się księżyc, oświetlając swymi promieniami szeroką równinę, która rozpościerała się między miastem a górami. Ułatwiało to pościg. Dystans dzielący zbiega od jego prześladowców nie był zbyt wielki. Glen nie zamierzał też zeń bynajmniej skorzystać. Zatrzymał konia na otoczonej jodłami polanie. Spojrzał ku dolinie. Na horyzoncie widniały światła pobliskiego, kipiącego teraz wzburzeniem miasteczka. Widział dokładnie kontury domostw, a w przeświecającym gdzieniegdzie świetle latarń — tu i ówdzie nawet mury.

Ktoś, kto by w tej chwili patrzył na Glena Roblesa mógłby przysiąc, że urodził się on w siodle. Pochylony nieco do przodu wydawał się być niższy niż w rzeczywistości. Tworzył z nachylonym łbem konia wspaniale harmonijną linię. Rumak potrząsał niespokojnie swą ciężką grzywą, lecz Glen pozostał nieporuszony jak posąg. Jego proste, jakby tylko z grubsza ociosane oblicze wykazywało nadzwyczajne opanowanie. Brązową twarz Glena błyszczała teraz w mdłym blasku gwiazd. Jasne oczy patrzyły spokojnie, a równy miarowy oddech znamionował pewność siebie. Mocno zarysowany wykrój ust, wystający nos, kanciasty podbródek, wąskie, lecz silne dłonie i muskularne ciało stanowiły tryskającą zdrowiem i siłą całość.

Glen próbował już w życiu różnych zawodów. Był kowbojem, myśliwym i poszukiwaczem złota. Samotność lasów i nieskończona dal prerii wyryły na jego jasnym i czystym obliczu niezatarte ślady.

Koń zaczął parskać, ale Glen uspokoił go. Niewzruszony patrzył na dolinę zalaną księżycową, poświatą. Jeźdźcy ścigający Glena Roblesa jechali szeroką tyralierą, którą rozciągali coraz bardziej w miarę zbliżania się ku wzgórzom. Tworzyli teraz jak gdyby cieniutki, żywy łańcuch. Taktyka ta miała uniemożliwić Glenowi ukrycie się wśród rosnących na równinie krzewów. Jechali wedle z góry określonego planu. Rozczepiając front coraz bardziej, oddzielili wreszcie od środka prawe i lewe skrzydło. Oba te skrzydła, na które składało się trzech do czterech ludzi, zatoczyły długie łuki

Plan był dobrze obmyślany. Gdyby Glenowi nawet udało się wyzyskać dzielącą go od. przeciwników odległość, nie mógłby ujść prześladowcom. Układ topograficzny był bowiem tego rodzaju, że uniemożliwiał Glenowi zejście w bok. Południowy stok wzgórza opadał stromo w dół. Przedostać się do leżącej w dole równiny można było tylko przy zachowaniu największych środków ostrożności i jadąc bardzo powolnym krokiem. Stok północny był jeszcze bardziej niedostępny. Od ciągnącego się opodal górskiego łańcucha oddzielał wzgórze potężny kocioł. Chcąc uciekać na północ, Glen musiałby pozostawić konia. Przedostanie się poprzez głęboki kocioł w górskim masywie wymagało niebezpiecznej wspinaczki. Nawet wytrawny alpinista nie mógłby pokonać tej przepaści nie narażając życia. Ściana opadała w tym miejscu niemal zupełnie pionowo. Zresztą — gdyby Roblesowi udał się nawet ten karkołomny wyczyn, musiałby znowu wdrapywać się z mozołem na następny, oddzielony kotliną masyw skalny. Zanim Glen zdołałby sforsować południowy czy północny stok wzgórza, oba skrzydła obławy zdążyłyby zablokować zejścia. Wszędzie, dokądkolwiek by się skierował, czekali na niego ludzie szeryfa.

Glen rozważył dokładnie całą beznadziejność sytuacji. Nagłym uciskiem ud zmusił swego konia, by skrył się głębiej, tak żeby z dołu nie można było go dostrzec.

Szeryf Bellowes był pewny sukcesu. Nie przypuszczał, aby zbieg mógł mieć gdzieś w pobliżu swych pomocników — zresztą, gdyby nawet tak było, to Bellowes gotów był wszcząć walkę, która wobec przewagi pościgu skończyłaby się pogromem bandytów.

Jak dotąd nie padł ani jeden strzał. Ludzie szeryfa w doskonałym porządku realizowali plan okrążenia zbiega. Bellowes był pewny, że rewolwerowiec utknął w potrzasku...

Jeźdźcy dotarli wreszcie do podnóża góry. Rozdzielili się znowu, by wzmocnić obie grupy pilnujące zejść.

Glen zsiadł z konia, wziął go za uzdę i zaczął teraz z wolna i ostrożnie zstępować w dół. Skierował swe kroki tam właśnie, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowali się jego prześladowcy. Nie śpieszył się. Jeźdźcy mogli w każdej chwili zawrócić albo zostawić tam wartę. Krok za krokiem zstępował stromą i wijącą się ścieżką. Starał się wymijać każdy niemal kamień, drżąc, by jakiś staczający się głaz nie zwrócił uwagi czatujących.

Tak dotarł do podnóża stoku. Wokół nie widać było nic podejrzanego. Kiedy jednak wydostał się na równinę, dostrzegł przed sobą sylwetkę jeźdźca. Koń wartownika — widać narowisty z natury — przebierał nogami, i prychał, a poczuwszy kasztanka zaczął parskać jeszcze bardziej. Kowboj zajęty w zupełności okiełznywaniem niesfornego zwierzęcia nie zwrócił

jednak na to zupełnie uwagi i nie starał się dociec przyczyn wzrastającego niepokoju swego rumaka.

Glen cicho dobył kolta. Jego kasztan począł tymczasem skubać chudą trawę.

— Kto tu? — zawołał jeździec dosłyszawszy wreszcie jakieś podejrzane szmery.

Było już jednak za późno. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, lecz poczuł, jak ż boku obejmują go czyjeś ramiona w stalowym uścisku. Nie zdążywszy wyjąć rewolweru, zleciał z siodła i nim zrozumiał przez kogo został napadnięty — kolano Glena przygniotło mu piersi, a przed oczyma zaczerniała lufa rewolweru.

— Ani słowa! — szepnął Glen. — Jeden nich, a zabiję cię!

Człowiek obezwładniony przez Glena był zbyt przerażony, by powziąć jakąś decyzję. Próbował się wprawdzie opierać, ale lasso Glena oplotło się szybko wokoło jego ramion, a po Chwili poczuł również, że i nogi krępują mu pęta. Glen związał go tak mocno, że pojmany nie mógł się nawet poruszyć.

— Znam cię — szepnął Glen do ucha przeciwnikowi.

— Znam cię dobrze, Shepherd! Jesteś obskurnym leniem i oszczercą, byłeś już od dawna do niczego jako kowboj. Pracowaliśmy kiedyś razem, nieprawdaż? Co? Zanim udałem się znowu na północ! Ale skąd ty w pościgowej drużynie? Shepherd strażnikiem wymiaru sprawiedliwości? To niezły dowcip! Ho! Ho!

Glen zaśmiał się cicho. Shepherd zaczął się teraz zastanawiać. Był wściekły na siebie, że dał się tak haniebnie podejść.

— Chcesz mnie zabić? — zasyczał.

— Bynajmniej — odparł Glen. — Pozostawiam to światłej wyrozumiałości szeryfa! No, a teraz, chociaż mi przykro, muszę się obejść z tobą trochę niegrzecznie.

To mówiąc uniósł go w górę jak worek pakuł i cisnął między gałęzie znajdujących się opodal krzewów.

— Nie martw się! — dodał, gdy Shepherd upadł głucho na ziemię. — Pozostawię jakąś wiadomość, by cię mogli odnaleźć!

— Damned! — zawarczał Shepherd. — Odpłacę ci się jeszcze z nawiązką, Glen! Niech mnie diabli porwą, jeśli tego nie zrobię!

— Obawiam się, że tak czy owak nawiedzi cię kiedyś szatan! Nie martwi mnie to jednak bardzo!

— Umrę tu z głodu — stękał pojmany.

— No, jakiś czas wytrzymasz, nie umiera się tak od razu —odparł Glen.

— I z pragnienia! — ciągnął Shepherd płaczliwym tonem, nie zważając na ironiczne słowa Glena. Rzucał wściekłe spojrzenia w stronę swego oprawcy.

— Szeryf chyba powróci tu niebawem — powiedział Glen, próbując raz jeszcze czy więzy są mocne.

— Będę tak głośno krzyczał, że będzie mnie słychać na całe mile! — pienił się Shepherd nie mogąc poskromić swej wściekłości.

— Nie martw się — odparł spokojnie Glen — już ja się postaram, by nie stało się po twojej myśli! Przykro mi, ale koliduje to nieco z mym planem!

Szybkim ruchem zerwał Shepherdowi chustę uwiązaną na jego szyi, zwinął ją w kłębek i wetknął mu w usta.

— Jak ci już powiedziałem - żałuję mocno, że muszę to uczynić. Trochę niewygodnie, co? Cóż zrobić, byłoby mi znacznie niewygodniej dostać się w ręce ludzi twego pokroju! Byłeś kiedyś gorącym wielbicielem bandytów, nieprawdaż?

Shepherd nie mógł mówić, czynił jednak rozpaczliwe gesty, że ma jeszcze coś ważnego do powiedzenia. Glen nie był jednak w ciemię bity.

— Chcesz, brachu, tylko zyskać na czasie i zatrzymać mnie tutaj! Nie, Shepherd, nie ma najmniejszego sensu, byśmy tu sobie tak gawędzili! I tak wszystko co powiesz, będzie wierutnym kłamstwem! Good night, old boy!

Glen Robles wysunął się z zarośli, nadsłuchiwał chwilę, po czym cicho gwizdnął na swego kasztanka. Uderzył następnie dłonią na płask narowistego konia Shepherda. Przerażone zwierzę pognało przez równinę i trzeba było dość długo czekać, by się udało je dojrzeć lub pochwycić.

Glen skoczył na konia.

Zupełna ciemność zaległa równinę. Glen jechał prawie bez szmeru przez błotniste łąki. Gdzieś pośrodku pól zaczynały się znowu milami ku północy krzewy. Tylko miejscami można było jechać konno. W tych zaroślach znikł, teraz Glen Robles. Rozumował słusznie, że jego prześladowcy, którzy wypatrywali go na wzgórzu, nie mogli żadną miarą przypuszczać, by się tu ukrył. Miał więc wolną drogę na północ.

Była to uciążliwa jazda. Raz po raz musiał zsiadać z konia i przedzierać się przez gęstwinę zarośli. Ujechawszy tak jakieś dwie mile, usłyszał strzały, których odgłos dochodził wraz z powiewem wiatru.

Uprzednio wicher dął z zachodu, teraz zaś zmienił kierunek i wiał z południa. Glen zrozumiał, dlaczego koń Shepherda tak późno go zwietrzył. Uświadomił sobie, że gdyby nie przypadkowo dogodny dlań kierunek wiatru, napad na Shepherda nie powiódłby się, konie są bowiem czujniejszymi strażnikami niż ludzie.

Glen opuścił łąki i wyjechał na gościniec, chociaż mógł się jeszcze przez długi czas ukrywać w zaroślach. Po pewnym czasie dostrzegł migotliwe światło nadjeżdżającego wozu. Był to zaprząg zmierzający w stronę miasta. Woźnica, napotkawszy wyłaniającego się nagle z mroku jeźdźca przeraził się, ale Glen uspokoił go skinieniem ręki i zatrzymał konia.

— Hej! — zawołał głośno Glen. — Może moglibyście wziąć list do szeryfa Bellowesa?

Woźnica zatrzymał konie.

— Ha, jeśli trzeba...

Glen zsiadł z konia, wyjął z kieszeni papier i ołówek, i w mdłym świetle latarni napisał:

„Do szeryfa Bellowesa!

Na drodze do kopca indyjskiego «Grzmiący głos» leży w zaroślach Shepherd — człowiek z pańskiej drużyny pościgowej. Musicie go stamtąd wydostać, w przeciwnym bowiem razie nieborak udławi się kneblem:

G.R."

Glen złożył list.

— Doręczycie ten list, nieprawdaż?

— Z pewnością — odparł woźnica, któremu cała ta sprawa wydała się dość podejrzana.

Glen wskoczył znowu na siodło.

— Jak daleko stąd do kanadyjskiej granicy? — zapytał jeszcze.

— Damned! Do kanadyjskiej granicy? Będzie co najmniej ze sto mil!

— Dziękuję! Dla mego konia to drobnostka!

Glen ruszył dalej. Woźnica patrzył za nim przez jakiś czas, wreszcie na wpół dobrodusznie, na wpół ironicznie zawołał:

— Masz, kowboju, jakiś dobry paszport? To nie tak łatwo przejść kanadyjską granicę!

Glen nie dosłyszał lub może słyszeć nie chciał. Gdy przebrzmiał tętent końskich kopyt, woźnica popędził swe konie dalej. Otworzył list. Chciał zobaczyć, co za wiadomość ma przekazać szeryfowi. Zapoznawszy się z treścią, zaczął rozglądać się nieufnie wokoło.

— Hm, a więc bandyta... — powiedział sam do siebie.

W jakiś czas potem natknął się na szeryfa Bellowesa, który jechał na czele oddziału.

— Widzieliście może samotnego jeźdźca? — zawołał szeryf.

— Well — odpowiedział woźnica i wręczył szeryfowi kartkę.

Bellowes rzucił na nią okiem. Ogarnęła go wściekłość.

— Do diabła! — zgrzytnął zębami. — Teraz dopiero wierny, gdzie się podział Shepherd!

Rozkazał jednemu z ludzi zawrócić i uwolnić Shepherda z opresji. W tym samym czasie woźnica poinformował przybyłych wyczerpująco i gadatliwie o spotkaniu ze „Stepowym Wilkiem”.

— Chce wiać do Kanady — opowiadał powtarzając każde niemal słowo zamienione z obcym. Widząc zaś, że staje się ośrodkiem zainteresowania wszystkich zebranych ze względu na wagę, jaką stanowią dla nich jego informacje, zaczął ubarwiać swoją opowieść.

Opowiedział wiec ludziom szeryfa, że domniemany bandyta wypytywał go dokładnie o drogę do granicy, podał nawet jakoby Robles powiedział mu, że jutro w nocy przekradnie się przez granicę.

— O! To mu się nie uda! Klnę się na Jowisza! — wykrzyknął ze złością Bellowes.

Pościg pomknął teraz dalej wzdłuż gościńca.

Ścigający byli wściekli, że Roblesowi udało się wywieść w pole tak doświadczonych jak oni westmanów... Wydawało się, że plan Bellowesa, jakkolwiek prosty, był gruntownie przemyślany. Okrążywszy wzgórze szeryf wysłał jednego ze swych ludzi na górę. Wywiadowca stwierdził, że z powodu terenowych trudności rewolwerowiec nie mógł ujść dalej w góry. Po pewnym czasie człowiek ten natknął się na drugiego, który penetrował drugi stok górskiego grzebienia. Nigdzie nie mogli znaleźć śladów Glena Roblesa. Nie było go na wzgórzu. Bellowes rozkazał więc bezzwłocznie przeszukać raz jeszcze miejsce, gdzie wedle zgodnych relacji jego ludzi, widziano zbiega po raz ostatni, zanim zniknął w leśnej gęstwinie. Nigdzie jednak nie napotkali żadnego śladu, stwierdzili natomiast zniknięcie pozostawionego na straży Shepherda. Zaczęli nawoływać. Gdy to nie odniosło skutku, Bellowes domyślił się, że zbieg musiał napaść na strażnika, obezwładnić go i ukryć, a następnie zbiec w kierunku widniejących z dala zarośli.

Na niebie pojawił się księżyc. W jego świetle udało się ludziom Bellowesa odnaleźć wreszcie ślady kasztanka Glena. Z karabinami gotowymi do strzału podążyli śladami końskich kopyt.

Wszystko było teraz jasne. Nie wiedzieli jeszcze, gdzie zapodział się Shepherd, jednak w tej chwili Bellowes miał ważniejsze problemy. Jadąc śladami Glena wzdłuż zarośli dotarli wreszcie do gościńca, gdzie natknęli się na woźnicę, który im wręczył list.

— Przeklęty drab! — mruknął szeryf.

Cała drużyna mknęła teraz ż zawrotną szybkością.

— Przez granicę ten bandyta może przedostać się tylko „Srebrną Drogą”! — twierdził Bellowes.

— Będziemy mogli go dogonić z łatwością! — powiedział jeden z ludzi. — Nie mógł nas zbytnio wyprzedzić!

Bellowes wzruszył ramionami.

— To sprytny chłop! Nie ma wielkich widoków na to, by nam się go udało pochwycić!

— Nie przekroczy granicy. „Srebrna Droga" jest dostatecznie strzeżona przez kanadyjską policję — powiedział jeden z ludzi, stały mieszkaniec pogranicza.

Tymczasem Glen, który oszczędzał konia, przystanął nad stromo opadającym zboczem. Okolica była tu tak dzika i urocza, że w innych okolicznościach napełniłaby go podziwem i zachwytem. Znał to urwisko i głęboko w dole szumiącą rzekę. Znał też „Srebrną Drogę”, która w tym miejscu skręcała na prawo w leśną gęstwinę i wiła się poprzez dziewiczą puszczę i skalne złomy, niedostępne dla jeźdźca, który nie znałby tu każdego zakrętu.

Glen skierował się w stronę lasu. Ułamał kilka gałęzi, by upozorować fakt, że nie zważając na gęstwinę, jechał tędy w pełnym galopie.

Ujechawszy jednak zaledwie kilkanaście metrów „Srebrną Drogą”, położył się płasko na grzbiecie kasztanka, by nie ułamać teraz żadnej gałązki, zboczył z drogi i powoli, ostrożnie obniżał się ku przepaści.

Z dołu dochodził go upiorny szmer strumienia. Rumak zaczął strzyc uszami i tylko niechętnie postępował naprzód, a kiedy wydostawszy się z leśnej gęstwiny, znalazł, się nagle nad stromym, opadającym na sto metrów ku rzece urwiskiem, uskoczył w panicznym przerażeniu wstecz.

Glen wyprostował się w siodle. Smukłe, prężące się teraz ciało, zaciśnięte usta i twardo spozierające przed siebie oczy — wszystko to znamionowało w nim siłę woli i bezwzględną pewność siebie. Zmusił opierającego się konia, by wstąpił na urwisty stok. Na stromej ścianie wiła się wąska, wykuta w formie zygzaka ścieżynka, która prowadziła w dół do rzeki. Była ona tak wąska, że koń — i to bez jeźdźca — mógł z trudem zachować równowagę. Nikomu z prześladowców nie wpadłoby nawet na myśl, że tą pionową ścianą jakiś jeździec mógł dotrzeć do rzeki.

Ta karkołomna sztuka udała się jednak Glenowi. Wąską ścieżyną dotarł wraz z koniem do rzeki, której rwące fale perliły się bielejącą w świetle księżyca pianą i opryskiwały jeźdźca i jego rumaka. Glen nie lękał się wzburzonego strumienia. Wiedział, że nie stanowi on dla jego silnego ogiera żadnego niebezpieczeństwa. Znowu żelazna wola człowieka

przezwyciężyła strach zwierzęcia. Popędził konia poprzez pieniące się strugi ku zachodowi, w kierunku łąk. Znajdowały się one niema! na równym poziomie z łożyskiem rzeki i koń z łatwością przedostał się na brzeg.

Dniało już, kiedy Glen skierował się na południowy wschód szukając dogodnego miejsca, na odpoczynek. Znalazłszy je wreszcie, zsiadł z konia, zdjął zeń siodło i pozwolił mu się paść. Sam położył się na ziemi, wyciągnął znużone wielogodzinną jazdą członki i nie posiliwszy się nawet, usnął.

Nikt nie przerywał mu snu. Obudził się w kilka godzin później, kiedy słońce stało już wysoko na nieboskłonie. Koń jego tarzał się opodal w wysokiej trawie.

Glen skoczył na równe nogi. Poczuł teraz świeży dopływ sił. Ciepło słoneczne usposabiało go pogodnie. Zebrał kilka gałązek chrustu, rozniecił ognisko, dobył trochę zawiniętych w derkę zapasów żywności i przyrządził sobie skromny posiłek. Posiliwszy się ruszył dalej, jadąc bez przerwy, aż do zmierzchu.

Jak sam obliczał, nie znajdował się teraz zbyt daleko od miasteczka, w którym zastrzelił wczoraj człowieka — jednakże po zachodniej jego stronie, w rzadko uczęszczanej okolicy. Następnego dnia postanowił wyruszyć na południe. Pragnął jak najszybciej zaszyć się w leśną gęstwinę, by zejść z oczu szeryfowi i niepowołanej lub wręcz niebezpiecznej ciekawości ludzi.

Jak dotąd plan udał mu się w zupełności. Podczas gdy szeryf Bellowes krążył ze swymi ludźmi wzdłuż kanadyjskiej granicy klnąc wściekle, Glen Robles siedział spokojnie przy ognisku w nie tkniętym stopą ludzką mateczniku w jednym z północno-zachodnich stanów i palił spokojnie fajkę. Myślał o swych planach na przyszłość.

Jakże inaczej mogło ułożyć się jego życie! Jeszcze nie tak dawno był szczęśliwym człowiekiem. Kochał i był kochany! Lecz wszystko rozpadło się w gruzy... Raz jeszcze przesunęły się przed jego oczyma wydarzenia minionych dni. Były one krótkie jak mgnienie chwili, a tak brzemienne w skutki.

Raz jeszcze dojrzał twarz zabitego w saloonie Raleighsa, młodą dziewczynę, tulącą do swego łona głowę zabitego. Widział ludzi, którzy bez tchu przywarli do ścian i wreszcie — siebie samego...

Glen westchnął. Jest teraz wyjęty spod prawa i pozostanie nim tak długo, dopóki nie wykaże, kim był zabity przez niego człowiek. Ludzie w saloonie Raleighsa nie wiedzieli tego — w przeciwnym razie nie ścigaliby Glena. A zresztą — może nawet niektórzy wiedzieli — Shepherd musiał znać zabitego. Z pewnością Shepherd i inni ścigali Glena dlatego, by nikt się nie dowiedział, jakiego łajdaka unicestwił. Przypuszczalnie ludzie ci nie podali szeryfowi Bellowesowi całej prawdy i wątpliwe było, by chcieli to kiedykolwiek uczynić.

Rzecz jasna, mógł się zgłosić sam u szeryfa i zawierzyć całą tę sprawę sprawiedliwości. Na samą jednak myśl o tym Glen wyprostował się cały i odrzucił w tył głowę. Nie, to nie była dla niego droga. W tej okolicy sprawiedliwość miała kruche podstawy i zawsze znajdowali się ludzie, którzy pozostając sami w ukryciu, umieli przeprowadzać swe zamysły nawet wbrew woli szeryfa i sądu. Glen Robles nie miał wielkiego zaufania do sądowych procesów. Czyn swój uważał za jedyne wyjście z sytuacji, nie

miał żadnych skrupułów i nie poczuwał się do winy. Nie to też przysparzało mu teraz kłopotów, o nie!

Jechał jednak powoli zatopiony w sobie jak człowiek dźwigający wielki ciężar. Co się stanie z June? Pytanie to dręczyło go okropnie. June obwiniała go teraz jeszcze bardziej niż sam szeryf, który wiedział przecież, że w saloonie Raleighsa nie gościli nigdy porządni ludzie, a więc i zabity nie musiał być wcale czysty jak kryształ. Ranczerzy i kowboje omijali tę spelunkę, nigdy jeszcze bowiem nie wynikło nic dobrego, gdy ktoś wszedł w komitywę z gośćmi Raleighsa.

Tak, lecz o tym wszystkim June nie miała najmniejszego pojęcia. Może nawet nigdy się o tym nie dowie — nie pochodziła przecież z tych okolic i trudno było przypuszczać, że ktoś będzie ją wtajemniczał w te sprawy. Pewność, że utracił June na zawsze krystalizowała się w nim coraz bardziej.

June! June, ta piękna dziewczyna o czarnych błyszczących oczach, ta kochana istota o długich, spadających na wąskie plecy warkoczach, była jak młoda sarenka, stąpająca cicho i bezszelestnie. O! Nie było jej równej na ziemi!

Glen był człowiekiem, który utracił w życiu już wiele i mało doznał radości. Nigdy jednak jeszcze nie czuł w sercu swym takiej pustki jak teraz. Wspominał swą twardą, pełną niedostatku młodość. Bardzo wcześnie odumarli go rodzice, utracił ukochaną. Pozostał mu jedynie wierny koń.

Jako młody chłopak poszedł z poszukiwaczami złota nad rzekę Yukon. Była to straszna mordęga. Z pięciu tysięcy ludzi, którzy przez śniegi i lody brnęli ku górom, tylko sześciuset dotarło do celu, a powróciło trzech. Jeden został milionerem, ale przegrał w najbliższym mieście swój cały majątek. Drugi rozchorował się i zmarł w drodze, trzeci zaś — Glen Robles, zanim wstąpił jako kowboj na ranczo — był świadkiem śmierci eks-milionera od kuli przygodnego awanturnika.

Od tego czasu Glen znienawidził złoto i to wszystko, co ono dać mogło. Lecz znów przyszła chwila, że ruszył z towarzyszami na Alaskę. Tym razem nie szukali już złota, lecz poświęcili się myślistwu. Ze zdobytych skórek zwierzęcych i futer uskładał Glen pokaźny mająteczek, który ulokował w banku. Prześladował go jednak pech: bank splajtował i Glen stracił znowu cały swój dorobek.

Mało kto wiedział, co przeżył i wycierpiał w swym życiu Glen Robles. Nie można też było tego po nim poznać. Ten dwudziestopięcioletni wesoły mężczyzna, nigdy nie był zgorzkniały i kochał świat — mimo wszystko...

Lubił ludzi czynu, jak on odważnych i energicznych, kochał konie, które były mu najwierniejszymi i najbardziej do poświęceń zdolnymi towarzyszami. Z miłością wdychał powietrze Dzikiego Zachodu, uwielbiał wspaniałe krajobrazy, ciche jeziora, stare bory i bezkresne prerie. Kochał nawet pustynie, kochał wszystko z czym łamać i borykać musiała się jego wola i siła.

Teraz siedział Glen samotny w tym zapadłym kącie północnego zachodu, kryjąc się przed ludźmi. On, który nigdy nie schodził ludziom z drogi, uciekał teraz przed szeryfem... A wszystko z powodu tej jednej chwili, która zaciążyła nad nim jak przeznaczenie.

Tak rozmyślając nad całym swym życiem przesiedział caluteńką noc. Było dlań jasne, że nie będzie mógł spędzać całego swego życia w lasach. Będzie musiał rozglądać się teraz za pracą w okolicy, gdzie go wcale nie

znają. Wstąpić na jakieś ranczo w charakterze kowboja było rzeczą zbyt ryzykowną. Tam byłoby najłatwiej go odnaleźć.

Cóż miał właściwie począć? Mógł wprawdzie ruszyć znowu na Alaskę i skryć się w bezkresnej dali wśród olbrzymich lasów — lodowata, arktyczna zima powstrzymałaby z pewnością jego prześladowców — lecz nie chciał tego uczynić. Nie, nie chciał tego.

Glen popadł w krótką, niespokojną zadumę. Kiedy zaróżowiło się niebo na wschodzie, ruszył dalej w drogę. Ujechał tak sporo mil. Gdy dotarł około południa do jakiegoś wzgórza, które posłużyło mu za punkt obserwacyjny, zrobił ciekawe odkrycie. Z początku nie mógł tego pojąć. Jakby spod ziemi wyrosły przed nim postacie mężczyzn. Nie tuzin czy dwa, o nie — były ich setki całe! Kasztan spiął się niespokojnie w górę. Nawet koń przeraził się ich mnogości. Wszyscy ci ludzie zdawali się nie wiedzieć, co czynią. Chodzili lub przebiegali jeden obok drugiego bez jakiegokolwiek planu.

Mimo woli opuścił Glen rękę, w której trzymał cugle, na siodło. Czegoś podobnego nie widział jeszcze nigdy W życiu! Wydało mu się to jakimś koszmarnym widowiskiem, teatrem rozgrywanym w puszczy, która wydłużała się po obu stronach, pozostawiając pośrodku dość szeroką wolną przestrzeń. W tej wolnej przestrzeni, jak gdyby w wąwozie pośród lasu, rozgrywało się to niepojęte widowisko. Wielu z tych ludzi kopało doły. Po cóż to czynili u diabła?!

Wreszcie zrozumiał. Oswoiwszy się z widokiem, zaczął z wolna odróżniać dalsze szczegóły. Zrębem przebiegały tory kolejki górskiej. Lokomotywa wyrzucała teraz raz po raz duże kłęby dymu. Szyny przecinały poprzecznie położone stalowe liny, po których toczył się długi sznur taczek. Las rozbrzmiewał stukotem siekier i łoskotem padających drzew. Mnóstwo ludzi zwalało coraz to nowe pnie. Cała armia drwali mordowała ten stary las, a gdzieś w oddali rozsadzano dynamitem skały.

Glen siedział w siodle jak skamieniały i pierwszy raz w życiu byłby nieomal spadł z konia, gdy kasztan przerażony hukiem rozsadzanych skał, stanął dęba i usiłował rzucić się do ucieczki.

Usta Glena napełniły się jakimś gorzkim smakiem.

Zrozumiał, co się tu działo. To cywilizacja zapuszczała swe macki w ten prastary bór. Z wolna wżerała się jak olbrzymi, trujący i nienawistny gad...

Jak gdyby we śnie zjechał z pagórka.

Znowu dojrzał ludzi, którzy wyznaczali kolorowymi pałkami drogę. Dostrzegł nawet tablicę z czerniejącym napisem: „32 strike”. Gdzieś dalej wyłoniły się blokhauzy, a dźwięk jakiejś melodii wygrywanej skocznie na harmonii mieszał się z hukiem wybuchającego dynamitu.

Nadeszło paru robotników.

— Co się tu dzieje? — zapytał ich Glen.

Ludzie roześmiali się.

— Nie umiesz patrzeć, ty koniokradzie!

Ręka Glena chwyciła za kolta, ale pohamował się. Człowiek, który rzucił tę obelgę, miał dobroduszny wyraz twarzy i spod ryżej czupryny śmiały się doń duże, jasne oczy.

— Człeku, gapisz się, jakbyś spadł z księżyca. Budujemy nową drogę do granicy. Ot co!

Reszta roześmiała się i podążyła z siekierami na ramionach dalej. Znów rozległ się huk rozsadzanych skał.

Glen skierował konia w stronę lasu. Zaszył się w gęstwinę. Nie zważał na to, że gałęzie ranią mu twarz i odrapują dłonie, nie dostrzegł małej strugi krwi, cieknącej z boku jego konia. Byle tylko głębiej w las... Byle głębiej...

Wreszcie ogarnęła go leśna cisza. To co widział niedawno, było odległe jak zły sen. Tu panował spokój.

Glen zsiadł z konia, rozniecił ogień i puścił konia wolno. Sam zaś położył się na małej polance. Nad nim szumiały wysokie korony olbrzymich świerków — szumiały swą odwieczną pieśń wolności...

Odwieczna melodia? Glen był wzburzony i zdecydowany zaraz jutro podążyć ku kanadyjskiej granicy, byleby tylko uciec od tej diabelskiej kolei, którą poczytywał za dzieło samego szatana. To teraz było jego najgorętszym pragnieniem. Uważał swą decyzję za niezłomną.

Stało się jednak inaczej.

Noc nie przeminęła jeszcze. Glen spał niespokojnie ledwie kilka godzin. Jakieś nieokreślone przeczucie niebezpieczeństwa nie pozwalało mu usnąć na dobre. Przypisywał to wprawdzie przeżytym za dnia wrażeniom, niepokoiło go jednak częste parskanie konia. Gdzieś w pobliżu musieli być ludzie. Glen postanowił sprawdzić kto i w jakich zamiarach wałęsa się tu tak późną porą.

Kiedy wstał, by ukryć konia w gęstwinie, poczuł słaby, słodkawy zapach spalonego drewna. Niedaleko stąd musiało znajdować się drugie obozowe ognisko. Spostrzegł teraz, że wiatr wiał mu w oczy, ludzie ci więc nie mogli poczuć swądu z jego przygasającego ogniska. Glen zaprowadził konia głębiej w las. Czuć było stęchlizną. Olbrzymie pnie, zwalone przez burzę, zatarasowały mu drogę. Groźnie, jak gdyby zaklęty, czerniał ten bór odwieczny. Glen znalazł wreszcie jakąś małą polankę, na której zostawił konia, uwiązawszy go uprzednio lassem do drzewa. Było tu dość miejsca, by rumak mógł się swobodnie paść nie zdradzając swej obecności obozującym niedaleko przybyszom. Karabin pozostawił Glen przy siodle. Kierując się węchem, z rękami na koltach zaczął się skradać do obozowiska obcych. W sytuacjach takich krok Glena stawał się dziwny, podobny do kociego raczej. Szedł jak gdyby unosząc się w powietrzu. Zwinność tę nabył z latami. Ani jedna gałąź nie trzasnęła! Nie było słychać ani kroku. Glen zatoczył duży łuk, lecz uważał stale, by nie mieć wiatru za plecami. Orientował się już dokładnie, gdzie ludzie ci obozowali. Pośrodku lasu rozciągała się błotnista łąka, w pobliżu której znajdowało się małe jeziorko. Tam musieli obozować nieznajomi.

Przypuszczenie jego okazało się trafne.

Ludzie ci rozbili namiot. Dostrzegł to poprzez gęstwinę drzew. Zamarł w bezruchu. Usłyszał gromki śmiech mężczyzn.

Paręset metrów dalej ich konie skubały trawę. Zwierzęta miały powiązane tylko przednie pęciny. Widok dobrze odpasionych i wypoczętych koni kazał się domyślać, że ludzie obozowali tu już czas dłuższy. Namiot był sporządzony ze skór reniferów, co było w tych okolicach osobliwością. Nad ogniskiem na rożnie piekl się duży płat dziczyzny. Z faktu, że ludzie zasiedli teraz do posiłku wywnioskował Glen, że zamierzają niebawem ruszyć w drogę. Czołgając się po ziemi, zbliżył się do ogniska. Pełzł cicho jak Indianin. Gdzieś w dali głos jelenia zwiastował

zbliżanie się dnia. Glen skulił się jeszcze bardziej. Poruszyła się jakaś gałąź. Mężczyźni przy ognisku nagle zamilkli i podejrzliwie rozglądali się wokoło.

— Co to? — zapytał ktoś.

Człowiek ten miał usta zapchane jedzeniem i z trudem wykrztusił te słowa.

— Czego chcesz? — rzucił niechętnie ktoś inny.

— Nie słyszałeś?

— Śni ci się coś...

— Ktoś tu jest!

Towarzysze jego parsknęli śmiechem.

W lesie panowała zupełna cisza. Zamilkło nawet porykiwanie jeleni.

— Jedz, Jim! — powiedział jakiś zaspany głos. — Nie ma nikogo. Radbym wiedzieć, po co miałby ktoś wałęsać się w tym przeklętym lesie!

Zapanowała cisza.

Glen uniósł nieco głowę. W blasku dogasającego ogniska dostrzegł grupę mężczyzn.

Było ich czterech. Byli młodzi, żaden z nich nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Twarze ich nie wzbudzały zaufania.

— Kiedy przybędzie ten przeklęty chłop? — zapytał — jeden z nich.

— W ciągu dnia, gdzieś koło południa.

— Gdzie go obezwładnimy?

— Między dwudziestym czwartym a trzydziestym drugim odcinkiem!

Glen przypomniał sobie widzianą niedawno tablicę z czerwieniejącym na niej napisem: 32.

— Czy jesteś pewny, że będzie miał przy sobie całą kwotę do wypłaty?!

— Na pewno, Jeffrie.

— Człeku — dodał drugi. — Jeden z naszych obserwował go dokładnie i dał nam znać!

— Well, wiem o tym! Lecz mógł się mylić!

— Nie myli się!

— Hm! Tygodniowy zarobek dla tylu ludzi — chyba sześciuset, co? To niezły łup!

— Jakieś dziesięć tysięcy!

— Chyba!

— Ali right!

Glen leżał wśród mchu; przygryzając wargi. Musiał działać szybko, jeśli miał na czas zapobiec ich niecnym zamiarom. Zastanawiał się, czy nie przepędzić im koni. Było to jednak zbyt niebezpieczne, a nadto bezcelowe. Zupełnie niepotrzebnie znalazłby się Glen pod obstrzałem ich karabinów, a konie powróciłyby same do swych właścicieli.

Równie cicho jak przyszedł, popełznął z powrotem. Wkrótce stracił z oczu ognisko. Przysłoniły je grube pnie drzew. Również i głosy rozmawiających przebrzmiały zupełnie. Ogarnęła go znów głęboka cisza zalegająca bór. Dotarł do zwalonych pni, gdzie pozostawił swego konia.

Dniało. Na horyzoncie pokazało się słońce. Łąki okryła poranna rosa. W promieniach wschodzącego słońca zazłociły się olbrzymie pnie wysokich świerków i jodeł. Piękne, jak senne marzenie, niebo rozpostarło się nad bagniskiem. Zamilkły ostatnie głosy sowy i rozległ się świergot ptasząt.

Powracający ze spóźnionych łowów wilk przystanął na krawędzi lasu i spozierał podejrzliwie na pracujących w dali ludzi.

Odcinek 24 wrzał pracą. Kiedy tylko zaczynało świtać, robotnicy opuszczali swe baraki i po krótkiej kąpieli w pobliskim jeziorze ruszali setkami na swe placówki. Maszyny pracowały już pełną parą, kiedy od strony lasu nadjechał młody mężczyzna. Mógł mieć około dziewiętnastu lat. Zatrzymał się chwilę wśród robotników, obejrzał okiem znawcy maszynę, która olbrzymią rurą wżerała się na kilka metrów w głąb gruntu wyrywając swymi kleszczami błotnistą masę. Reszty dopełniały łopaty robotników.

Jeździec z trudem powstrzymywał swego niecierpliwego siwosza. Jakiś inżynier skinął w jego stronę.

— Dzień dobry, Bill! Znowu w drodze?

— Well. Już ostatni tydzień. W przyszłym tygodniu kto inny przywiezie wypłaty. Został specjalnie do tego najęty.

— Uważaj na odcinek między 24 a 32! Paskudny teren!

— Ocho, Rugby! Bandyci?

— Na przestrzeni trzech mil nie ma tam żywej duszy!

— Pierwszy raz zdarzyłoby się...

— Masz złą pamięć, Billy! W ubiegłym roku zamordowano tam człowieka! Miał przy sobie zaledwie siedemset dolarów!

— Good bye, Bill! Tysiąc dolarów dla moich ludzi złóż w kantynie! Będzie tam inżynier White.

— Zrobione, Rugby!

Billy Bill — bo tak nazywał się młody jeździec — oddał duży list z banknotami i woreczek bilonu w kantynie, po czym ruszył dalej.

Już od dwóch lat pracowano przy budowie tej drogi, która miała prowadzić aż do kanadyjskiej granicy. Na niektórych odcinkach gościniec był już niemal gotów, na innych jednakże praca dopiero się zaczynała, w wielu zaś miejscach panowała jeszcze zupełna martwota. Gościniec miał się ciągnąć przeszło sto mil — nic więc dziwnego, że częstokroć na przestrzeni dwudziestu i więcej nawet mil nie pracowano jeszcze w ogóle.

Opuściwszy 24 odcinek znalazł się Bill w zupełnej leśnej głuszy. Droga zwężała się tu coraz bardziej, przechodząc w wąską ledwie ścieżynę, wijącą się pośród olbrzymich pni.

Bill przewiesił przez siodło woreczek z rulonami srebra i teczkę skórzaną wypchaną banknotami dolarowymi. Billy Bill był właściwie zwyczajnym robotnikiem na 17 odcinku, kiedy jednak zachorował pocztylion rozwożący tygodniowe wypłaty, a nowego nie można było tak łatwo znaleźć, jemu powierzono tę funkcję.

Centrala wypłat znajdowała się w małym miasteczku Read River Flow. Pieniądze nadchodziły w skrzyniach dobrze strzeżonych przez doświadczonych jeźdźców, którzy wracali natychmiast z powrotem na stację. Od trzech tygodni woził Bill pieniądze z centrali do najodleglejszych odcinków budującej się drogi. Było to dlań przyjemnym urozmaiceniem w monotonnej, niszczącej zdrowie i nerwy pracy na szosie. Z utęsknieniem wyczekiwał chwili, gdy zbierze z zarobków sumę wystarczającą, by móc zmienić zajęcie. Był z zamiłowania myśliwym i w poszukiwaniu przygód uciekł z rodzicielskiego domu.

Słońce padało mu na twarz i na zadarty nieco nos. Bill zsunął szeroki kapelusz na kark i pozwolił koniowi spokojnie przestępować z nogi na nogę. Na twarzy jego rozlewał się wesoły uśmiech, do którego usposabiał piękny poranek, szare stalowe oczy patrzyły jasno przed siebie.

Nagle spostrzegł jadącego naprzeciw, w pełnym galopie, jeźdźca. Do diaska! Człowiek ten pędził, jak gdyby sto diabłów następowało mu na pięty. Kiwał już z daleka na Billa ręką. Młodzieniec zatrzymał mimo woli konia, chwytając odruchowo karabin, który wisiał z prawej strony jego siodła. Zanim zdążył jednak rozluźnić pętlę, którą umocowana była strzelba, nieznajomy jeździec podjechał całkiem blisko.

— Stój człowieku! — wykrzyknął.

Dopiero teraz spostrzegł Bill, że twarz nieznajomego zakrywała chusta.

— Stać! — wykrzyknął obcy raz jeszcze i nagle przed oczyma Billa zaczerniał wylot rewolweru. — Zsiadaj!

Tym razem jednak udało się Billowi odplątać karabin i wydobyć go z futerału, zeskoczył z siodła i padł na ziemię obok konia.

W samą porę! Bandyta strzelił bez uprzedzenia. Kula chybiła jednak celu. Billy mógł wprawdzie przyjąć wyzwanie, ale — po pierwsze: karabin był bardziej nieporęczny od kolta, po drugie zaś (z czego sobie Bill zrazu nie zdawał sprawy) koń jego, przerażony strzałem, dał nura w zarośla.

Mimo beznadziejnego położenia Bill usiłował się bronić i właśnie składał się do strzału, gdy nagle napastnik zaklął, twarz wydłużyła mu się, chciał nacisnąć cyngiel, lecz broń wypadła mu z ręki, zachwiał się i spadł z siodła.

— Do diabła! — mruknął Bill, nie rozumiejąc całego zajścia. — Co się tu dzieje?

Niepewność jego nie trwała długo. Z lasu, w stronę którego pognał jego koń, wyłoniło się dwóch mężczyzn, którzy momentalnie zaczęli strzelać ze swych koltów w stronę Billa.

Wtem usłyszał krzyk:

— Plackiem na ziemię!

Billy usłuchał. Zarepetował karabin. Obaj przeciwnicy zwrócili się jednak nie ku niemu, lecz w stronę człowieka, który pojawił się z przeciwnej strony. Mężczyzna ten trzymał w obu dłoniach rewolwery i strzelał do bandytów. Drugi z nich padł trafiony kulą, a koń pociągnął go jeszcze spory kawał w las. Trzeci chybił trzykrotnie, korzystając jednak z tego, że koń niespodziewanego przybysza zawadził o jakąś gałąź i uskoczył w bok, złożył się raz jeszcze ze swego karabinu. Zanim jednak zdążył nacisnąć cyngiel, zagrzmiał karabin Billa, który leżał na ziemi i pojął wreszcie sytuację. Być może, gdyby nie celny strzał Billa — Glen Robles byłby już trupem — nie przewidział bowiem dzikiego skoku swego kasztana.

Wszyscy trzej bandyci padli. Glen podjechał do Billa.

— Co się tu, u diabła, dzieje? — krzyknął młodzieniec.

— Na razie uciekł panu koń z całym zapasem pieniędzy — odparł zapytany i pognał swego kasztana w las, znikając w nim natychmiast.

— Damned! — mruknął Bill. — Cholernie szybki chłopak! Skąd wie, do licha, o pieniądzach? Kto mu o tym doniósł i czego chcieli ci trzej?

Rozum kazał mu domyślać się, że ci trzej chcieli go napaść i obrabować. Pierwszy z nich żył jeszcze i skamlał o łyk wody. Billy podał mu

manierkę. Ranny opróżnił ją chciwie do dna, po czym znów opadł w tył. Twarz mu pożółkła.

— „Wilki Stepowe?” — zapytał szybko Bill.

Umierający skinął głową. Nagle członki jego zesztywniały i opadły bezwładnie.

W tej samej chwili wyłonił się z zarośli Glen, prowadząc rumaka Billa. Wszystko było w porządku. Na szczęście żaden z worków z pieniędzmi nie zagubił się. Glen zeskoczył z siodła i uwiązał konie. Billy podszedł do niego i obiema rękami pochwycił prawicę swego zbawcy.

— Musiałbym być piekielnym głupcem, by nie pojąć, że „Wilki Stepowe” chciały zrabować mi pieniądze i że pan przyszedł mi w samą porę z pomocą!

— Pięknie pan to wykombinował — odparł śmiejąc się Glen. — Nie doceniłem zresztą tego spotkania, to były zatracone draby i gdyby nie pański karabin, już nigdy nie wystrzeliłbym z mego kolta.

— Cieszę się niezmiernie, jeśli przynajmniej w ten sposób mogłem spłacić bodaj częściowo mój dług wdzięczności — odparł Billy.

Obaj spodobali się sobie wzajemnie. Billy uznał, że starszy od niego o parę lat mężczyzna był równym facetem, zaś Glen stwierdził z przyjemnością, że nie widział jeszcze dotąd tak dobrodusznego i wesołego chłopca, który uszedłszy ledwo z życiem traktował całą tę przygodę z pogodą ducha.

— Wesoła strzelanina, co? — zapytał Bill, siadając na ziemi obok Glena.

Ponieważ prowiant Glena był już na wyczerpaniu, Billy dobył jedzenie ze swoich zapasów. Glen z chęcią napił się ciepłego kakao, które mu Bill podał w termosie i zjadł dużą pajdę chleba ze słoniną.

— Zdaje mi się, że bierze pan życie na wesoło, nieprawdaż? Zapytał Glen patrząc w zamyśleniu na młodzieńca.

— Po co mam się martwić?

— No, gdybym przypadkiem nie podsłuchał rozmowy tej bandy i nie wkroczył w porę, leżałby pan już dawno tu w lesie i minęłoby sporo czasu, zanim by pana odnaleźli!

Bill przełknął spory kawał słoniny i wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie! Ale na Jowisza, wszyscy musimy kiedyś umrzeć!

— Nazywam się Glen, Glen Robles!

— A ja nazywam się — młodzieniec zawahał się na chwilę i patrząc w ziemię szybko dokończył — Billy Bill!

Glen przytaknął z uśmiechem.

— Niecodzienne nazwisko.

— No, no — mruknął Billy.

Glen położył mu swą dłoń na ramieniu.

— Będziemy dobrymi przyjaciółmi, boy, co? Myślę, że obu nam los nie poskąpił niczego.

Chłopak pochwycił niepewnie prawicę Glena i odparł:

— O.K.!

Spojrzeli na siebie. Jeden myślał teraz o drugim. Lecz myśli Glena wybiegały dalej. Widział znowu przed oczyma duszy bezkresny gościniec, pełny półnagich ludzi i potwornych maszyn. Zdecydował się.

— Można zgłosić się u was do pracy? — zapytał.

Billy przyjrzał mu się, radośnie zdumiony.

— Jako robociarz?

— Well. Myślałeś, że jako dyrektor?

— No, wyglądasz raczej na dyrektora niż na robotnika! A więc jako robotnik! Jasne, że możesz się zgłosić. Będziesz pracował ze mną razem na jednym odcinku, co ty na to?

— Zrobione! Będę ci towarzyszył aż do odcinka DE, nie wiadomo bowiem, czy banda nie ma jeszcze jakichś ludzi, którzy pozostają z nią w łączności. All right?

Następnego dnia Glen Robles pracował już jako robotnik na 24 odcinku gościńca prowadzącego do Kanady. Trakt ten był tak odległy od miast i wszelkiej cywilizacji, że z pewnością żadnemu szeryfowi nie wpadłoby do głowy szukać go tutaj.

— Zresztą — powiedział do niego inżynier, dowiedziawszy się, że Glen woli pozostawać w ukryciu — policja nie ma u nas nic do szukania. Mówię to oczywiście tylko tak, na wypadek gdyby pan nie miał przy sobie dokumentów.

— Mam jakieś papiery — oparł Glen — ale wolałbym na razie nie pokazywać się policji na oczy.

— Zdarza się — odparł krótko inżynier.

II

Wieczór był pogodny i ciepły. Ostatnie odgłosy rozsadzanych skał przebrzmiały bez echa. Olbrzymie maszyny wiertnicze stały nieruchomo. W szarym świetle wieczoru, odcinały się na tle skał ustawione w długim łańcuchu wózki i taczki, napełnione blokami granitu. W cieniu nadciągającej nocy na wpół gotowy gościniec przybierał koszmarny wygląd. Na ślepym torze prowadzącej od stacji odnogi stały wagoniki. W dali czerniał olbrzymi dźwig. Gdziekolwiek zwracał Glen swe oblicze, napotykał na potworne maszyny, które czaiły się jak groźne, dzikie zwierzęta Wyłaniające się nocą z lasu, niosące śmierć i zagładę.

Glen Robles, były kowboj, nienawidził maszyn. Przytłaczały go swym ogromem. Pożerały błoto, wżerały się w piasek, burzyły góry i wygładzały równiny. Nienasycone potwory, olbrzymy — roboty...

Z tyłu ciemniał las. Czarny i nieporuszony zdawał się żalić na zagładę, którą niósł mu nowy gościniec. Droga przecinała ten prastary bór na zachód od Salmon River Mountains i na południe od kanadyjskiej granicy.

Glen Robles był teraz jednym z pionków owej szarej masy, która budowała trakt. Siedział przed jednym z baraków, w których mieściły się legowiska robotników i ćmiąc papierosa patrzył w ciemną noc. Obok niego siedział Billy Bill.

Ilekroć z obszernej kantyny Johna Woodkinsa dochodziły ich głosy przerywające ciszę wieczoru, odwracali z niechęcią głowy. Każdej niedzieli, kiedy robotnicy udawali się do miasteczka, oporządzali się, pisali listy lub oddawali się grze, Glen Robles i Billy Bill siadali przed barakiem, skąd rozpościerał się widok na przerzedzony las. Glen nie pisał nigdy żadnych listów. Nie miał nikogo, komu mógłby pisać jakieś wiadomości o sobie. Billy pisał bardzo rzadko, a i wówczas ukrywał bardzo starannie (nawet przed Glenem) adres na kopercie.

Tymczasem hałas w kantynie wzrastał, mącąc pogodę wieczoru.

Glen spojrzał na Billa z boku. Byli do siebie zupełnie niepodobni. Glen przerastał Billa o głowę. Był chudy i smukły, cechował go nadto tak rzadki u jeźdźców lekki chód. Twarz jego była kanciasta i opalona — twarz Billa szeroka i delikatna. Również ręce młodzieńca podobne były raczej do rąk dziewczyny niż dojrzałego młodzieńca. Glen dziwił się często, jak Bill, mając takie dłonie, mógł wykonywać ciężką robotę. Widać było jednak, że praca przy gościńcu wyczerpuje go, podczas gdy Glen znosił trudy bez większej mitręgi.

— Skąd, u licha, wziąłeś się Billy przy budowie tego gościńca? — zapytał Glen, przerywając długie milczenie. — Nie mogę sobie wyobrazić, by miało to być twoim powołaniem!

Billy uniósł znużony głowę.

— A może było to twoim powołaniem?

— No, chyba nie!

— Moim także nie!

— Billy, pochodzisz, jak się zdaje, z dobrej rodziny?

— Yes. Można to tak określić.

— Robiłeś głupstwa, co Billy?

— Tak, wielkie głupstwa! Przysporzyłem memu dobremu ojcu wiele bezsennych nocy! Tak, niestety, nie mogę już tego odmienić!

— Pokłóciłeś się z ojcem? To można by chyba jeszcze naprawić?

— Chciałbym. Obawiam się jednak, że stary nie zechce już na mnie spojrzeć z powodu mej ostatniej sprawki!

Glen zmierzył młodego człowieka w zamyśleniu od stóp do głowy.

— Do jakiegoś podłego czynu nie byłbyś zdolny, Billy. Myślę, że nie byłeś do tego zdolny i przedtem.

Billy uniósł głowę, którą ukrył w swych dłoniach, spojrzał na Glena z wdzięcznością, po czym wzruszył ramionami.

— To kwestia zapatrywań! Można różnie osądzić mój czyn. Powiem ci, Glen. Polowałem swego czasu na północnym zachodzie na bawoły. Było to w Kanadzie, gdzieś w pobliżu fortu Smith. Była paskudna, arktyczna zima i jechałem saniami do Aklawit. Trzeba ci wiedzieć, że pracowałem wówczas w Towarzystwie Hudson Bay.

Glen wzruszył prawym barkiem.

— Wiem, nie wolno polować na bawoły. To ostatnie okazy żyjące w rezerwatach. No, ale nawet zrównoważonego myśliwego może czasem ponieść, gdy zobaczy bawoły... Można stracić panowanie nad sobą...

— Tak, to ostatnie bawoły. Żyją teraz tylko w chronionych okolicach. Cóż ci będę dużo opowiadał. Strażnik rządowy przyłapał mnie na tym. Był to Indianin. Znasz chyba tych mieszańców, tam na północy... Na wpół Indianie, na wpół Eskimosi... Mają policyjne pełnomocnictwa. Indianin zrobił na mnie doniesienie...

— I?..

Billy zamilkł. Glen nie pytał o nic więcej. Skierował wzrok znów w stronę lasu, który tonął teraz w świetle księżyca. Zrąb wżarł się już głęboko w puszczę przerzedzając najgłębsze jej gęstwiny. Nieliczni łowcy bobrów i zastawiacze pułapek, którzy żyli w promieniu kilku mil od samotnie wśród lasu leżącego jeziora Lone Tree Lake, patrzyli na to wszystko z nieufnością. Rozlegające się wkoło detonacje były groźnymi zwiastunami, że ich prawa do tej ziemi nie przetrwają już długo. Najchętniej wystrzelaliby do nogi intruzów, którzy w tak nieokrzesany sposób mącili spokój i ciszę boru. Lecz cóż! Prawo zwracało się przeciw nim... Taka mała wojna skończyłaby się szybko ich zagładą. Chcąc nie chcąc musieli więc wynieść się dalej na północ. Wraz z nimi cała dzika zwierzyna opuszczała swe leże...

Glen Robles myślał o Billym. Nie wątpił, że nazwisko to nie jest prawdziwe. Można się było tego z łatwością domyśleć. Tylko on, był na tyle nieostrożny, że zachował swe prawdziwe imię.

— Po kiego licha tkwisz przy tej obskurnej pracy? Co, Glen? — zapytał po dłuższym milczeniu Billy. — To cholernie przykra sprawa rąbać ten prastary bór!

W zamyśleniu spojrzał nań Glen swymi jasnymi, błyszczącymi oczami. Pochylił głowę do przodu, po czym wstał i wyprostował się.

— Dlaczego tu jestem, pytasz? Zabiłem człowieka, Billy...

— Och, damned! — wyrwało się młodszemu.

Zamilkli.

Billy miał zawsze jakiś niewytłumaczalny respekt przed Glenem, który przerastał go pod każdym względem i to nie tylko fizycznie. Z rzuconych mimochodem słów wywnioskował Billy, że Glen, był kiedyś myśliwym i zapalonym amatorem koni. Zatem Glen musiał być także kowbojem. Kim był naprawdę — Billy nie wiedział. Glen nie zdradzał się z tym nigdy. To co powodowało Billem, kiedy zadawał Glenowi pytania, nie było jednak tylko ciekawością. Żywił dla Glena serdeczne uczucie, które kazało mu troszczyć się o przyjaciela.

— Byłeś w więzieniu, Glen?

— O nie! Dzieli mnie od miejsca tamtego zajścia dobry szmat drogi. Ci, którzy się mną interesują nie mają zapewne nawet pojęcia, gdzie tkwię teraz!

— Przez kobietę, Glen? — pytał w dalszym ciągu Bill.

— Tak, w grę wchodziła kobieta... To znaczy... Właściwie — spojrzał na Billa niechętnie, jak gdyby zarówno pytanie, jak i odpowiedź wprawiały go w zły humor — chciałbym, byś mnie źle nie zrozumiał. Dziewczyna nie była temu nic winna. Dziewczyna... Ta pani, Billy... ta młoda dama i ja staliśmy się ofiarami dziwnego, zbiegu okoliczności... Zresztą mniejsza o to, co tam było — faktem jest, że z tego powodu miłość wzięli diabli...

Glen zamilkł i zaciągnął się dymem swej fajki. Obok przeszli jacyś robotnicy. Doszły ich strzępy rozmowy. Z kantyny dolatywały piekielne odgłosy, po czym znowu wszystko zamilkło...

Billy czuł, że przeżycie to wstrząsnęło Glenem głęboko. Wiedział o tym od dawna. Myślał, że pomoże przyjacielowi, gdy pozwoli mu się wygadać. Dlatego też, nie zważając na jego nieufne spojrzenia, zapytał go znowu:

— Nie chcesz opowiedzieć, Glen?

Billy miał rację. Dla Glena najgorszą rzeczą było to, że musiał dławić wszystko w sobie, że nie wolno mu było o tym mówić ani myśleć, a jednak podświadomie wracał do tego przeżycia raz po raz.

— Okey, Billy. Nie jesteś chyba z tych, co to wysłuchawszy cudzych zwierzeń obnoszą je całemu światu... zresztą jest mi to nawet obojętne... To było dwa lata temu... Nad okolicą roztaczał się błękit nieba. Gdzieś wśród prerii stały namioty... Nasze obozowisko składało się z trzech grup przybyszów. Tłoczyły się tam wozy i zaprzęgi, pasły się konie i krowy. Wrzała gorączkowa praca. Mógłbym przysiąc, że i przed pięćdziesięciu laty nie inaczej wyglądało życie pionierów. Niektórzy z osadników mieli jedynie zaprzężone w woły wozy i polowe kuchnie. Przewalały się tam wory z mąką i skrzynie z suszonym mięsem, z gałęzi hikory zwisał olbrzymi kocioł na kawę... Powiadam ci Bill, to był naprawdę malowniczy obraz... Wielu spośród osadników miało pieniądze i mogli oni wziąć się natychmiast do zagospodarowania swych farm. Mogłeś tam spotkać zarówno najcudowniejsze, jak i najprymitywniejsze typy ż Europy i wschodnich stanów. Wśród tych ludzi jakieś dziewięćdziesiąt osób, wliczając w to kobiety i dzieci, stanowili Niemcy i Szwedzi. Tworzyli odrębną karawanę. Wspólnie z Irlandczykami, Hiszpanami i kilku Polakami, którzy dołączyli się do nich, chcieli ruszyć natychmiast w drogę przez dziewiczy las.

Byłem przewodnikiem grupy niemieckiej. Polaków, Hiszpanów i Irlandczyków miał prowadzić niejaki James Ohijeza. Był to Metys, o czym świadczyło już samo nazwisko. Diabli ich wiedzą, skąd wpadli na pomysł, aby jego właśnie wybrać sobie na przewodnika. Był rzekomo agentem

jakiegoś Ziemskiego Towarzystwa Kredytowego... Jak się później okazało — był oszustem, a prawdziwy agent leżał obłożnie chory w Dayton...

Glen zamilkł. Opuścił głowę i zaczął mówić dalej — raczej jednak do siebie niż do Billa, jak gdyby wstydził się mówić o owej dziewczynie:

— June! — wyrwało mu się — No tak! June! Powiedziałem ci nawet już jej imię — dodał ze złością. — Ale to nic! Nazywała się więc June. Jej ojciec był pastorem, daleko na północy, z dala od miejsca, w którym rozbito obóz. Wyczekiwała tu swego brata, który miał po nią przybyć. Nie znała go. Ojciec umieścił ją gdzieś na południu, gdy była jeszcze dzieckiem. Matka odumarła ją bowiem bardzo młodo...

Znów przerwał. Bill zatopił twarz w dłoniach.

— Śpisz Billu?! — zapytał Glen.

Billy potrząsnął przecząco głową. Historia ta zdawała się bardzo go wzruszać, chociaż właściwie Glen nic jeszcze nie opowiedział.

— Jesteś zdaje się sentymentalny, boy? — zagadnął go Glen.

— Być może — mruknął nie podnosząc głowy Billy. Głos jego brzmiał jakoś obco.

Glen wzruszył ramionami.

— Tak, June była najwspanialszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Miała ciemne, orzechowe oczy i piękne usta. Te usta! Uparte, gdy była gniewna i słodkie jak majowy poranek, gdy się uśmiechała. June była delikatną istotą, która wzrastała na obczyźnie. Tęskniła zawsze do stron rodzimych, o których jej tyle opowiadano. Tam na północy znajdował się grób jej matki, tam mieszkał jej ojciec i bracia. Ojciec co kilka lat przyjeżdżał do niej na południe w odwiedziny, lecz nigdy nie widziała żadnego z braci. Pastor nie posiadał wiele pieniędzy i całe lata musiał oszczędzać, by móc sobie pozwolić na podróż. Nie chciał jednakże ciągnąć ze sobą młodej dziewczyny na północ — miasteczko, w którym był kaznodzieją leżało daleko — jak ci już wspominałem — wśród głuchej puszczy, a zima była tam niezwykle ostra. Możliwe, że stary pastor obawiał się, by June nie zapadła na tę samą co matka chorobę... Ale June nie mogła wytrzymać. Napisała potajemnie do brata. Ten odpisał jej, by przyjechała, skoro tylko zbierze pieniądze na drogę. June uciułała potrzebną sumę. Otrzymała jakieś zajęcie — nie pomnę już jakie — dość, że zebrała fundusze, by móc powrócić w rodzinne strony. Brat pisał jej, że zatai to przed ojcem, chce bowiem, by było to dlań niespodzianką. Obiecał czekać na nią koło fortu Mac Murphy, dokąd miała przybyć wraz z grupą osadników... I tak znalazła się June w tej okolicy... Czekała na brata, lecz ten zwlekał z przybyciem... Hm, można powiedzieć, że June i ja lubiliśmy się... Wyjechałem później na jakiś tydzień, by ustalić trasę, którą miałem poprowadzić osadników, obiecałem również June, że rozejrzę się za jej bratem... Nie odnalazłem go, lecz przeżyłem za to przygodę, która miała być dla mnie początkiem końca. Nie przypuszczałem wtedy, że sprawa przybierze taki obrót...

Glen umilkł i spojrzał spokojnie w ciemną noc. Był opanowany.

— Orzechowe oczy! Tak! Jak orzech brunatne oczy! — szepnął Billy.

Glen spojrzał nań ze zdumieniem.

— Co mówisz? — zapytał ostrzejszym niż zamierzał tonem.— Co to ciebie obchodzi?!

— Nic — odparł Billy, ciągle jeszcze patrząc w ziemie. — Nic, Glen. Ale określiłeś to tak pięknie... brązowe jak orzech oczy! Biedna dziewczyna!

Glen chciał go o coś zapytać, lecz nie mógł sobie teraz przypomnieć o co. Myśl, która zaświtała mu przed chwilą, zapadła znowu w otchłań podświadomości.

— Opowiadaj dalej o twej przygodzie! — prosił Billy nie podnosząc głowy.

— Tak, przygoda... Stało się to tak: wczesnym rankiem, kiedy niebo zaróżowiło się tylko, ruszyłem w drogę. Jak okiem sięgnąć rozpościerał się wkoło pusty krajobraz. Tylko tu i ówdzie widniał na równinie jakiś krzak. Daleko na północy ciągnęły się wzgórza porosłe drzewami. Byłem już dobę całą w drodze. Przede mną — bezkresna preria, tylko od północnej strony ograniczona laskiem leszczynowym i krzewami dzikich róż... Wzgórza wyłaniały się jakby z niebieskich obłoków, a wiatr niósł ze sobą cudowną woń dzikich śliw aż tutaj, do mnie... Jechałem wolnym krokiem, odkryłem bowiem ślady kilku ludzi, którzy — jak wywnioskowałem — starali się je zatrzeć za sobą. Nosili mokasyny — rzecz w tych okolicach niespotykana. Jechałem ich tropem aż do małego jeziora. Gromada dzikich gęsi wzbiła się w powietrze, gdzieś opodal stukały dzięcioły... Ślady ginęły w szuwarach. Zsiadłem i uwiązałem konia, po czym zacząłem się skradać jeszcze kawał drogi, by stwierdzić, co się święci... Nie dostrzegłem jednak niczego. Na brzegu tkwił tylko mały kajak. Rozejrzałem się wokoło, potem zawróciłem, zatoczyłem półkole i podszedłem do jeziora z drugiej strony... Podstęp udał się. Ludzie, którzy pozostawili ślady, siedzieli na małej łące, a konie ich pasły się opodal wśród obfitej trawy... Byli zwróceni do mnie plecami. Podkradłem się w ich stronę niepostrzeżenie na parę zaledwie metrów. Dosłyszałem tylko urywek rozmowy. Stary, siwy drab, którego skórzane odzienie zwisało w strzępach, mówił: — „Gdyby natrafił na nasz ślad, musielibyśmy go chyba już dostrzec”. Drugi, młody — mógł mieć niespełna dwadzieścia lat — zwrócony był do mnie tyłem, tak że nie mogłem dostrzec nawet jego profilu, tylko chude plecy i leniwe ruchy: Odparł: — „Możesz się zdać na mnie. Bob. Musiał się natknąć na nasze ślady. Będzie zapewne przypuszczał, że w pobliżu znajdują się Indianie i byłbym cholernie zdumiony, gdyby zignorował te ślady. Jak daleko sięgnąć okiem nie ma tu przecie żadnych rezerwatów”. Trzeci wychylił spory haust z polowej manierki. Był to rudy myśliwy, około pięćdziesiątki. — „Przyjdzie — zamruczał znam go. Musi przecież stwierdzić, czy droga jest bezpieczna. Grupa, jaką prowadzi, jest ociężała i będzie stanowić dla nas łatwy łup. Gdy go unieszkodliwimy, będą musieli wziąć za przewodnika Indianina. Sprawa nasza jest murowana...” Musiałem zadać sobie wiele trudu, by się opanować! To byli więc bandyci, którzy napadali na karawany osadników! Poczynali sobie mądrze, chcąc zwabić mnie na fałszywy trop — byli jednak za mało dowcipni, by zawieść mnie przed lufy swych karabinów! Miałem wprawdzie w prawej ręce karabin, lecz ten był mi teraz raczej zawadą niż pomocą. Położyłem go więc na ziemi i dobyłem koltów. Spokojnie podszedłem do tych bandytów. Odwrócili się natychmiast. Na widok ich głupiej miny, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, mimo całej powagi sytuacji... — „Good morning — powiedziałem do nich, trzymając kolty na wysokości bioder. — Czy dżentelmeni byliby tak łaskawi podnieść się ze swych miejsc? Chciałbym się panom przedstawić, łatwiej rozmawia się oko

w oko...” Poderwali się, całkiem zaskoczeni. Widząc wycelowane w nich kolty zrezygnowali ze wszelkiej obrony. No, źle byłoby zresztą z nimi, gdyby się wdali w strzelaninę. Jak ci już jednak powiedziałem, byli na to za mądrzy... Z udaną obojętnością zapytali, mnie, czego chcę od nich, kim jestem i czy nie spożyłbym z nimi posiłku... Podziękowałem im pięknie i poprosiłem o wskazanie mi, gdzie tkwią ich kompani. Zadaniem moim było przecie wywiedzieć się, czy jakaś druga grupa z tej przeklętej bandy nie błąkała się gdzieś w pobliżu... Draby odparły jednak, że nie słyszały nic ó „Stepowych Wilkach”. Pytali z głupia frant, czy mam na myśli te szare wilki, które są niebezpieczne, zwłaszcza zimą... Nie słuchałem już dłużej. Starszy z tych drabów, kilkakrotnie spoglądał w kierunku jeziora. Spokój bandytów wzbudził we mnie podejrzenia. Odwróciłem błyskawicznie głowę i dostrzegłem po drugiej stronie większą liczbę jeźdźców, którzy wjeżdżali właśnie w szuwary... Nie trwało to nawet sekundy, ale bandytom wystarczyło by dobyć broni — wszyscy trzej, jak na komendę, sięgnęli po swe rewolwery. Działali jednak zbyt powoli, w ułamku sekundy — strzeliłem... Stary, siwy drab wyrzucił ręce momentalnie w górę i padł bez ruchu na ziemię. Drugi postąpił krok naprzód, lecz runął zaraz jakby rażony gromem. Kule ich chybiły. Tylko trzeci miał dość czasu, by wymierzyć, na szczęście — strzelał haniebnie źle. Kula jego strąciła mi jeno z głowy mój nowy kapelusz. Oczywista — nie miałem już czasu go ukatrupić (na co w pełni zresztą zasługiwał), gdyż dostrzegłem skręcających teraz ku mnie w pełnym galopie jeźdźców... Wszystko zależało teraz od tego, czy uda mi się pochwycić mego konia. Biegłem, ile mi tylko starczyło sił. Ten smarkacz strzelał za mną jak opętany, nie trafiając ani razu. Jeźdźcy zrozumieli mój manewr i usiłowali zabiec drogę... Powiadam ci, to był wyścig na śmierć i życie! Możesz mi wierzyć, Billy! Nigdy przedtem nie biegałem tak szybko, mam nadzieję, że nigdy już w życiu nie będę musiał tego czynić... Z pewnością pochwyciliby mnie, gdyby mi nie przyszedł z pomocą mój rumak. Przerażony strzelaniną wyrwał się i pognał na wprost w moim kierunku. Zawołałem nań. Billy — szczęście, że to zwierzę ma rozum jak człowiek. Dało się pochwycić, a raczej pozwoliło mi dosiąść się w pełnym galopie!.. Karabin, oczywista, wzięli diabli. Mieli więc nade mną znaczną przewagę, posiadali bowiem strzelby. Strzelali za mną jak tysiące diabłów! Musiałem jeździć na koniu jak w cyrku — raz na prawo, raz na lewo, a parokrotnie nawet musiałem się uwiesić u jego boku. Nie trafili mnie, choć mogli z łatwością ustrzelić mi konia. Może zresztą nie chcieli tego uczynić! Na Jowisza, nie mam pojęcia, jakie były ich zamiary! W każdym razie byli zbyt podnieceni, by mogli dobrze celować! Strzelali raz po raz, lecz w końcu pozostali w tyle!... Zyskałem na dystansie. Kasztan biegł niezmordowanie naprzód, nie zmniejszając szybkości aż do widniejących na horyzoncie wzgórz. Kiedy dopadłem pierwszego pagórka, zatrzymałem konia i obejrzałem się za siebie. Banda desperados znikła. Zsiadłem z konia, zdjąłem siodło i uprząż, spętałem luźno pęciny i pozwoliłem mu się paść. No, niedużo było tam tej trawy! Zebrałem trochę chrustu i spalonych słońcem źdźbeł i rozniecił em ognisko, ot takie, by można przy nim ugotować od biedy, lichy posiłek. Miałem tylko kawę, jakieś czerstwe pieczywo i trochę słoniny... Słońce zniżało się z wolna ku zachodowi. Postanowiłem przeczekać do zmierzchu, by pod osłoną nocy móc ruszyć dalej. Chciałem gdzieś z boku zahaczyć o tę bandę i stwierdzić

przynajmniej, jakie były ich zamiary... Pomyślałem sobie zaraz, że musieli to być „Timberwolves” — „Stepowe Wilki”! Musiałeś chyba o nich słyszeć, Bill?

— Tak, słyszałem — odparł całkiem cicho, Bill. — Ludzie opowiadali mi o nich!

Glen skinął głową i podjął swą opowieść:

— Słońce zniżało się coraz bardziej. Szkarłatna czerwień pokryła niebo. Niebawem zapanował zupełny zmrok. Na niebie zajaśniał czerwono-żółty księżyc. Było mi trochę nieswojo. Zimny wiatr przepędzał drobne chmurki na niebie, które na chwilę przysłaniały jasną tarczę księżyca. Gdzieś opodal słychać było wycie szakali i kojotów. Kiedy zagasło ognisko, przywołałem mego konia, zdjąłem mu pęta i włożyłem siodło. Ściągałem właśnie rzemienie, gdy nagle znieruchomiałem. Słyszałem wyraźnie kroki, które wkrótce oddaliły się jednak. Jakiś głos zaklął półgłosem po angielsku: — „Damned! Nie mogę dostrzec śladów. Myślę, że zwiał już dawno. Odkrył nas za wcześnie. Zażąda teraz zapewne policyjnej asysty. Do cholery! Karawana wymknęła się nam przez palce”. Odpowiedzią było jakieś hiszpańskie przekleństwo. Równocześnie wyłoniły się z ciemności głowy trzech mężczyzn, którzy wdrapywali się z wolna na stok. Całkiem cicho dobyłem rewolwerów i wysunąłem się z ukrycia. — „Hands up, boys!” — poprosiłem ich grzecznie. Jednego z nich, niespełna dwudziestoletniego młodzieńca o jasnych jak słoma włosach, poznałem natychmiast. Usiłował zbiec. Gdy skierowałem jednak broń w stronę jego żołądka, wahając się, uniósł do góry ręce. — „Porozmawiajmy sobie spokojnie, moi drodzy — ciągnąłem dalej, nie opuszczając mych koltów — tylko musicie odłożyć na bok broń i to szybko, jeśli życie wam miłe. Nie lubię się bawić w ceregiele z takimi squaws jak wy!”. Któryś z nich mruknął, bym zamknął gębę. Wyśmiałem go. — „Mężczyźni w mokasynach mogą pochodzić tylko z indiańskich rezerwatów, nieprawdaż. chłopcy?” Nie zwlekając dłużej, rzucili broń. Kazałem im się odwrócić i podnieść znowu ręce do góry. Usłuchali niechętnie. Podniosłem z ziemi ich broń i wetknąłem sobie za pas. Wyciągnąłem następnie blondasowi jeszcze jeden rewolwer, który usiłował przede mną ukryć w tylnej kieszeni... Nie mogłem jednak odkryć ich koni. Musieli je widocznie pozostawić na prerii... — „Siadajcie, boys” zakomenderowałem. Powiadam ci, Bill, był to komiczny obraz. Draby posłusznie usiadły w półkolu i patrzyły na mnie osłupiałym wzrokiem. Już po raz drugi popełnili głupstwo. Rzecz jasna — rozmyślali nad tym, jak się mnie pozbyć. Cóż, byli jednak bezbronni i nie mogli nic wskórać. Usiadłem opodal, parę metrów od nich. i położyłem sobie kolty na kolanach... — „No i cóż? — zapytałem — gdzie tkwią wasi towarzysze? Co macie w planie? Chcecie napaść na osadników, nieprawdaż? Kto wami kieruje i ilu ludzi ma wasza banda?” Trzeba ci było ich słyszeć! Łajdaki kłamali jak z nut. Nie można z nich było niczego wydobyć. Mogłem ich wprawdzie zabrać ze sobą do obozowiska, ale było to piekielnie niebezpieczne. Nie miałbym swobody ruchów, gdybym ich ciągnął za sobą! Zabić ich, gdy siedzieli bez broni, było mi trochę głupio— postanowiłem więc puścić ich wolno. Wiedziałem i tak dosyć. Nie wolno mi było bez eskorty wypuszczać się z przybyszami w dalszą drogę na północny zachód. Po chwili namysłu powiedziałem: „Odwróćcie się, chłopcy!”. Nie chcieli. Dopiero, gdy strzeliłem parę razy w powietrze na postrach, pognali w dół jak opętani.

Dostrzegłem, że biegli w stronę małej kotlinki. Dosiadłem konia i dotarłem tam inną drogą, dużo prędzej od nich. Za blokiem skalnym stały uwiązane ich konie. Zsiadłem, rozpętałem zwierzęta i strzeliłem parę razy za nimi. Klacze pognały jak szalone. Zdziwiłbym się, gdyby udało się tym zbójcom odzyskać je kiedykolwiek. Sam ruszyłem natychmiast dalej; Wyschniętym łożyskiem podążyłem z powrotem i rozbijałem się dwa dni po okolicy. Nie mogłem jednak wyśledzić reszty członków bandy. Tych trzech, którym napędziłem strachu, spotkałem raz jeszcze, gdy kuśtykali po stepie. Rozdzielili się, dwóch z nich podążyło na północ, a jeden na południe. Nie interesowałem się nimi dłużej i powróciłem do obozu.

Billy podniósł głowę.

— Trzeba było ich ukatrupić, Glen. Miłosierdzie wobec „Stepowych Wilków” nie było całkiem rozsądne!

Glen wzruszył ramionami.

— Nie mogłem wiedzieć na pewno, czy były to rzeczywiście „Stepowe Wilki”, Prawda — może nie powinienem był ich puszczać wolno, ale gdybym ich ciągnął ze sobą i natknął się w drodze na jakąś większą ich grupę — co było przecież bardzo prawdopodobne — byłbym zgubiony! Myślałem, że tak będzie najlepiej. Okazało się, że popełniłem błąd. Teraz, Billy, też jestem zdania, że należało ich zlikwidować. Nie byli warci lepszego końca!

Glen umilkł na chwilę.

Po pewnym czasie zaczął dalej opowiadać:

— W campie zanosiło się na prawdziwą rewoltę, gdy powróciwszy zapowiedziałem, że musimy przesunąć termin naszego wymarszu i zaczekać, aż przybędzie u- zbrojona konna policja. Ohijeza nazwał mnie durniem. Nie chciałem z nim zaczynać. Mogło to wywrzeć kiepskie wrażenie na ludziach, którzy nie znali tego kraju. Metys postawił więc na swoim i jak się później dowiedziałem, poprowadził osadników wprost w objęcia „Stepowych Wilków". Obrabowano ich i zupełnie ogołoceni dotarli do następnej stacji. „Stepowe Wilki" były w zmowie z tym brudnym mieszańcem... Kiedy zostałem zakrzyczany przez Ohijezę, Irlandczyków, Hiszpanów i Polaków powiedziałem, że w tych warunkach nie mogę prowadzić również i Niemców. Wiedziałem z góry, do czego to doprowadzi, chociaż nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z podwójnej gry, jaką prowadził Metys. June, wspaniała June; opowiedziała się jednak za mną. Ale któż zważał na słowa młodej dziewczyny! Chodziłem przygnębiony, wściekły na Ohijezę. Opowiedziała mi wtedy, że w czasie mej nieobecności przybył jej brat...

W tym miejscu Billy przerwał opowiadanie kilkoma szybko wtrąconymi słowami:

— Rzeczywiście przybył? Jej brat?

— Well. Co za pytanie?

— Nic. Opowiadaj dalej, Glen!

— Więc nie przerywaj mi raz po raz! Zatem June opowiedziała mi o tym i cieszyłem się razem z nią. Byłem rad poznać tego młodzieńca... June powiedziała mi jednak, że pojechał teraz do miasta, gdzie chciał poczynić jakieś zakupy dla ojca. June musiała nawet wyłożyć pieniądze, bo nie miał ani grosza. „— Spotkamy się w Raleigh — mówiła: — Ma mnie tam oczekiwać. Pojadę zaraz po południu zaprzęgiem”. — „W Raleigh?" —

zdumiałem się. Knajpa Raleighsa nie miała dobrej opinii. Nie dałem jednak nic po sobie poznać. Powiedziałem tylko, że pojadę tam, złożę mu pozdrowienia i zaczekamy razem na June. Jej milutka twarzyczka pokryła się purpurą. Szepnęła mi: — „Proszę mi powiedzieć, jak on się panu podoba, ale niech pan nie będzie zbyt surowy! Jest trochę zdziczały!” — „Jest pani bratem — odparłem — a to mi wystarcza”. — „Drogi przyjacielu” — zdołała tylko wyjąkać i zanim zdążyłem coś powiedzieć, znikła. Pojechałem do miasta, do knajpy Raleighsa. Panował tam zaduch, w powietrzu kłębiły się gęste obłoki dymu. Podłogę stanowiło tu zwyczajne klepisko. Przy stołach siedziały typy o pijackich gębach i szulerzy. Było tam też paru marynarzy z rzecznych okrętów, kilku drobnych ranczerów, farmerów i kowbojów... Gdy wszedłem, wpadł mi w oczy młody drab o słomianych włosach, który stał oparty o kontuar. W tej samej chwili chłystek spojrzał na mnie. — „Do diabła!” — wymamrotał, a ja — nie zdając sobie z tego sprawy — sięgnąłem po rewolwer... „Ludzie! Miejsca! Mam tu maleńki rachuneczek do wyrównania!” — zawołałem donośnym głosem. Poznałem w tym blondynie bandytę z prerii. Drab usiłował dobyć rewolweru. Byłem jednak szybszy od niego. Ludzie rozbiegli się ku wyjściu lub pod ściany. Niemal równocześnie huknęły strzały z naszych koltów. Kula moja trafiła go jednak o jedną sekundę wcześniej, niż zdążył nacisnąć cyngiel. Śmiertelnie ranny nie mógł już celować... zresztą nigdy nie był, zdaje się, dobrym strzelcem... Jak ci już powiedziałem, ludzie rozbiegli się na wszystkie strony... Nagle drzwi od ulicy rozwarły się. Na progu stała June. — „Co się stało? — zapytała dostrzegłszy mnie. — Co się stało?..." Wzrok jej padł na twarz zabitego. Krzyknęła głośno i rzuciła się w stronę leżącego w kałuży krwi trupa. Chciałem ją powstrzymać: — „Niech pani opuści ten lokal, June!” — prosiłem, ujmując ją za ramię. Odtrąciła mnie jednak. Uniosła głowę bandyty, wołając o wodę i lekarza, po czym zapytała nieswoim głosem: — „Kto to uczynił?” — „Ja” — odparłem spokojnie w przeświadczeniu, że działałem przecież w obronie koniecznej. June spojrzała na mnie straszliwym wzrokiem. — „Glen, zamordowałeś mego brata!” — krzyknęła. Stanąłem jak wryty. Ludzie w saloonie Raleighsa poczęli się krzątać wokół zabitego. Wykrztusiłem wreszcie: — „June, nie wie pani, jak do tego doszło. To przeznaczenie...”. Spojrzała na mnie zimnym, nienawistnym wzrokiem: — „Jakkolwiek by się rzecz miała — nie chcę pana widzieć więcej!”. A kiedy mimo to usiłowałem się do niej zbliżyć, powtórzyła mi, miotając błyskawice z oczu: — „Nigdy! Nigdy! Zabrał mi pan, co miałam, prócz ojca, najdroższego na świecie! Precz! Czy nie może pan pojąć, że nie chcę pana więcej znać?" Wyszedłem z knajpy...

Umilkł. Wstał z miejsca.

— Tak, Billy! Cóż mogę ci jeszcze powiedzieć? Ludzie zebrani u Raleighsa zaczęli mnie ścigać. Uszedłem i teraz buduję ten przeklęty gościniec. Faktem jest, że brat June był bandytą. Nie powinna się jednak nigdy o tym dowiedzieć! Dlatego już nie wymieniam ci jej nazwiska, Billy!

— Znam je — odparł Billy, unosząc głowę.

Miał oczy zalane łzami.

Glen spojrzał nań osłupiały.

— Znasz jej nazwisko, Billy? — zapytał, wytrącony zupełnie z równowagi.

Patrzył gniewnie na swego towarzysza. Zdumiony obserwował jego zmienione oblicze.

— Yes. Nazywa się June Farley! Jej ojciec jest pastorem w White Hills a brat jej nazywa się Tommy — Tommy Farley!

— Tak, tak! — krzyknął Glen, nie panując już całkiem nad sobą. — Billy, skąd wiesz o tym?!

— To bardzo proste — odparł Billy. — Nazywam się Tommy Farley, a nie Billy Bill. Jestem bratem June!

III

W pierwszej chwili zdawało się Glenowi, że źle zrozumiał słowa Billa. Trwało dość długo, zanim uświadomił sobie, co właściwie wyznał mu Billy, a raczej — Tommy Farley.

Nagle pochwycił Tommy'ego za bary i potrząsając nim zawołał:

— Ty jesteś jej bratem? Bratem June? Ty jesteś Tommy?

— Tak! Jestem bratem June, Glen, wierz mi!

Glen westchnął głęboko, po czym potrząsnął głową:

— Przecież to niemożliwe! To niemożliwe!

— A jednak — odparł Tommy stanowczo. — Słuchaj Glen... — przerwał mu — może zejdziemy trochę na bok, yes?

Szli teraz wzdłuż skalnych złomisk. Tommy jąkając się opowiadał teraz swe dzieje.

— To było tak... June nie znała mnie. Kiedy miałem przybyć do June, zdarzyła mi się ta historia na kanadyjskiej granicy. Przesiedziałem pół roku we więzieniu. Nie chciałem, by mój stary dowiedział się o tym...

Urwał. Po chwili jednak ciągnął dalej.

— Desperado, którego zastrzeliłeś — ten ze słomiano-jasnymi włosami i zszarzałą twarzą — to był również brat June. Nazywał się Mac i był mym przyrodnim bratem. June nie wiedziała nic o jego istnieniu. Ojciec napisał jej przed laty, że Mac umarł. Tak jednak nie było naprawdę. Już jako szesnastoletni chłopak Mac uciekł między bandytów. Wierz mi Glen; że Mac nie zdawał sobie wówczas sprawy z tego co czyni... Kilkakrotnie uciekał od swych towarzyszy... Ilekroć powracał — a wracał zawsze obszarpany i wyniszczony — ukrywałem go potajemnie. Uchodził jednak znowu. Nie mógł już porzucić swego rzemiosła. Możesz o nim myśleć co chcesz, ale był to przecież mój brat. Ja sam również byłem wykolejonym urwipołciem. Wtedy, kiedy przebywałem w więzieniu, dowiedziałem się przypadkiem o jego kryjówce. Zwróciłem się do niego. Nie zdawałem sobie sprawy, że bandyta pozostanie zawsze bandytą. Posłałem mu wiadomość i prosiłem, by odwiózł June do ojca... Być może ojciec wtedy wybaczyłby mu i Mac stałby się znowu uczciwym człowiekiem... Tak przynajmniej myślałem. Mac odpisał, że się zgadza. Był jednak łotrem i pozostał nim do ostatniego tchnienia, zdaję sobie teraz z tego doskonale sprawę. Chciał zgubić June tak samo, jak i innych przybyszów. Nie mogę jednak pojąć, jak można nie mieć żadnych skrupułów nawet wobec własnej siostry. Dobrze się stało, Glen, że go zabiłeś. Był niepoprawnym szubrawcem... Będzie to dla mnie bodźcem, by znowu jak najrychlej powrócić do świata ludzi uczciwych... Tu gotów jestem wykoleić się tak samo, jak on. Mam zresztą teraz plan. Doskonały plan. Nie chcę, by June żyła dalej w przeświadczeniu, że postąpiłeś nikczemnie wobec jej brata. Myślała, że Mac to ja... Jak widać Mac nie usiłował wyprowadzić jej z błędu. June musi dowiedzieć się prawdy. Napiszę do niej drugi list, który ty, Glen, jej zawieziesz...

Ale Glen przerwał jego wywody oświadczeniem, że nigdy tego nie zrobi. Tommy może napisać do swej siostry, ale on, Glen, nie pokaże się jej już nigdy na oczy.

— Nie mogę tego uczynić i nie wiem zresztą, jak przyjęłaby mnie June. Nie zniósłbym, gdyby mnie po raz drugi odepchnęła. Pogodziłem się już z tym, że nigdy jej nie zobaczę... Może tak nawet lepiej...

Tommy zaoponował gorąco.

— Jesteś głupi, Glen, i nie znasz dziewczyny. Zresztą, mam do ciebie prośbę — przysięgam ci, że myśl ta dręczyła mnie od dawna i nie jest żadnym wybiegiem. Zaoszczędziłem sobie czterysta dolarów, które chcę dać memu ojcu. Nie mogę ich powierzyć nikomu. Dam ci te pieniądze, zawieziesz je ojcu i powiesz jemu i June, żeś mnie spotkał. Rozmówisz się z June i przysięgam ci, że będzie najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem. A więc Glen, zrobisz to dla mnie?

Ale Glen opierał się. Tłumaczył Tommy'emu, że musi tę sprawę gruntownie rozważyć. Obaj przyjaciele powrócili do swych baraków. Było już późno, ułożyli się więc do snu.

Następnego dnia zapadła decyzja.

Stało się, jak pragnął Tommy.

I znów stali robotnicy rzędami przy pracy... Ich łopaty błyszczały w słońcu, w oddali słychać było głuche detonacje. Gdzieś na boku stały parowozy. Słońce rozpalało szyny kolejki, które połyskiwały teraz w słonecznym blasku jak srebrne sznury. Bagrownice czerpały ziemię i ładowały ją do stojących rzędem wózków.

Tommy stał wsparty na swej łopacie i dumał w zamyśleniu.

Chess, robotnik, który pracował obok Tommy'ego otarł dłonią spocone czoło i zapytał:

— Człowieku, co z tobą?

Tommy wzruszył ramionami.

— To wszystko niknie niemal w oczach, Chess! Jeszcze kilka tygodni i las zniknie... Miejsce jego zajmie gościniec i z leśnej głuszy pozostanie tylko legenda, o Old Pavos i Nebrasce, którą opowiadać będą przy obozowych ogniskach. Zwierzyna już uciekła stąd dawno. Teraz będą jeździć eleganckie auta i limuzyny... Tak, zabierając nam naszą puszczę, dają nam w zamian maszyny i cywilizację. Lecz cóż to warte człowieku?

Chess słuchał uważnie. Był znacznie wyższy od Tommy'ego, jego głowa osadzona na krótkiej szyi podobna była do głowy bizona

— Jesteś, człeku, filozofem — mruknął. —- Nie ma jednak sensu myśleć za dużo. Wprawdzie pracujemy tu jak bydło, ale zarabiamy niezłą paczuszkę dolarów i z końcem miesiąca robi się z tego pokaźna sumka!

— No, tak! O ile nie przepiło się jej przedtem, jak to bywa w zwyczaju niejakiego Chessa — odparł Tommy, przymykając jedno oko..

W czasie obiadowej przerwy czterdziestu robotników odpoczywało wzdłuż toru. Tommy opowiadał, że zamierza posłać swe oszczędności ojcu.

— To niezła myśl — powiedział Sandy, nadzorca. — Well, wcale dobra myśl!

Phunkett, mężczyzna o patriarchalnej brodzie splunął i oświadczył, że on także rad by oddać swych parę dolarów w dobre ręce.

Tommy zaśmiał się.

— No, nie możemy sobie pozwolić na własnego kuriera, ale moje pieniądze przewiezie Glen Robles.

Oczy robotników zwróciły się w stronę Glena, który siedział w drugiej grupie.

Sandy, który był doświadczonym wygą, zaproponował po krótkiej przerwie:

— Jeśli Glen faktycznie nas opuszcza i chce przewieźć pieniądze dla twego ojca, to będzie chyba mógł zrobić to samo i dla nas. Poprosimy, by nadłożył trochę drogi do stacji i złożył nasze pieniądze na koncie w banku. Wtedy dopiero będziemy mogli spać spokojnie.

— Well! — zawołał Tommy, oczy zaświeciły mu się wesoło i dodał chytrze — myślę to samo!

Chess, który słuchał dotąd w milczeniu, dorzucił:

— To mądry pomysł. Glenowi można zawierzyć, a my przynajmniej nie przepijemy naszych pieniędzy!

Pomysł spodobał się wszystkim.

Gościniec biegł przez puszczę, ale niezbyt daleko od ludzkich osiedli. W okolicy kopano niegdyś złoto i ludzie, którzy tu pracowali założyli miasteczko, ochrzczone mianem Mine Red Flow City, Było to małe, prymitywne osiedle. Kopalnia złota Red Flow Mine stała teraz cicho, a rozpadające się już domostwa w miasteczku ożywili dopiero robotnicy, którzy przybyli tu budować drogę.

Osada mogła już się poszczycić kilkoma sklepami, w których można było dostać wszystkiego pod dostatkiem. Pobudowano nawet parę domów, które zamieszkiwali kupcy i rodziny inżynierów. Były to wprawdzie tylko drewniane domostwa rozrzucone nieregularnie, stanowiły już jednakże jakąś zapowiedź cywilizacji. Robotnicy przybywali tu tylko w soboty i niedziele, i wówczas miasteczko ożywiało się. Fryzjerzy podnosili rolety, a sklepy i restauracje zapełniały się gośćmi. Przed witrynami traktierni stały grupki ludzi, delektując się wywieszonymi spisami potraw, które obiecywali sobie zakropić prawdziwym hawajskim rumem lub piwem. W hotelu „Atlantic” grała muzyka, co prawda tylko gramofonowa, ale i to wystarczało tkwiącym na odludziu i nie bardzo wybrednym gościom.

Tak wyglądało Red Flow City.

Kto oczekiwał, że znajdzie tu coś w rodzaju kolejowego i dworca, musiałby się wielce rozczarować. Jak wiadomo, dworce znajdują się tylko tam, gdzie biegnie linia kolejowa. Red Flow City obywało się jednak bez tego rodzaju środków lokomocji. Najbliższa stacja oddalona była o dobrych kilkadziesiąt kilometrów — wokoło Red Flow City panowała dziewicza puszcza. Listy dochodziły tu raz na parę dni, zależnie od humoru stacyjnego pocztmistrza.

Nie było więc rzeczą łatwą dla robotników ulokować bezpiecznie w mieście swe oszczędności. Pomysł przekazania pieniędzy zaufanemu człowiekowi, który by dotarł do stacji i w jakimś większym mieście złożył je w banku — wydał im się znakomity.

Nikt też nie nadawał się ich zdaniem do tego lepiej jak właśnie Glen Robles. Glen Robles nie pił, nie grał w karty, nie szukał z nikim zwady i nie

mówił nigdy za wiele. Krótko mówiąc — Glen Robles cieszył się powszechnym szacunkiem i zaufaniem tych ludzi. Toteż jeszcze tego samego dnia zjawiła się u niego delegacja robotników, która obarczyła go misją przewiezienia pieniędzy.

Glen przystał na to. Nie wahał się już dłużej. Całą noc rozmyślał o sprawach, które poruszył w swej rozmowie Tommym i doszedł do wniosku, że musi udać się do ojca Tommy'ego, by pojednać go z synem; Musiał mu też powiedzieć, że zabił Maca i w jakich stało się to okolicznościach. Jeśli stary pastor mu przebaczy, nie będzie miał potrzeby zaprzątać sobie dłużej tą sprawą głowy. No, a cóż będzie z June? — pytał w myślach. June nie wchodziła w rachubę, była teraz zapewne młodą, piękną damą z towarzystwa, która z pewnością na niego — biednego trapera i robotnika — nie zechce nawet spojrzeć.

Trudno! Glen pogodził, się już z tą myślą.

Nie mógł odmówić również prośbom swych towarzyszy. Uważał bowiem, że lepiej będzie dla nich, gdy ulokują swe pieniądze w bezpiecznym miejscu. Mogło się bowiem łatwo zdarzyć, że jakaś banda „Stepowych Wilków” napadnie i splądruje obóz. Co pewien czas pokazywali się przecież jacyś obcy ludzie o podejrzanym wyglądzie, którzy myszkowali w okolicy i zapadali się znów jak gdyby pod ziemię. Prosił jednakże, by dodano mu dla pewności jeszcze jednego człowieka. Odpowiedzialność była przecież ogromna!

Chess zgłosił się na ochotnika i robotnicy przystali na to. Chess był silny jak niedźwiedź i jakkolwiek Glen nie był ułomkiem, lepiej było, gdy tacy dwaj ludzie byli razem.

W kilka dni później Glen i Chess odjechali. Tommy przypomniał Glenowi jeszcze tysiąc drobiazgów, o których miał donieść jego ojcu. Glen przyrzekł, że nie zapomni o niczym.

Naczelny inżynier miał również kilka zleceń, tak więc ostatecznie cała ta wyprawa opłacała się całkowicie. Na cześć odjeżdżających urządzono pożegnalną popijawę i cały obóz był tego wieczora na wielkim rauszu.

Rano Chess i Glen ruszyli z campu.

Obaj byli wytrawnymi jeźdźcami, obaj też z rozkoszą wsłuchiwali się w tętent. kopyt swych koni. Zwłaszcza Chess, mimo swej tuszy, trzymał, się w siodle tak, jakby był z nim zrośnięty.

Ostatnie cienie nocy rozpraszał zbliżający się świt. We mgle jaśniejącego poranka jechali dalej. Niebo miało nienaturalny fioletowy kolor, a rozpraszające się opary nocy kreśliły na nim fantastyczne kształty. Konie biegły teraz kłusem, wzbijając tumany kurzu. Glen odwrócił się, ale camp znikł już im dawno z oczu i skrył się za widniejącym daleko na horyzoncie lasem.

— Jak długo jeszcze będzie trwała nasza jazda? — zapytał nagle Chess.

— Myślę, że damy radę w dwa dni — odparł Glen nie patrząc na swego towarzysza— inżynier mówił, że to jakieś sześćdziesiąt mil. Jeśli faktycznie jest tyle, wystarczy nam dwa dni dobrej jazdy!

— Może znajdziemy gdzieś ranczo, na którym będzie można przenocować?

Glen roześmiał się.

— Pod warunkiem, że nie powiemy skąd przybywamy. Nie bardzo życzliwie są usposobieni dla naszej budowy. Nie bez powodu! Nasi chłopcy

postępowali nieraz dość głupio! Damned! Ranczerzy mają rację, że nie chcą się z nami zadawać!

To co Glen mówił, było całkowicie prawdą. Chociaż budowa gościńca podnosiła ich ziemie w cenie, ranczerzy byli wrogo do niej nastawieni.

Glen i Chess oglądali okolicę. Budowano tu gigantyczne dzieło. Na każdym kroku znać było żmudną i gorączkową pracę. Wszędzie natrafiali na ślady dynamitu, maszyn i ludzkiej ręki. Szosa ciągnęła się niby gładka biała wstęga. Przerywały ją tylko czasem mosty, których żelazne przęsła odcinały się na jasnym tle gościńca.

Mimo bezgranicznego podziwu, Glena ogarniał smutek na widok tego kolosalnego dzieła. Czuł, że coraz więcej obcych będzie nawiedzać te okolice. Spokój zakłócą klaksony aut, a żywiczną woń lasów zastąpi smrodliwy zapach benzyny...

Około południa zsiedli z koni. Rozsiodłali je i rozniecili ognisko, by zagrzać sobie nieodzowną kawę. Odpoczywali godzinę; po czym ruszyli w dalszą drogę.

Prażył słoneczny żar. Powietrze drżało jak rozgrzane szkło. Jakieś dwie mile od miejsca, gdzie się teraz znajdowali, dostrzegł Glen stado mustangów, barwną

plamą odcinające się na tle szerokich pastwisk. Zawładnęła nim nagle tęsknota za stepem, coś gnało go w stronę tych zwierząt, chciał przedzierzgnąć się nagle w kowboja i pohasać na swym rumaku po prerii. Och! Móc się znaleźć znów wśród kowbojskiej braci, pośród tych synów stepu, posłuchać ich nieokrzesanych, lecz poczciwych rozmów, pożartować tak sobie z nimi trochę... Byłby też chętnie do nich podjechał, gdyby nie Chess, który jechał obok w milczeniu. Glen spojrzał nań przelotnie. Wyglądał śmiesznie z uwieszonymi u pasa koltami...

Dopiero nazajutrz koło południa wyłoniło się przed nimi ranczo. Po raz pierwszy od wielu godzin otworzył Glen usta:

— Hej, Chess!? Sądzę, że najlepiej będzie poprosić ranczera o nocleg, co?

Chess mruknął pod nosem coś, co wyglądało na przytaknięcie i skierował swego konia w stronę widniejącego z dala rancza.

Glen otarł chustą spocone czoło i zajechawszy przed dom krzyknął:

— Hallo!

Nikt nie odpowiadał.

— Hallo!! — krzyknął ponownie.

Na progu pojawił się bosy chłopak, który na widok obu jeźdźców skrył się w okamgnieniu. Za chwilę wyszedł jakiś mężczyzna, widocznie sam ranczer. Zbliżając się, zmierzył ich podejrzliwym wzrokiem.

— Chcieliśmy zapytać, czy pan nie zechciałby użyczyć nam u siebie kwatery? — zagadnął go Glen, usiłując nadać swemu głosowi możliwie grzeczny ton.

— Skąd was naniosło?! — zapytał z kolei ranczer, spozierając nieufnie na Chessa.

Glen wykonał szeroki gest, który miał określać skąd przybywali.

— Ot, stamtąd! Jedziemy dalej na wschód!

Nieufność ustąpiła miejsca jawnej ironii.

— „Ot, stamtąd” — to niezłe określenie — powiedział. — No, gentlemans! Nie mam dla was miejsca na moim ranczo! Bardzo mi

przykro, ale pozostaje mi tylko życzyć wam dobrej nocy pod gołym niebem. Przy ładnej pogodzie nie jest to takie złe.

To mówiąc odwrócił się i znikł.

Glen spojrzał zdumiony, na nieruchomą twarz Chessa.

— Wyjątkowo nieuprzejmy gość, co Chess?!

Chess ziewnął.

— Hm! Wygląda na to, że domyślił się, skąd jedziemy! Jego rada, byśmy się przespali na dworze przy tak pięknej pogodzie nie jest najgorsza.

Glen uśmiechnął się kwaśno i ruszyli dalej. Ujechali jeszcze gościńcem jakąś milę, a kiedy się ściemniło, popędzili konie w stronę porastających szałwią łąk i zaczęli rozglądać się za odpowiednim miejscem na obozowisko.

Znaleźli się nad brzegiem strumyka, który, prócz orzeźwiającej wody, zawierał małe rybki, niezłą przekąskę do konserw, z których składał się ich prowiant.

Posiliwszy się, nabili fajki i zakurzyli. W zadumie patrzyli na przygasające ognisko. Wokoło panowała cisza i spokój — tylko wiatr szeleścił w wysokiej trawie.

— Będziemy jednak musieli czuwać! — powiedział, nagle wyrywając się z zadumy, Glen.

— Eee...! — odparł pogardliwie Chess.— Po co? Przez cały dzień nie widać było ani żywej duszy, prócz tego łajdaka ranczera. Myślę, że pełnienie straży jest całkowicie zbędne!

— Well, gdybyśmy nie mieli przy sobie tych siedmiu tysięcy dolarów — odparł Glen. — Przyznasz, że to pokaźna suma. Głupio by było ją stracić... Jestem za tym, byśmy czuwali na zmianę. Pomyśl o „Stepowych Wilkach”. Ta banda zjawia się zawsze tam, gdzie się jej najmniej można spodziewać. Nie mam ochoty dostać uncji ołowiu między żebra i to w czasie snu!

Chess odwrócił głowę i spojrzał Glenowi w twarz w blasku dogasających polan.

— „Wilki Stepowe”? A cóż ty właściwie wiesz o nich?

— Mało. Myślę jednak, że należy się z nimi liczyć. Te draby niepokoją przecież całą okolicę.

Chess zaśmiał się.

— Jak dotąd nie widziałem żadnego! Glen, to nonsens!

— To, że się kogoś nie widziało, niczego jeszcze nie dowodzi. Obawiam się, że ludzie, którzy umieją być niewidzialnymi, są w dwójnasób niebezpieczni!

Chess roześmiał się jeszcze głośniej. Glen odruchowo odwrócił głowę.

— Powiem ci coś — mruknął Chess. — Moim zdaniem twoje „Stepowe Wilki” nie istnieją w ogóle. Za każdym razem jacyś inni łotrzykowie podszywają się pod to miano, ponieważ to wywołuje wśród ludzi pewne wrażenie!

Glen wzruszył ramionami.

— Być może. Na wszelki wypadek obejmę pierwszy straż. Około północy obudzę cię!

— All right! — Chess nie oponował więcej.

Owinął się w derkę i podłożył sobie pod głowę siodło. Po kilku minutach jego donośny, miarowy oddech oznajmił, że śpi już snem sprawiedliwych.

Glen wstał i sprawdził raz jeszcze więzy w pęcinach pasących się koni. Ogarnął go nagle dziwny niepokój; nie umiał sobie tego wytłumaczyć i to go dręczyło. Jeszcze nigdy nie miał przy sobie tak olbrzymiej sumy. Za pasem tkwiło ukrytych czterysta dolarów, które wręczył mu Tommy. Usiadł wreszcie pod jakimś drzewem i oparł plecy o jego pień. Siedział tak nieruchomo jak posąg i patrzył w dal.

Na niebie pojawił się księżyc, oświetlając swym mlecznym światłem prerię. Gościniec wił się jak srebrna wstęga, odcinając się wyraźnie od ciemnego tła okolicy. Gdzieś w dali wyły kojoty. Myślami był teraz Glen przy Tommym. „To mimo wszystko dobry chłopak — pomyślał — a nawet szczęśliwy! Miał ojca i siostrę, miał dom dla którego warto było pracować...”

A cóż miał on, Glen? Nic, prócz konia i bezkresnej prerii. No tak, nie masz to jak wolność i dziki step, ale... Czasem tłukło się jednak jego serce z tęsknoty za czymś nieokreślonym...

„Tak, tak — old fellow” — mówił do siebie w duchu — „czujesz się jednak samotny, piekielnie samotny jak jakiś wykolejeniec!”

Nagle znieruchomiał: usłyszał wyraźnie tętent kopyt. Pochwycił swą strzelbę i czekał. Po chwili dojrzał w świetle księżyca samotnego jeźdźca, galopującego wzdłuż szosy.

Glen zauważył coś jeszcze. Oto Chess, który zdawał się być dotąd pogrążony w głębokim śnie wyprostował się i również pochwycił karabin.

„Musiał mieć niewiarygodnie lekki sen, skoro obudził go tętent" — pomyślał Glen. Gościniec był bowiem odległy od miejsca, w którym obozowali o dobre pięćdziesiąt metrów.

Jeździec znalazł się teraz na równej linii z ich obozowiskiem. W jasnym świetle księżyca musiał dostrzec sylwetki ich koni. Glen zachowywał się cicho i czekał. Było mało prawdopodobne, by ten nieznajomy miał jakieś złe zamiary, prawdopodobnie musiał to być kowboj, który znalazł się tu przypadkiem.

Ale co, u licha, zamierzał teraz Chess? Po co podniósł karabin i złożył się do strzału? Glen podskoczył i wybił mu lufę z linii celu.

— Zwariowałeś! — zawołał Glen wściekłym, ale przyciszonym głosem. — Nie możesz sobie strzelać ot tak dla sportu!

— Jeśli ten drab będzie miał ochotę tu się zbliżyć, strzelę... — mruczał Chess. — Nie podobają mi się faceci, którzy tak późną porą włóczą się po szosie...

— Nie jesteś zdaje się przy zdrowych zmysłach! — odparł ze złością Glen. — Opanuj się, człowieku!

Nagle rozległo się wołanie przybysza.

— Halo, boys!

— Czego chcesz? — odkrzyknął gromkim głosem Glen.

— Głupie pytanie! — zawołał jeździec i chciał przesadzić rów dzielący szosę od stepu.

Nagle Chess odezwał się swym tubalnym głosem.

— Zostań tam gdzie jesteś! Nieciekawi jesteśmy twoich odwiedzin! Mogłoby to — jak przypuszczam — zaszkodzić twojemu zdrowiu, lepiej więc, jeśli ruszysz spokojnie dalej swoją drogą!

Chwilę jakąś pozostał jeździec nieruchomo w siodle, jak gdyby niełatwo mu było przełknąć niezbyt życzliwe słowa Chessa. Zawrócił konia, ujechał

kawał drogi i zatrzymał się znowu. Twarzy jego nie było widać, ale głos jego brzmiał donośnie.

— Włóczęgi, łajdaki! Kimże możecie być, jak nie bandytami, jeśli boicie się uczciwego kowboja...

Reszta jego słów zlała się z hukiem karabinowego strzału. Rozległy się uderzenia kopyt i jeździec zrezygnował z dalszej rozmowy.

Chess zaśmiał się złośliwie i opuścił dymiący się jeszcze karabin.

— Myślę, że jesteś skończonym durniem — powiedział Glen podnieconym głosem. — Cóż mógł nam zrobić ten samotny jeździec? Niepotrzebnie narobiłeś hałasu!

Chess wzruszył ramionami.

— Nie potrzebujemy towarzystwa, którego nie znamy. Co nam z tego? Tyle tylko, że trzeba by ciągle uważać!

Glen nie odpowiedział. Był zupełnie zdezorientowany. Zapewne Chess miał w pewnym sensie rację, ale sposób w jaki odniósł się do przybysza był co najmniej dziwaczny.

— Połóż się! Sam obejmę wartę! — powiedział Chess głosem, jak gdyby się nigdy nic nie przytrafiło.

— Jeszcze nie ma północy — zauważył Glen.

— Wszystko jedno, spałem dość długo. Możesz spokojnie się położyć! Będę czuwał!

Glen owinął się derką. Przygoda nocna spędziła mu zupełnie sen z powiek. Przez długi czas leżał, usiłując nadaremnie zasnąć. Wreszcie zapadł w lekką drzemkę. We śnie dręczyły go zmory, budząc go raz po raz. Upłynęła może godzina. Glen rozejrzał się wokoło. Spostrzegłszy jednak sylwetki koni i swego towarzysza uspokoił się i położył się znowu.

Opadły go znów majaczenia senne. Widział jakieś potworne zwierzę, które przytłoczyło go swym ciężarem. Nie mógł się ruszyć, coś paraliżowało mu ruchy. Zdobył się na nadludzki wysiłek...

Obudził się i rozwarł oczy.

W tej samej chwili rozległ się strzał, tuż koło jego ucha i poczuł w plecach dotkliwe uderzenie. Rozłożył ręce i padł na wznak, zdołał jeszcze dojrzeć twarz Chessa wykrzywioną diabelskim grymasem, który z rewolwerem w ręku zbliżał się doń teraz. Usiłował się podnieść, lecz jakaś czerwona mgła przesłaniała mu oczy. Słyszał tylko głos zdrajcy, który śmiejąc się szatańsko mówił:

— Jesteś jeszcze przytomny, Glen? Słyszysz mnie jeszcze, co? Posłuchaj więc! Ja jestem jednym ze „Stepowych Wilków”. Przykro mi to mówić, chłoptasiu, ale wygląda na to, że już się nie podźwigniesz! Jesteś śmiertelnie ranny. Jeszcze jedna kula byłaby dla ciebie łaską! Ale nie! Męcz się! Jeśli uda ci się nawet wylizać, w oczach swych towarzyszy pozostaniesz złodziejem! Good bye, my darling Glen!

Słowa te tylko częściowo dochodziły do świadomości Glena. Zdawał sobie tylko z jednego sprawę — Chess napadł go w czasie snu i postrzelił.

Glen nie znał przedtem bliżej swego towarzysza. Uważał go za robotnika, jak wielu innych. Skąd mógł wiedzieć, że ten łajdak jest „Stepowym Wilkiem”? Jęknął raz jeszcze i zemdlał. Czuł jeszcze tylko, że bandyta opróżnił mu kieszeń, w której znajdowały się pieniądze.

Księżyc zaszedł już dawno, a na niebie różowiła się jutrzenka, gdy odzyskał przytomność.

Co się stało? Czy śnił znowu? Gdzie Chess?

Próbował się unieść, ale dotkliwy ból w plecach zwalił go znowu na ziemię. Nie śnił więc! Szybko pomacał kieszeń na piersiach.

Pusta!

Pierwszą jego myślą było wstać i rozejrzeć się za Chessem. Daremny trud! Chess trafił dobrze! Palce Glena natknęły się na ranę w barku. Koszula pokryta zakrzepłą krwią... Rozumiał teraz, dlaczego był taki osłabiony i skąd pochodził ten łoskot w skroniach! Chess musiał widocznie zdzielić go jeszcze kolbą po czaszce!

Pieniądze znikły! Siedem tysięcy dolarów! Wszystkie oszczędności pracujących w pocie czoła ludzi! Do diabła! Musi jednak dostać jeszcze Chessa w swe ręce! Spróbował ponownie unieść się z miejsca. Pomimo wielkiego bólu udało mu się to wreszcie. Stanął. Ale znów pociemniało mu przed oczyma. Zatoczył się. Usiłował znaleźć jakieś oparcie, lecz padł znowu na ziemię. Znów stracił przytomność.

Kiedy odzyskał pamięć, był już dzień. Słońce stało wysoko nad horyzontem. Na twarz padał mu jakiś cień. Zdumiał się. Drzewo było poza nim, skąd więc u licha ten cień? Ktoś musiał tu stać!

Z trudem uniósł głowę. Zobaczył łeb swego wiernego kasztanka. Chessowi nie udało się go pochwycić! Widocznie nie miał zbyt wiele czasu...

Poczciwe zwierzę zdawało się pojmować bezradność swego pana. Podeszło bliżej.

— Ho, stary przyjacielu — zawołał Glen słabym głosem. — Jeśli mi pomożesz, jest szansa, że uda mi się stanąć na równe nogi!

Jęcząc wyprostował się znowu. Udało mu się pochwycić grzywę zwierzęcia. Nadludzkim wysiłkiem wyprostował nogi. Stał. Opanował zawrót głowy uwiesiwszy się na szyi swego konia. Dręczyło go jedno: jak założyć siodło i co gorsza — jak się na nie wdrapać? Musiał najpierw rozwiązać pęciny zwierzęcia. Nie puszczając z rąk grzywy, nachylił się i począł rozplątywać koniowi więzy. Miał uczucie, że stoi nad przepaścią. Był straszliwie osłabiony. Tylko myśl, że musi odzyskać zrabowane pieniądze trzymała go jeszcze przy życiu. Zaciskając zęby, pracował wytrwale. Wreszcie udało mu się rozluźnić pętlę.

Kasztan był wyłącznie własnością Glena. Dawniej, w wolnych chwilach, uczył go rozmaitych sztuczek. Było to dla niego tylko zabawą, miłą rozrywką; nie przypuszczał wtedy, że przyjdzie taki moment, gdy będzie musiał szukać ratunku u swego konia.

— Down! — rozkazał teraz kasztankowi.

Koń nadstawił uszu.

— Down! — powtórzył Glen.

Mądre zwierzę zrozumiało go teraz. Przyklękło. Z trudem udało się Glenowi dostać na grzbiet.

— Up! — zakomenderował, trzymając się kurczowo. Była to straszliwa chwila. Miał wrażenie, że siedzi na jakiejś huśtawce. Kilka chwil, które potrzebowało zwierzę, by unieść się z kolan, wydały się Glenowi, wiekiem całym.

Rzucił raz jeszcze spojrzenie na obozowisko. Leżały tam teraz jego siodło, strzelba i derka. Musiał to wszystko pozostawić i zabrać później o

ile uda mu się odnaleźć to miejsce. Tak! To samotne drzewo i strumyk utkwiły mu w pamięci!

Raz jeszcze znalazł się w trudnej sytuacji, kiedy kasztan musiał przeskoczyć rów dzielący go od gościńca. Glen pochwycił kurczowo grzywę konia i trzymał się jej, jak człowiek, który tonie. Gdy znalazł się na gościńcu, ból stał się nie do zniesienia. Raz po raz groziło mu omdlenie. Zakrzepła rana rozwarła się znowu i zaczęła krwawić. Glen słabł coraz bardziej. Chciało mu się pić. Nie odważył się jednak zsiąść z konia. Zdawał sobie sprawę ż tęgo, że drugi raz nie uda mu się wydostać na grzbiet. W głowie waliło mu jak młotem. Każdy skok groził upadkiem.

Jak długo trwała ta piekielna jazda, Glen nie był w stanie określić. Widział wszystko jakby przez jakąś czerwoną mgłę.

Nieomal byłby minął zabudowania rancza odległego zaledwie o sto metrów na lewo od gościńca. Z pomocą przyszła mu sfora psów. Dopadła ona konia, który wściekły obrócił się gwałtownie w miejscu.

Glen nie był już w stanie utrzymać się na swym rumaku. Bezwładnie osunął się na ziemię i pozostał tak nieprzytomny na gościńcu. Ludzie z rancza dostrzegli całe zajście. Rozległ się gwizd nawołujący psy...

Kiedy Glenowi powróciła znowu przytomność, było już grubo po zachodzie słońca. Pierwsze uczucie jakie nim zawładnęło, to stan głębokiego, przyjemnego nawet znużenia. Nie czuł bólu. Ostrożnie odwrócił głowę. Leżał teraz na dużej werandzie, jakie zwykle znajdowały się w domach ranczerów: obok niego stała blaszanka z wodą...

Co się z nim działo? Tylko z trudem udało mu się skupić myśli i przypomnieć sobie minione wydarzenia. Chciał usiąść, ale wszystko zaczęło wokoło niego wirować.

Nagle zaskrzypiała podłogą i jakaś piegowata twarz ukazała się nad nim.

— Proszę leżeć spokojnie! Wszystko jest w porządku. Rana nie jest taka groźna, jak się na pozór wydaje, tylko upływ krwi jest duży. Słowo daję, że to tylko upływ krwi! Spokojnie, a wszystko będzie dobrze!

— Wątpię, czy wszystko będzie w porządku — zamruczał Glen i namacał miejsce, gdzie przechowywał pieniądze — napadł mnie w czasie snu i postrzelił łajdak!

— No, pieniądze są — powiedział człowiek o czerwonym obliczu — proszę się nie lękać. Są wszystkie przechowane w mym biurku. Czy pokazać je panu? Miał je pan ukryte w pasie. Łajdak, który pana postrzelił nie wiedział, zdaje się, o tym!

— Czterysta dolarów?

— Tak, czterysta dolarów, nie brakuje ani centa! Glen jęknął.

— Ach, to są pieniądze dla ojca Tommy'ego — powiedział wreszcie. — Miałem jednak prócz tego jeszcze siedem tysięcy dolarów, które wiozłem do banku!

— Siedem tysięcy dolarów?!

— Yes. Były to oszczędności robotników pracujących przy budowie gościńca!

— O, to gorzej — pokręcił głową po chwilowej przerwie piegowaty. - No, ale nie ma sensu łamać sobie teraz nad tym głowy! Proszę spać! Jutro pomówimy o tej sprawie!

— Mój koń...?

— Stoi w stajni. Gdzie jednak u licha pozostawił pan siodło?

— Siodło... siodło... — wymamrotał Glen i zasnął.

Spał mocno i głęboko, a kiedy się przebudził, czuł się już znacznie lepiej. Był już biały dzień. Glen leżał na werandzie na prymitywnym, polowym łóżku. Spróbował unieść głowę i poszło mu to łatwiej, niż się spodziewał. Wstał. Był jednak jeszcze zanadto osłabiony i osunął się znowu na łóżko. Po jakimś czasie podniósł się raz jeszcze. Tym razem zrobił kilka kroków. Czuł się niepewnie, jak gdyby nogi jego były z gumy. Zataczając się uszedł jeszcze parę kroków. Znalazł się na schodach. Zaczął ostrożnie zstępować w dół. Na podwórzu dojrzał kilku mężczyzn zajętych naprawą wozu. Na jego widok podnieśli głowy.

Jeden z nich, ten sam, który rozmawiał z nim ubiegłej nocy podszedł natychmiast do niego.

— Oho, obcy przybyszu! — zawołał. — Widzę, że odrobinę za bardzo się panu śpieszy...

Glen zaśmiał się słabo.

— Nie ma obawy, mister...

— Nazywam się Grave, podobnie jak to ranczo...

— Ja zaś, Glen Robles. Pracowałem ostatnio przy budowie gościńca. Uważam, mister Grave, że mogę już zaryzykować... Czuję się znacznie lepiej...

— Spokojnie, spokojnie! — odparł Grave. — Musi pan jeszcze leżeć spokojnie jakie trzy, cztery dni. Na szczęście kula przeszła gładko na wylot, nie uszkodziwszy żadnej kości. Obie rany zasklepiły się już, ale musi pan jeszcze mieć trochę cierpliwości. Powiem zaraz naszej kucharce, żeby panu coś ugotowała. No! Jakoś to będzie! Niebawem wróci pan ż powrotem do sił.

Twarz Glena spoważniała.

— Jestem panu naprawdę wdzięczny za opiekę, ale nie mogę z niej niestety skorzystać. Powiedziałem panu, Mr Grave, jak się rzecz przedstawia. Tak mi się przynajmniej zdaje. Zrozumie więc pan, że nie mogę się tu wylegiwać i robić za chorego... Muszę jechać... Muszę jechać dalej, dziś jeszcze!

— Głupio pan robi — odparł ranczer.

— No, no, Mr Grave! Muszę przynajmniej wrócić do campu... Muszę ludziom powiedzieć, co się przydarzyło...!

— Po to, by pana zlinczowali, co?

— Nie zrobią tego. W każdym razie będzie lepiej, jeśli wrócę i opowiem im, jak się rzecz miała, niż gdyby musieli mnie uważać za złodzieja. Nie jestem bogaty, Mr Grave, i prócz zdrowia i konia nie mam nic, więc nie mogę tym ludziom dać żadnego odszkodowania.

— Hm, być może, ma pan rację. Kiedy chce pan ruszyć?

— Przyjmę jeszcze chętnie pańskie zaprószenie na obiad — oświadczył Glen — po czym ruszę w dalszą drogę.

— No dobrze, widzę, że nic panu nie będę mógł pomóc, szkoda...

W godzinę później opuścił Glen gościnne ranczo. Mr Grave dał mu kowboja, który miał mu pomóc odnaleźć siodło i strzelbę. Jim, tak nazywał się kowboj, znał doskonale tutejszą okolicę.

Glen pożegnał się serdecznie ż Mr Gravem i przyrzekł, że odwiedzi go, gdy znajdzie się kiedyś w tych stronach. Nie odczuwał już prawie bólu, tylko gdy koń poczynał biec kłusem, czuł jakieś kłucie w plecach.

Jadąc teraz z Jimem zdumiewał się, w jaki sposób zdołał na wpół przytomny ujechać taki kawał drogi. Upłynęły godziny, zanim dojechali do miejsca, gdzie po raz ostatni obozował z Chessem. Z łatwością odnalazł siodło i flintę. Leżały na ziemi nietknięte, tylko na lufie pojawiła się rdza. Jim, który jechał dotąd na nie osiodłanym kasztanku, zsiadł z konia, osiodłał go i pomógł Glenowi go dosiąść. Ruszyli dalej.

Przejeżdżali teraz koło rancza, którego właściciel odmówił Glenowi noclegu. Glen opowiedział o tym Jimowi. Jim odpowiedział:

— Nic dziwnego. Przed paru dniami porwano Harlemowi wszystkie jego młode byczki. Nikt nie widział ani rabusiów, ani zrabowanych zwierząt. Myślę, że musiały to być „Stepowe Wilki”. Być może drab, który wpakował panu kulę, należał również do ich bandy.

Glen począł się zastanawiać. Tak. Chess był „Stepowym Wilkiem”. Miesiącami całymi czatował na sposobność, by zrabować większą sumę pieniędzy. Stąd jego dziwaczne zachowanie wobec przygodnego jeźdźca, który natknął się na nich w nocy. Nie chciał mieć niewygodnego towarzysza, który mógłby pokrzyżować jego plany. Że też nic nie wpadło mu przedtem w oczy! Czyż Chess nie wyglądał jakoś dziwnie, gdy powiedział: „Cóż ty wiesz o. „Stepowych Wilkach”?”.

No, znajdę go jeszcze — myślał w duchu Glen. — Dostanę go jeszcze w swe ręce! Muszę go dopaść, to jedyne wyjście

Gdy słońce zaszło, zatrzymali się. Jim pomógł Glenowi zsiąść z konia i ułożył go na derce. Glen był zupełnie wyczerpany i rad był, że Mr Grave wysłał z nim Jima. Jim rozniecił ognisko i przygotował posiłek. Nie pozwolił, by Glen zajął się czymkolwiek.

Glen był mu za to wdzięczny. Po kolacji owinął się przy pomocy Jima derką. Spał mocno i głęboko. Rano obudził się. pokrzepiony i rześki. Jim wstał wcześniej i ugotował kawę. Wszystko było przygotowane do drogi.

Na pożegnanie udzielił Jim Glenowi moc rad.

— Niech pan jedzie wolnym krokiem — pod żadnym pozorem nie wolno panu galopować lub jechać kłusem!

Glen podał mu z uśmiechem dłoń.

— Posłucham pańskich rad, Jimie! Proszę pozdrowić Mr Grave'a i złożyć mu raz jeszcze moje serdeczne podziękowania!

— Well, z chęcią! Tylko proszę pamiętać: powolutku! Good bye!

— Good bye — odparł Glen.

Uścisnęli sobie dłonie i rozjechali się.

Kowboj zawrócił w stronę rancza, Glen zaś podążył dalej, w kierunku campu.

Gdy tylko znalazł się w odległości, z której Jim nie mógł go już dojrzeć, popędził konia galopem. Jechał nie dając ani sobie, ani koniowi chwili wytchnienia. Około południa osłabł, czuł w uszach jakiś szum. Tylko jeden raz zatrzymał się u źródła, by napoić konia i ugasić pragnienie, po czym bezzwłocznie ruszył w dalszą drogę.

Słońce miało się już ku zachodowi, kiedy na horyzoncie wyłoniły się robotnicze baraki. Glen skierował konia w stronę kantyny Johna Wooda. Jakaś grupa umorusanych błotem robotników wracała właśnie z pracy.

Glen zsiadł z konia i wszedł do kantyny.

Ludzie poczęli się tłoczyć. Wieść że Glen powrócił, rozniosła się lotem błyskawicy po obozie. Ci, którzy nie mogli pomieścić się w kantynie, stali półkolem na dworze. Większość z nich zawierzyła Glenowi oszczędności z pełnych mitręgi, kilkumiesięcznych zarobków. Chcieli zobaczyć kwity bankowe. Nikt z nich nie wyobrażał sobie, że Glena mogła spotkać jakaś przygoda. Jedni z nich dopytywali się, gdzie się podział Chess, inni chcieli dowiedzieć się czegoś innego... Słowa jednak grzęzły w tumulcie... Glen stanął przy szynkwasie i wolnymi łykami popijał whisky. Nie mógł w ogóle wydobyć z krtani słowa. Spojrzał wokoło i żałował teraz, że kula Chessa nie położyła go trupem. Kilku stojących najbliżej dostrzegło bladość na jego policzkach. Miny im się wydłużyły, milczeli jednak.

— Boys! — zaczął Glen zdecydowanym głosem — mam dla was niestety smutną wiadomość!

Zgiełk i śmiech ucichły. Zapanowała grobowa cisza. Glen ciągnął dalej:

— Zrabowano mi wasze pieniądze!

Przez chwilę jeszcze panował spokój. Po chwili jednak rozpętał się prawdziwy huragan. Każdy usiłował przekrzyczeć drugiego. Glen oparty ciągle o szynkwas usiłował mówić dalej, ale było to niepodobieństwem. Zrezygnowany spoglądał na spocone i ziejące nienawiścią oblicza tych ludzi. W oczach ich nie mógł wyczytać nic innego, jak tylko wściekłość i żądzę mordu.

Nagle zagrzmiały jak strzały pistoletu okrzyki:

— On przegrał w karty nasze pieniądze! Zlinczować go!

— Zlinczować! Zlin-czo-wać! — powtórzyły setki głosów.

Zapanowała chwila straszliwego napięcia.

Nagle Glen poczuł, że pochwycił go tuzin rąk. Poczęły spadać nań ciosy. Nie próbował się przeciwstawiać. Z równym powodzeniem mógł walczyć z wodospadami Niagary! Lecz co najciekawsze, najwięksi krzykacze nie byli właściwie zainteresowani w tym wypadku, mało kto z nich zawierzył pieniądze Glenowi... Byli to w większej części ci, co przepijali swe pieniądze w kantynie lub przegrywali je w karty. Ci notoryczni awanturnicy czekali już od dawna na okazję, by móc dać upust swym niskim instynktom... Wyciągnęli Glena z kantyny i bijąc go poczęli wlec w stronę lasu. Tłum kipiał wściekłością i gotów był rozedrzeć go na strzępy. Za późno poznał Glen, że popełnił głupstwo!

Gdy zgiełk doszedł do uszu nadzorców Tiptona i Sandy'ego oraz inżyniera, Irlandczyka McNeilla, pośpieszyli oni natychmiast Glenowi z pomocą. Z rewolwerami gotowymi do strzału przeciwstawili się rozwydrzonej hordzie.

Glen był zupełnie bezradny. Na domiar złego osłabł znowu. Horda wlokąc go ze sobą, dotarła do lasu. Zawahali się na chwilę. Świadomość, że lincz może pociągnąć za sobą fatalne następstwa, uspokoiła ich nieco. Najwięksi krzykacze zaczęli się z wolna wycofywać z zainscenizowanej przez nich imprezy. Pragnęli wprawdzie mocnych wrażeń, ale bardziej obawiali się przykrości...

Tylko mała grupka pozostała koło Glena. Reszta otoczyła ich półkolem w oczekiwaniu widowiska.

Jakby dziwnym zrządzeniem losu znalazł się pod ręką sznur. Jeden z ludzi, nazwiskiem Hood, ukręcił zeń stryczek. W Vancouverze miał starą matkę, o której często opowiadał Glenowi. Uwiązawszy pętlę podał ją Murzynowi Bullanowi. Ten przewrócił białkami oczu i rzucił stryczek. O! Co to, to nie! Uchowaj Boże! Bullan ani myślał zarzucać białemu na szyję stryczka! Również i Beard nie miał ochoty zostać katem. Miał w Red Flow City dziewczynę! Często pokazywał jej zjecie Glenowi! Tyle mówili razem o tej Kitty!

Ludzie stali niezdecydowani. Postawieni przed konkretnym faktem znaleźli się w kłopocie.

Nagle rozległ się nowy tumult. Zakurzone postacie przedarły się przez zbitą masę gapiów. Byli to obaj nadzorcy. Wyrwawszy się z rąk tłuszczy biegli, ile im tylko sił wystarczyło, by zapobiec zbrodni.

— Boys! — krzyknął Sandy, machając dziko swym koltem. — To co zamierzacie uczynić, jest pospolitym, morderstwem! Nie można wieszać człowieka, nie dając mu nawet dojść do słowa! To bezprawie! Sam dałem Glenowi siedemset dolarów i też mam prawo wiedzieć jak to się stało!

Robotnicy milczeli. Większość przyznawała Sandy'emu rację. Nadzorca dostrzegł, że stanowiło to dla Glena ostatnią szansę.

— Słuchaj Glen, co się stało z naszymi pieniędzmi? — zapytał.

— Chess je zrabował! — odparł słabym głosem Glen.

— W jaki sposób mógł ci Chess zrabować pieniądze? — napierał Sandy. Zdawał sobie sprawę, że był to jedyny sposób uratowania Glena. — Słuchaj, Robles, musisz wyłuszczyć dokładnie, jak to się stało!

— Mamy prawo żądać... za nasze krwią wypocone dolary! — krzyczeli rozgorączkowani ludzie.

Glen czekały aż tłum się trochę uspokoi. Był bliski omdlenia, zebrał jednak resztki sił, by nie upaść.

— Chess postrzelił mnie w czasie snu i zabrał mi pieniądze. Przez dwa dni leżałem nieprzytomny na ranczo... Teraz wróciłem... Nie chciałem, byście uważali mnie za złodzieja!

— Ten pies łże! — krzyknął stary tramp Plunkett, który tylko chwilowo trudnił się uczciwą pracą. — Łżesz! — powtórzył i podniósłszy gestem proroka palec, ciągnął dalej swe oskarżenie. — Słuchajcie towarzysze, gdyby ktoś mnie, starego Plunketta, zdzielił po głowie, musiałbym mieć jakąś ranę; jeśli Chess napadł na Glena we śnie, to musi chyba być ranny! Widzieliśmy jednak, że przyjechał tu jak młody bóg! Słuchajcie starego Plunketta! Obejrzyjcie sobie tego łajdaka! Czy tak wygląda ranny człowiek? Ja wam powiadam...

Zamilkł nagle i spojrzał na Glena. Ten zdjął w milczeniu swą flanelową koszulę i począł już odwiązywać bandaż. Stał teraz obnażony do połowy tak, że wszyscy mogli zobaczyć postrzałową ranę, która naruszona poczęła znowu broczyć krwią.

Sandy kopnął Plunketta z całej siły, tak że ten ostatni poleciał parę kroków i wrzasnął:

— Tak! Teraz widzicie, że Glen Robles mówił prawdę! A wy łotry chcieliście, powiesić ciężko rannego człowieka i to dla paru głupich banknotów dolarowych! Człowieka, którego postrzelił jeden z takich

drabów jak wy! Damned! Moglibyście się wstydzić, wy parszywe, tchórzliwe kojoty!

Robotnicy byli przyzwyczajeni, do klątw Sandy'ego, które zupełnie licowały z jego wyglądem buldoga. Nie brali sobie nigdy jego klątw zbytnio do serca. W gruncie, rzeczy był to porządny człowiek. Tym razem czuli, że ma zupełną rację. Tak! Ale cóż trzeba było teraz począć? Co miało się stać z ich pieniędzmi?

Pieniądze diabli wzięli, więc złość ich nie opuszczała.

Poczęli błędnie wodzić wokoło oczyma w poszukiwaniu nowej ofiary, na której mogliby wyładować swą wściekłość. Nagle jakiś głos zawołał:

— A ja wam mówię, że Robles jednak zasługuje na stryczek. Powinien uważać. Do diabła! To były ciężko, w pocie czoła zarobione pieniądze!

— Twoje? — huknął Hogan, potężny Kanadyjczyk. — Co to ciebie w ogóle obchodzi? Nie mieszaj się do nie swoich spraw! Gadaj, twój interes?

— Nie, nie jestem głupi, żeby dawać takiemu drabowi jak Robles kupę pieniędzy po to, by je później zagubił!

— To znaczy, że ja jestem głupi? Co?! — ryknął Hogan i pośpieszył, by pochwycić bezczelnego oponenta.

— Hogan ma rację! — zawołało kilku starszych robotników. — Co to kogo obchodzi, jeśli nam się chce tracić pieniądze! Czego oni tu właściwie szukają ci gapie?! Dać im po głowie, boys!

Kilku awanturników przyszło z pomocą zawalidrodze, który wywołał awanturę. Był to niejaki Carillo, meksykański złodziejaszek, którego już kilkakrotnie obito, bo sięgał w kantynie po rewolwer.

Kanadyjczyk dopadł go jednak, podniósł w górę i cisnął nim o ziemię z taką siłą, że pogruchotał Meksykaninowi kości. Rozgorzała walka na dobre. Ci, którzy potracili pieniądze, znaleźli upust dla swej wściekłości. Mogli się teraz do woli młócić pięściami, aż do pełnego odzyskania równowagi. Bójek było w campie co niemiara każdego niemal wieczora, ale to co się teraz rozpętało, nie było już bijatyką, lecz regularną walką. Załatwiano ze sobą stare porachunki. Przedsiębiorstwo zatrudniające tych ludzi pilnowało, by każdy, kto wstępował do pracy oddał swój rewolwer nadzorcom. Tylko rzadko zdarzało się, by ktoś (jak się rzecz miała z Carillo) zdołał ich przechytrzyć. Toteż mimo zaciekłej walki nie padł ani jeden strzał, rozbrzmiewały tylko piekielne okrzyki, przygłuszające odgłosy uderzeń.

Tipton i Sandy stanęli obok Glena, który wyczerpany obsunął się na ziemię. Obaj nadzorcy przypatrywali się bijatyce z nietajonym zadowoleniem. Robotnicy, którzy potracili swe pieniądze brali górę i awanturnikom dostały się nie lada cięgi.

W końcu bijatyka wyczerpała obie strony. Tuzin ludzi musiał kurować się później przez tydzień w barakach, ale życie w campie powróciło na normalne tory. Tylko przedsiębiorstwo i naczelny inżynier Wilkins byli niezadowoleni, że parenaście rąk było niezdolnych do pracy...

Również Riggs zwany „doktorem” był nierad. tej bijatyce. Nikt wprawdzie nie ośmielił się nań podnieść ręki — był nietykalny, choć znajdował się w najgorętszym wirze walki usiłując przywrócić spokój — za to teraz nie miał chwili wytchnienia.

Przed laty był Riggs lekarzem w Sacramento. Później jako lekarz okrętowy wędrował po południowych morzach. Klimat nie służył mu,

alkohol i poker dopełniły dzieła. Teraz był lekarzem w campie. Niski i niepozorny — wyglądał groteskowo. Kiedy bijatyka miała się już ku końcowi, wydostał się wreszcie z kręgu walczących i podbiegł do Sandy'ego.

— Sandy — zasapał — proszę zaraz powiedzieć tym drabom, by zaprzestali bijatyki! Natychmiast! Jeśli tego nie zrobią, zgłoszę dyrekcji. Sandy! — głos jego stał się płaczliwie proszący. — Sandy! Niechże im pan rozkaże, by wreszcie zaprzestali! Mam tylko jedną flaszeczkę jodyny, mam za mało waty! Boże, tyle roboty! Sandy, na miłość boską, proszę im to wytłumaczyć! Boże, ile czasu trzeba będzie stracić, by pobandażować tych idiotów!

Sandy zaśmiał się głośno i serdecznie.

— Spróbuję! Doktorze, proszę uważać! Przestać! — zawołał.

Z równym powodzeniem mógłby nawoływać rozbiegającą się trzodę. Ma się rozumieć — nikt nie zwracał nań uwagi.

— Widzi pan! — zwrócił się do „doktora”, który stał obok niego i rwał swe rzadkie włosy. — Może pan spróbuje! — powiedział z ironią. — Niech im pan powie, że mamy tylko jedną flaszkę jodyny! Może to pomoże!

— I mało gazy opatrunkowej —wykrzyknął „doktor”. — O nieba! I ta robota, która nas czeka!

Krzyczał, rozkazywał, groził i prosił na przemian, lecz wszystko nadaremnie.

Wreszcie jednak i najmocniejsze ramiona omdlały z wysiłku. Zwycięzcy, równie wyczerpani jak zwyciężeni, oddzielili się i cofnęli. Ich brudne, zakrwawione, spocone i pomęczone twarze miały jednak wyraz pełnego zadowolenia:

— Well, sprawa załatwiona! — zawołał Hogan zadowolonym głosem, wypluwając równocześnie parę zębów. — Możemy, dżentelmeni, mówić teraz spokojnie dalej! Proponuję pójść do kantyny Johna Wooda i zastanowić się, co należy dalej robić! Hej, zainteresowani — zawołał, podnosząc głos — zechcą się udać do baru Wooda, omówimy tam resztę!

Sandy pomógł Glenowi wstać i podprowadził go do kantyny. Po drodze napotykali obie strony, zwycięzców i zwyciężonych, w zażyłej komitywie, jak gdyby nic nigdy nie zaszło.

Hogan przewodził teraz. Do pewnego stopnia zresztą słusznie. Hogan sam powierzył Glenowi ponad osiemset dolarów. John Wood, człowiek o wąskiej, zapadłej piersi stał w drzwiach kantyny i z obawą obserwował przebieg zajścia. Przeraził się na dobre, gdy dojrzał wracające grupy. Wprawdzie bijatyka minęła, ale wiedział z doświadczenia, że kiedy chłopcy puścili raz wodze swym temperamentom, nigdy nie można było niczego przewidzieć. Nakazał swym synom, młodym jeszcze wyrostkom, pod żadnym pozorem nie odmawiać kredytu. Kantyna zaczęła się zapełniać.

Wszyscy uważali, że dzisiaj jest wyjątkowa okazja, by sobie popić i należycie ugasić pragnienie whisky. Jak było umówione, do kantyny wpuszczono tylko tych, którzy stracili swe pieniądze. Plunketta, który usiłował się wślizgnąć, wyrzucono na zbity łeb.

Pobici rozsiedli się na dworze i domagali się również whisky, na którą zresztą (ich zdaniem) rzetelnie zasłużyli. „Doktor” chodził wokoło i z miną znawcy obliczał, czy wystarczy mu jodyny i gazy na opatrzenie pobitych.

Prowadził przy tym ze sobą głośną rozmowę:

— Tak, tu mamy, zdaje się frakturę kości nosowej — muszę mieć koniecznie więcej jodu. A tu? Phi, to tylko podsiniaczone oko. Aha, tu znowu rana cięta na czole — znów muszę mieć jodynę! Damned, nie wystarczy! Nie wystarczy!

Zdołał jeszcze stwierdzić parę złamań kości, które poszkodowani nastawili sobie w międzyczasie sami zaimprowizowanymi z gałęzi szynami. Odesłał ich do „lazaretu”. Lazaret znajdował się w Red Flow City. Była to nędzna nora, w której Murzynka „siostra” sprzedawała również wątpliwej wartości medykamenty. Nad domem widniał szumny napis APOTHECARYS SHOP!

Tymczasem w barze Wooda odbywało się walne zgromadzenie. Robotnicy zesunęli stoły tak, że stanowiły teraz jedną długą płaszczyznę. Paru dowcipnisiów dostrzegło, że wzburzony Wood zapomniał z przerażenia notować, nie omieszkali więc wyzyskać tego faktu i zaspokoić swe pijackie instynkty w odpowiednich rozmiarach.

Ale gdy Hogan dostrzegł, że walne zgromadzenie gotowe się przeistoczyć w libację, wstał, trzasnął swą szklanką o stół i poprosił o spokój.

— Gentlemans — zaczął — zdaje się, że zebraliśmy się tutaj nie na jakąś popijawę, ale dla omówienia ważnej kwestii. Musimy powziąć wreszcie decyzję, czy mamy tak po prostu pozwolić temu kojotowi Chessowi zwiać z naszymi pieniędzmi? Sądzę że nie i przypuszczam, że podzielicie moje zdanie? Musimy więc coś postanowić. Proszę, oczekuję projektów! Przyjaciele, kto z was ma w tej sprawie coś do powiedzenia?

Kantynę zaległo milczenie. Ludzie siedzieli ze ściągniętymi brwiami i poczęli się zastanawiać. Ci, którym w ściąganiu brwi przeszkadzały otrzymane guzy, szukali nienaruszonych części swej czaszki i drapali się w nie, co również miało oznaczać intensywne myślenie.

Glen obserwował przebieg całego zgromadzenia jak we śnie. Głowa bolała go potwornie i zdawała się pękać od panującego tu zgiełku.

Z wolna począł pojmować, że robotnicy powrócili wreszcie do równowagi. Whisky, którą podał mu Wood, pomogła mu przezwyciężyć osłabienie.

Wahał się jeszcze chwilę, gdy przebrzmiały słowa Hogana, po czym uderzył parokrotnie w stół i powiedział:

— Boys, pozwoliłem sobie zabrać pieniądze — postaram się więc je odebrać!

— Jakże zamierzasz to zrobić? — zapytał Hogan wspierając się łokciem o stół.

— Poszukam Chessa! Boys, znajdę go, możecie być o to spokojni. Nie spocznę, póki nie dostanę go w swe ręce.

Wspominając Chessa i jego haniebny postępek mimo woli uniósł się. Twarz spłonęła mu purpurą, a ręce zaczęły drżeć.

— Ludzie, odnajdę go! Nawet bez waszego przyzwolenia! Znajdę, gdziekolwiek by się ukrył. Muszę mu przedłożyć mały rachuneczek do zapłaty. Nie spocznę... Chess jest jednym ze „Stepowych Wilków”. Nie wiedziałem o tym. ale sam się do tego przyznał.

Ludzie słuchali jego słów z zapartym tchem. Nagle otwarły się drzwi. Na progu pojawił się Billy alias Tommy Farley Wracał właśnie z Red Flow

City, gdzie bawił z polecenia inżyniera i załatwiał transport żelaznych klamer. Gdy przybył do campu, dowiedział się o zajściu.

Wchodząc usłyszał ostatnie wyrzeczone przez Glena słowa.

— Glen, stary druhu! — zawołał w drzwiach — powiadasz, że „Wilki Stepowe” i Chess?

Rozległy się nawoływania, by się uspokoił i pozwolił Glenowi dalej mówić, ale Tommy, którego wszyscy znali tu jako Billa, zacisnął pięści i zawołał z wściekłością:

— Może ktoś z was chce ze mną zacząć? Słyszałem, że chcieliście ukatrupić Glena! To najporządniejszy człowiek, którego znam! Wiem to... Dałem mu czterysta dolarów, lecz pal je licho! Wiem, że ich nie zabrał i to wam tylko ludzie powiadam, że jeśli komu, to właśnie tylko jemu uda się odebrać „Stepowym Wilkom” tych siedem tysięcy dolarów.

— Dobrze Billy, ale jak ma to zrobić? — zapytał Hogan.

Billy milczał. Tego oczywiście, sam nie wiedział. Rzucił pytające spojrzenie na Glena, który stał teraz z założonymi rękoma i odwzajemniał skinieniem głowy pozdrowienie przyjaciela.

— Pytasz, jak to zrobię, Hogan? — powiedział Glen. — Po prostu rozglądnę się za tym złoczyńcą. To bardzo proste — wymaga tylko nieco czasu!

— Bardzo proste — powtórzył z ironią Hogan i zaśmiał się krótko. — He! He! To wcale nie takie proste, człowieku! Zabiją cię, zanim dostrzeżesz cień Chessa.. Zdaje się nie wiesz, co to są „Stepowe Wilki”!

Ale Tommy zawołał.

— O, on wie dobrze! Jeśli ci to sprawi przyjemność powiem ci, że zlikwidował już jednego z nich!

— Naprawdę? — zapytał z powątpiewaniem Hogan.

— Tak ludzie! Mam wrażenie, że Chess chciał pomścić tego draba, a kradzież była tu sprawą uboczną!

— Ali right! — zawołało kilka głosów.

Hogan jednak pytał dalej:

— No i cóż — przyjmijmy, że odnajdziesz Chessa, cóż dalej...?

— Odbiorę mu pieniądze i...

Zamilkł. Głos jego brzmiał teraz monotonnie i bez jakiegokolwiek wzruszenia:

— Hm! —Hogan rozejrzał się wokoło. — Czy ktoś ma jakiś lepszy projekt?!

Nie było odpowiedzi. Zwrócił się więc znowu do Glena.

— No, jesteś ranny i będziesz musiał poleżeć parę dni. Ta zwłoka trochę nas będzie kosztować...

— Ruszam jutro rano — oświadczył Glen. — Doktor zrobi mi przyzwoity opatrunek. Sprawa nie przedstawia się tak źle.

Hogan spojrzał bystro na Roblesa.

— Za dwa, trzy dni będziesz znowu dawnym chwatem, Robles. Miejmy nadzieję, że nie wykitujesz do jutra!

Glen uśmiechnął się.

— Zdaje się, że dzisiaj było więcej powodów.

— Racja! — powiedział Sandy. — Dość było do tego podstaw! Zachowaliście się jak głupie świnie! Jeśli o mnie idzie, opowiadam się za

Glenem. On jeden potrafi zachować zimną krew, a na odwadze nie zbywa mu również! Wiemy to wszyscy, więc...

— Będziemy głosowali — zadecydował Hogan. — Kto podniesie rękę ten jest przeciw Roblesowi i ma lepszy projekt!

Nikt jednak nie podniósł ręki...

A raczej jeden...

Billy podniósł nagle ramię.

— Co jest? — zawołał Hogan ze złością.

— Musi się najpierw wyleczyć! Ja ze swej strony rezygnuję z moich czterystu dolarów!

— Jesteś osłem — zawołał filozoficznie Kanadyjczyk, po czym znowu zwrócił się do reszty zebranych. — Propozycja Glena została więc przyjęta. Glen Robles wyruszy jutro rano i w miarę możności będzie nam co tydzień przysyłał sprawozdania, jak dalece akcja posuwa się naprzód.

Glen skinął głową.

— Well, postaram się. Poczuwam się do obowiązku zwrócić wam te pieniądze i przyrzekam wam, że zaryzykuję nawet życie, byleby je odzyskać!

— All right! — potwierdził uroczyście Hogan. — Wierzymy ci. Sprawa byłaby więc załatwiona: rozwiązuję zgromadzenie!

— Robles musi teraz wypocząć — dorzucił Sandy i przynaglił Glena, by wstał.

Obaj opuścili razem kantynę. Usuwano im się z drogi, a Hogan poklepał Glena ostrożnie po ramieniu.

— No, zrób to dobrze, old boy!

Tommy dreptał za nimi.

— Mało brakowało, by burza skrupiła się na twoim karku — powiedział Sandy, kiedy znaleźli się na drodze do baraku „doktora”.

— Zdaje się! — potwierdził ze złośliwym uśmiechem Glen. — Chess zapłaci mi za to — zdaj się na mnie Sandy!

Tommy nie rzekł ani słowa.

„Doktor” zbadał Glena tylko pobieżnie.

— No, nie jest tak źle! — zaopiniował. — Krwawiło dziś rano trochę, ale tylko z brzegów. Jakie dwa dni spokoju, Sandy, i człowiek ten będzie znowu zdolny do pracy. Na początek nie dawaj mu ciężkiej roboty. Dużo jodyny mu nie dam... muszę oszczędzać...

Glen wzdrygnął się.

— Zostaw pan to świństwo! Daj mi pan tylko dobry opatrunek!

— Słusznie! Gdyby wszyscy chcieli tak myśleć jak ty!

Szybko zakrzątnął się i nałożył bandaż. Czuć było od niego wprawdzie whisky, ale założył opatrunek dobrze.

Ulokowano następnie Glena W barakach nadzorców, gdzie było trochę przestronniej i Glen mógł tam mieć większy spokój.

Sandy pożegnał się.

Tommy i Glen pozostali sami. Tommy miał tysiąc pytań, ale Glen wyczerpany ze znużenia podał mu tylko rękę i rzekł:

— Nie mów teraz nic, Tommy! Za pięć minut muszę usnąć, albo zemdleję. Twoich czterysta dolarów Chess nie zabrał, nie mógł ich znaleźć. Doręczę je, jakem Glen Robles. Prześlę ci wiadomość, Tommy! Bywaj zdrów i żegnaj!

I zanim Tommy zdołał coś powiedzieć, znikł we wnętrzu baraku. Rzucił się na posłanie i momentalnie ogarnął go sen.

IV

Następnego ranka — robotnicy spali jeszcze — ruszył Glen w drogę. Sandy przygotował mu wieczorem spory pakunek prowiantu, wystarczyło więc Glenowi pójść do stajni i osiodłać swego kasztanka. Cieszył się, że nie natknął się na nikogo. Przeżycia wieczoru stały mu jeszcze żywo przed oczyma, nie miał więc zbytniej ochoty żegnać się z kimkolwiek. Nie pragnął również, widzieć się i z Tommym. Już wczorajsze pożegnanie przyszło mu z trudem, a na sentymenty nie było teraz czasu.

Strzelbę przewiesił na siodle i dosiadł konia. Rzucił ostatnie spojrzenie na camp, z którym łączyło go tyle dobrych i złych wspomnień i wyjechał na gościniec właśnie w tej samej chwili, gdy Tommy jeszcze na wpół senny biegł pędem do baraku nadzorcy i krzyczał jak opętany:

— Gdzie jest Glen?!

— Glen? — mruknął Sandy nie otwierając oczu. — Nie znam takiego!

Chwycił następnie budzik i cisnął nim w stronę, skąd doszedł go głos Tommy'ego.

— Dziękuję — zawołał przygnębiony Tommy. — Rozumiem. Odjechał nie pożegnawszy się ze mną!

Bez humoru wyszedł z baraku. Glen ujechał tymczasem już spory kawał drogi. Czuł się lepiej, niż się sam spodziewał. Tylko czasem, gdy kasztanek zaczynał sobie podskakiwać wesoło, czuł dotkliwy ból w plecach. Cieszył się, że jest sam ze swym koniem na szerokim gościńcu. Nie przypuszczał jadąc tędy wczoraj w stronę campu, że sprawa weźmie aż tak zły obrót i że zechcą go powiesić.

Wschodzące słońce rozproszyło z wolna ponure myśli Glena. Czuł nawet pewne zadowolenie, że poznał barbarzyństwo ludzi z campu, ułatwiało mu to zrzucenie z siebie poczucia winy, które go przytłaczało.

Około południa zatrzymał konia. Czuł się znużony. Uczucie rześkości, którego doznał rano było tylko złudzeniem. Zdawał sobie jasno sprawę z tego, że tylko wtedy będzie mógł sprostać swemu ciężkiemu zadaniu, gdy będzie znajdował się w pełni sił. Postanowił nieco dłużej odpocząć i przespać się w wysokiej trawie rosnącej nad jeziorem.

Jazdę swą uważał — choć brzmiało to niedorzecznie — za pewnego rodzaju wytchnienie. Spodziewał się natknąć na Chessa i wiedział, że walka była nieunikniona. Z tymi i podobnymi myślami usnął.

Wstał dopiero wtedy, gdy słońce miało się już ku zachodowi. Nie śpiesząc się spakował swe rzeczy, gwizdnął na konia, który pasł się nad wodą, osiodłał go i poklepał po szyi:

— Well, stary druhu, dziwisz się, co? Przyzwyczajony jesteś do innego tempa? To nic! Miejmy nadzieję, że nadejdą jeszcze dni, gdy będziesz się musiał dobrze namitrężyć!

Czuł się teraz wcale dobrze i co pewien czas przynaglał zwierzę do galopu. Późnym wieczorem znalazł się obok rancza hodowcy, któremu,

wedle opowiadania Jima, porwano bydło. Nie usiłował nawet prosić tu o gościnę i popędził konia dalej.

Na firmamencie pojawiało się coraz więcej gwiazd. Glen postanowił rozbić obozowisko, chociaż jazda w chłodną noc nie męczyła go zbytnio, a wedle obliczeń znajdował się niedaleko rancza gościnnego Mister Grave'a.

Noc minęła bez jakichkolwiek przeszkód. Glen spał mocno, jak gdyby nie znajdował się ha prerii, na której panoszyli się bandyci.

Przed południem dotarł do rancza Mister Grave'a, Skręcił w bok z gościńca i zajechał przed dom gościnnego farmera, u którego postanowił spędzić teraz parę godzin.

— Na Boga! — zawołał Grave ściskając dłoń Glena: — No, nie przypuszczałem, że zobaczę jeszcze pana żywego. Także Jim przypuszczał, że nie pociągnie pan długo. A tu nagle stoi pan całkiem zdrów. Nie zlinczowali więc pana?! Znam tych pańskich towarzyszy, to istne diabły! Zetknąłem się z nimi, gdy budowali tutaj drogę!

Glen opowiedział mu swe przejścia w campie i dorzucił wesoło:

— Jak pan więc widzi, niedużo brakowało, by pańskie proroctwa się ziściły!

— I cóż! Ci sami ludzie zawierzyli panu teraz znowu, obarczając pana obowiązkiem odszukania pieniędzy? Rad bym wiedzieć, co się dzieje właściwie w ich mózgownicach. Wpierw wloką człowieka pod drzewo, by go tak sobie na wesoło powiesić, a potem posyłają tego samego człowieka z takim wariackim poleceniem!

— Myślę, że są jak dzieci — nieobliczalni w swej wściekłości!

— Dzieci?! — zaśmiał się nagle Grave. — Powiedz pan raczej bydło! Długo zostanie pan u nas?

— Tylko parę godzin, by trochę wypocząć — odparł Glen.

Mimo zachęcających nalegań ranczera, by pozostał przynajmniej do rana, był nieustępliwy:

— Nie mogę, Mr Grave! Każdy dzień jest drogi. Wziąłem na siebie obowiązek, muszę zrobić wszystko, co będzie w mej mocy, by odzyskać pieniądze. Nie mogę zwlekać!

— Tęgi z pana człek, Robles! — powiedział na pożegnanie Grave. — Jeśli zechce pan kiedyś rozejrzeć się za posadą kowboja, niech pan pamięta o moim ranczo!

— Dziękuję.

Glen uścisnął dłoń ranczera.

— Wrócę może nawet wcześniej, niż pan przypuszcza. Chętnie przyjmę pańską ofertę. Nie chcę już więcej pracować przy robotach ziemnych. To nie jest odpowiednia praca dla człowieka, który był kowbojem i myśliwym. Muszę jednak załatwić wpierw tę sprawę z pieniędzmi! Good bye, Mister Grave!

— Good bye! I dużo szczęścia! — powiedział ranczer.

Patrzył jeszcze chwilę za odjeżdżającym, po czym kiwając głową powrócił na swe obejście do pracy.

Glen jechał teraz w ostrym tempie. Usiłował zrekonstruować drogę, jaką odbył z Chessem. Zawrócił do miejsca, gdzie ostatnio z nim obozował. Zsiadł z konia i przeszukał skrupulatnie okolicę. Było prawdopodobne, że Chess nie pojechał dalej gościńcem, lecz na przełaj przez step. Po

żmudnych poszukiwaniach doszedł do wniosku, że Chess pojechał jednak gościńcem.

„Oto korzyść z przeklętych gościńców! — myślał jadąc Glen. — Dawniej można było milami śledzić takiego łajdaka! A dziś? Łotr jedzie sobie szosą i do widzenia! Można go szukać, jak wiatru w polu!”

Wierzył jednak w swą szczęśliwą gwiazdę. Postanowił jeszcze przed nocą dotrzeć do małego miasteczka Redwood Hills i rozpocząć stamtąd swe poszukiwania. Może Chess zatrzymał się gdzieś w pobliżu! Przypuszczał przecież, że Glen nie żyje i że nikt go nie ściga.

Istniała jeszcze jedna ewentualność. Myśl o tym wywoływała u Glena uczucie zupełnej bezradności! Chess mógł przecież równie dobrze wsiąść do pierwszego lepszego pociągu i pojechać na wschód! W wielkim mieście Glen czuł się jak zbłąkane i bezradne dziecko. Nie był właściwym człowiekiem, który potrafiłby tam odnaleźć przestępcę! Pocieszył się jednak tym, że i Chess nie należał do ludzi, którzy umieliby wydawać zrabowane pieniądze w wielkim mieście. Chess był, jak i Glen, urodzonym jeźdźcem z Zachodu — zdradzał to sposób, w jaki trzymał się na koniu. Musiał mieć zresztą towarzyszy i kompanów. Nie był wcale zwyczajnym robotnikiem, który dał się skusić pieniędzmi. Prócz wybornej jazdy konnej zdradzał to również sposób noszenia broni. Zresztą broń, jaką posiadał, nie była byle jaka! Że też zaraz nie wpadło to w oczy Glenowi! Teraz dopiero uświadomił sobie, że rewolwer Chessa miał spiłowany celownik, jak to było w zwyczaju ludzi, którzy przywykli strzelać nie mierząc w przeciwnika, z wysokości bioder! Well, Chess był westmanem, co prawda hold-up-manem, bandytą! Było mało prawdopodobne, by przeputał swój łup na wschodzie, a nie w znanej sobie okolicy, gdzie miał przyjaciół!

Noc zaskoczyła Glena w drodze, na odcinku, gdzie szosa biegła nieco w dół. W dali dostrzegł światła pobliskiego Redwood Hills. Od jasno oświetlonej ulicy głównej odcinały się ciemniejsze przecznice. O kilkaset metrów dalej czerniał budynek z czerwonymi i zielonymi światłami. Był to budynek stacji kolejowej. Jakiś pociąg wjeżdżał właśnie z hukiem i nie zatrzymując się, mijał stacyjkę.

Glen znał miasteczko tylko pobieżnie, lecz wiedział, gdzie można będzie dostać kwatery dla siebie i konia. Z wolna jechał wzdłuż Railway Street, po której obu stronach stały drewniane budy, ozdobione szumnymi nazwami „Imperial Room”, „Capitol-Hotel” itp.

Jedna z bud była jaśniej oświetlona. W świetle latarni widniał napis „Pool-Room”. Od wewnątrz dochodził stuk kul bilardowych.

Glen zatrzymał na chwilę konia i zaczął nasłuchiwać. Jadąc zastanawiał się cały czas, w jaki sposób rozpocząć poszukiwania. Redwood Hills było typowym miasteczkiem na Dzikim Zachodzie. Obok spokojnego życia, jakie wiedli jego mieszkańcy, pulsowało w nim jeszcze inne. Okoliczni ranczerzy i kowboje szukali tu również rozrywki, gdy raz na parę miesięcy zajeżdżali w interesach. W miasteczku kupowali narzędzia i towary żelazne w Hardware-Store, sprzedawali bydło, zaopatrywali się w lekarstwa w Drug-Store i wydawali pieniądze w rozmaitych sąloonach i roomach.

Miasto miało więc niejako janusowe oblicze. Dzień należał do poczciwych mieszczuchów, kupców i handlarzy. Nadawał miasteczku oblicze małego, zasobnego, pilnie pracującego, ale noc, gdy spokojni obywatele spali twardym snem, należała niepodzielnie do przybyszów,

którzy wypełniali roomy, różnego rodzaju varietes i kasyna gry prowadzone przez Chińczyków. W spelunkach tych sprzedawano nawet, jak mówiono, opium. Whisky można tu było dostać w dowolnych ilościach. Żaden z szynków nie ważyłby się — w miejsce dostarczanego przez bootleggerów alkoholu — sprzedawać owocowych namiastek. W tych sprawach nie żartowano wówczas i szynkarz nie pożyłby długo na Far West. Goście domagali się za swe pieniądze wszelakich rozkoszy i czystej whisky.

Glen skierował się w stronę hotelu Mam Brace. Jakiś niedorostek odebrał mu konia i wskazał wejście. Glen wszedł do obszernej jadalni i zamówił kolację. Było tu prawie pusto. Tylko w kącie siedziało troje ludzi i targowało się o cenę bydła. Glen zamówił również pokój. Księgę gości podała mu Osobiście Mrs Brace. Była to korpulentna osoba o dużych czarnych warkoczach i z meszkiem na górnej wardze. Glen znał przelotnie jej męża, Lincolna Brace'a; który zmarł przed kilkoma miesiącami. Wdowa prowadziła teraz sama swe przedsiębiorstwo. Pochodziła z Florydy i nienawidziła alkoholu, którego umiłowanie, mąż jej, Lincoln, ongiś marynarz z Vancouver, przypłacił życiem. Od tego czasu w hotelu Mam Brace nie można było dostać ani kropli whisky. W jej miejsce podawano napoje owocowe. Energiczna niewiasta dbała zresztą o czystość i porządek, a pijanych intruzów wyrzucała własnoręcznie za drzwi. Przedsiębiorstwo, któremu konkurenci wróżyli krótki żywot, kwitło. Okazało się, że także znani awanturnicy i zawalidrogi sypiali chętnie w spokojnym zajeździe po mitręgach nocnych bijatyk. Opowiadano, że nawet zawołani „rowdies” chodzą przy niej na paluszkach. Przy najmniejszym obraźliwym słowie Mrs Brace brała się do rękoczynów, a z uwagi na poważanie, jakiego od czasów pionierskich zażywała kobieta na Dzikim Zachodzie, nikt nie ważył się bronić, nawet jeśli skutkiem tych wyczynów krewkiej niewiasty był krwotok z nosa lub podbite oko. Mimo to można tu było naprawdę wypocząć. W nocy panował idealny spokój. Nie było ani awantur, ani strzelaniny, ani nocnych odwiedzin policji, co często zdarzało się w innych lokalach.

Spożywszy szybko posiłek, Glen wybrał się na przeszukanie nocnych lokali. Czynił to systematycznie. Miał nadzieję, że gdzieś nawinie mu się Chess.

Nigdzie jednak nie zabawił dłużej, niż to było nieodzowne, by przekonać się, czy pomiędzy gośćmi nie ma łajdaka, którego szukał.

W jednej z knajp jakiś pijany farmer zaproponował mu szklankę whisky. Glen zgodził się, nie chcąc wywoływać awantur. Wypił i korzystając z okazji ulotnił się szybko. Przygnębiony powrócił do hotelu Mam Brace. Szybko rozebrał się i z rozkoszą rzucił się na łóżko. Nie mógł jednak usnąć. Zbyt długo sypiał na pryczach i gołej ziemi. Przewracał się w miękkim puchu, który zdawał się go dławić, Zirytowany zrzucił na ziemię kołdrę i pościel i owinąwszy się kocem; usnął na samych materacach.

Następnego ranka zaraz po śniadaniu udało mu się pogawędzić chwilę z wiecznie zajętą gospodynią.

— Umówiłem się w Redwood Hills z jednym chłopakiem, Mam Brace. Opiszę go pani bliżej, może mieszkał u pani?

— Słuchaj człeku — odparła gospodyni z godnością — czasy, kiedy przyglądałam się bliżej męskim twarzom minęły już dawno. Cóż to! Nie wie pan pod jakim nazwiskiem podróżuje pański znajomy?!

— O to właśnie chodzi! Nie wiem! O ile wiem nazywał się Chess, być może jednak, że przybrał inne nazwisko! Jest mego wzrostu, ma czarne, dość drugie włosy i robi wrażenie zatraconego draba.

— Takie wrażenie robią niestety wszyscy mężczyźni — odparła Mrs Brace ż westchnieniem. — Tylko nieliczni z nich mają tyle rozumu, by wiedzieć, że Bóg rad by widzieć te poronione stworzenia umyte i ogolone. Nie mam pana na myśli — dodała, widząc, że Glen pochwycił odruchowo swój świeżo ogolony podbródek — mówię tylko tak ogólnie!

Glen skinął głową. Udawał, że podziela poglądy Mrs : Brace i ciągnął dalej:

— Człek, którego szukam, musiał być w brudnym ubraniu, pracuje bowiem przy robotach ziemnych na nowej szosie. Myślę, że było to łatwo rozpoznać — być może jednak, że przebrał się przed pójściem na kwaterę.

— Pańskie opisy są bardzo niedokładne — stwierdziła bystro Mrs Brace. — Kiedyż człowiek ten miał tu przybyć?

— Przed niespełna tygodniem!

— Przed tygodniem? Czekaj pan chwilę! Byli wtedy Mr Smith z Smith Houses Ranch, stary mój bywalec, inspektor Sattle i jeszcze jeden obcy przybysz w zupełnie nowym, porządnym garniturze! Boże uchowaj od tych gości! Każdy Murzyn ma lepsze maniery, od nich! Był tu tylko jeden dzień. Wyrzuciłam go. Widzę jeszcze przed sobą jego wstrętną gębę, kiedy mówił do mnie: — „Mamm, kalkuluję, że dostanę flaszkę whisky?!..” — Człeku, odparłam, ten płyn przepłacił mój mąż zdrowiem i życiem — od tego czasu nie daję mym gościom whisky!” — ale on ciągnął swą śpiewkę dalej: — „Mamm, kalkuluję jednak, że wyjątki są dopuszczalne. Poślij Murzyna po flaszkę whisky lub zrobię to sam ale wtedy zatrzęsie się ulica...”

Mrs Brace przerwała nabierając tchu. Twarz jej poczerwieniała oburzeniem na samo wspomnienie tej awantury. Uspokoiła się jednak nieco i opowiadała dalej:

— To; była przecież wyraźna groźba, czy nie? W moim domu! Złapałam draba za kołnierz i wyniosłam za drzwi! Powiedziałam mu, by nie ważył się przestępować więcej mego progu, jeśli chce mieć całe kości!

Sapała. Meszek na wardze nasrożył jej się z oburzenia jak u jeża.

Glen nadstawił uszu.

— Powiedział: „Kalkuluję...?” No to musi być on! To był na pewno on! To jego ulubiony zwrot! Gdzież się podział ten człowiek?

— A cóż mnie to obchodzi?! — odparła rezolutnie Mam Brace. Jeśli to pański przyjaciel, to bardzo żałuję. Był to szczególnie bezczelny drab!

Glenowi zależało jednak na tym bardzo, by dowiedzieć się czegoś więcej.

— Przyjaciel, to niezupełnie właściwe określenie — usiłował podtrzymać rozmowę Glen, rezygnując, częściowo ze swych planów. — Miałem z nim do pomówienia jedno małe słóweczko!

— No, to brzmi już lepiej? Dowiedz się pan u Slummy'ego.

— Któż to taki?

— Właściciel złodziejskiej meliny przy King Street.

Mrs Brace wskazała palcem na boczną uliczkę Railway Street i odeszła pośpiesznie do kuchni.

— Serdeczne dzięki! — zawołał za nią Glen. Następnie podniósł się i podążył do „złodziejskiej meliny”.

Hotel Slummy'ego miał najgorszą opinię. Na zewnątrz robił wrażenie spokojnego domostwa. Jednak, gdy Glen przekroczył tylko próg szynkowni; która świeciła teraz pustkami, uderzyła go przykra woń rozlanej gorzałki. Na ścianach widniały ślady kul, z których kilka uszkodziło nawet stół barmana, okna były zakryte brudnymi firankami, a na podłodze widniały podejrzane plamy.

Wszystko to usprawiedliwiało kiepską opinię Mam Brace o tym hotelu, a Glen przypomniał sobie, że jeszcze wczoraj w nocy dochodziły go stąd piekielne wrzaski.

Za szynkwasem stał wysoki, szczupły i blady mężczyzna. Zajęty był teraz płukaniem szklanek. Gdy Glen pojawił się na progu, mężczyzna podniósł głowę. Glen dostrzegł, że jest on jednooki. Na twarzy gospodarza malowała się podejrzliwość. Dziwnym zbiegiem okoliczności udzieliła się ona również Glenowi. W głowie jego powstał jakiś nieokreślony niepokój, na który nie umiał znaleźć wytłumaczenia.

— Chciałbym się czegoś napić! — powiedział, siadając z udaną swobodą na krześle.

— Piwa?

— Kiedy pragnę się napić to nie cienkiego piwa, lecz porządnej whisky!

Slummy zawahał się przez chwilę, lecz nalał gościowi szklaneczkę. Glen wypróżnił ją jednym haustem, po czym nie zwlekając przeszedł od razu do rzeczy:

— Umówiłem się w hotelu Mam Brace z pewnym człowiekiem — wycedził wściekle. — Brace wyrzuciła go za drzwi, bo chciał napić się szklaneczki whisky. Wie pan o kogo mi chodzi? Człek ten miał nowiuteńki, pierwszorzędny garnitur!

Slummy wypluł z sykiem swą chewing-gum i nie podnosząc głowy znad swych szklanek powiedział:

— Bawił u mnie tylko przez jedną noc, po czym ruszył dalej!

— Miał pozostawić mi wiadomość — dorzucił obojętnym głosem Glen. — Zapewniał mnie, że gdyby jakieś okoliczności zmusiły go do odjazdu, zostawi mi wiadomość!

— Nie zostawił niczego!

— A to fool! Teraz pędzi chłop naprzeciw własnej zguby! Cóż, jego własna wina!

Gospodarz przerwał nagle swe zajęcie. Spojrzał ostro i nieufnie swym jedynym okiem na Glena.

— Jak pan się nazywa właściwie?

— Nic ci do tego! — odparł grubiańsko Glen.

Slummy wahał się chwilę, po czym powiedział:

— Pojechał na północ w kierunku White Hills. Nie ma jeszcze tygodnia, jak panu powiedziałem, bawił u mnie tylko jedną noc — może znajdzie go pan po drodze!

Podejrzenia Glena wzrastały. Ten gospodarz wiedział o Chessie z pewnością dużo więcej: Należał pewnie także do „Stepowych Wilków”,

którzy stanowili zwartą, zakonspirowaną organizację. Jak opowiadano, tam na północy koło White Hills, mieli mieć nawet rzekomo swą stałą siedzibę.

Słowa Slummy'ego przypomniały mu jeszcze; jedno. Ojciec Tommy'ego, pastor Farley mieszkał również w pobliżu White Hills, w jakimś zapadłym miasteczku nad Rocky River. Glen zaryzykował raz jeszcze, by zdobyć pewność.

— Nie rozumiem tego człowieka — powiedział z namysłem — załatwić wszystko tylko połowicznie i wracać do domu... To niepojęte...

— Myślał, że wszystko jest załatwione!

— Kalkuluję, że stał się widać bardzo skromny. To nie jest już, zdaje się, ten stary kompan...

Nastąpiła dłuższa przerwa.

Slummy był z pewnością pomocnikiem „Stepowych Wilków”, którzy go opłacali, wątpliwe było jednak, by mógł znać wszystkich członków bandy.

— No, ładnie — powiedział po przerwie Glen — muszę teraz liczyć tylko na to, że może się natknę gdzieś na niego!

Rzucił dolara gospodarzowi i wyszedł. Był z siebie zadowolony. Tylko jedna myśl zaprzątała mu umysł. Dlaczego Chess chciał pierwotnie zamieszkać w hotelu Mam Brace, skoro znał dobrze Slummy'ego? Było przecież dlań rzeczą o wiele prostszą zamieszkać od razu w spelunce Slummy'ego. Być może chciał zamieszkać u Mam Brace, by uniknąć ewentualnych nocnych awantur — miał chyba dostateczne powody, by nie wzbudzać ciekawości szeryfa.

Glen zabawił jeszcze do południa w Redwood Hills. Zjadł obiad, po czym osiodłał konia i ruszył w dalszą drogę.

Chciał najpierw oddać ojcu Tommy’go pieniądze, by mu znowu przez jakiś przypadek nie zaginęły. Następnie dopiero postanowił dalej tropić Chessa.

Popołudnie minęło bez wypadku. Glen miał już za sobą spory, kawał drogi. Droga jego wiodła teraz nie przez gościniec, lecz przez dziki płaskowyż. Skracało to wydatnie dzielącą go od White Hills przestrzeń i było w pewnej mierze bezpieczniejsze dla samotnego jeźdźca. Okolica przy szosie była tylko z rzadka zamieszkana, osiedla leżały w dość znacznych odstępach, a napady i rozboje na niej powtarzały się raz po raz. Plaga ta stała się tak powszechna, że ranczerzy musieli opłacać bandytom haracz, by mieć jaki taki spokój. Desperados grasowali bezkarnie, nawet masowe obławy nie mogły zapobiec złu.

Wszystko to w kraju, gdzie przestrzeń pokonywało się całymi tygodniami i którędy — szczególnie zimą — przechodziły liczne transporty futer i skórek. Lasy były tu jednak nieprzebyte, a pustkowie bezkresne. Szeryfowie nie mogli wiele zdziałać, gdy nagle wyłaniające się bandy dokonywały swych zbrodniczych napadów i znikały bez śladu.. Toteż Glen nie zaniedbał żadnego z środków ostrożności, rozbijając swe nocne obozowisko. Rozwinął lasso i uwiązał konia, pozostawiając mu tylko małą przestrzeń do swobodnego poruszania się. Nie rozniecał nawet ogniska. Miał ku temu dość ważne powody. Tu, na tym pustym płaskowyżu, ognisko było widoczne na mile całe. Ponieważ okolicę nawiedzały dość często „Stepowe Wilki” musiał i Glen liczyć się z możliwością ich odwiedzin. Tego zaś pragnął za wszelką cenę uniknąć, już chociażby z uwagi na czterysta, dolarów, które wiózł pastorowi Farleyowi. Gdyby doszło do czegoś, Glen

postanowił udawać trampa lub poszukiwacza złota, który nie ma ani centa — przypuszczalnie „Wilki Stepowe” pozostawiłyby go w tym wypadku w spokoju. Musiał się jednak liczyć z tym, że zabraliby mu z pewnością konia. O jakiejkolwiek walce nie było można w tym wypadku marzyć, chcąc bowiem odnaleźć Chessa nie mógł się przedwcześnie zdradzić. Zrezygnował więc z ulubionej kawy i posilił się suchym chlebem i konserwami.

Noc minęła spokojnie.

Następnego dnia ugotował sobie Glen ciepłe śniadanie, osiodłał konia i ruszył w dalszą drogę.

Przez cały dzień nie czuł zupełnie bólu. Rana nie dokuczała mu wcale, nawet gdy koń przeskakiwał w galopie rowy. Nie ulegało wątpliwości — zdrowie powracało w zawrotnym tempie. Również uczucie wyczerpania, które nawiedzało go wczoraj, znikło bez śladu.

Tu i ówdzie wyłaniaj się przed nim samotne chaty lub pasące się bydło. Raz nawet minął jakieś wigwamy Indian. Pragnął zamienić z czerwonoskórymi parę słów, lecz jego pozdrowienie odwzajemnione zostało niechętnym pomrukiem. Jak widać, nie bardzo zależało tubylcom na rozmowie z białym człowiekiem. W twarzach ich dostrzegł Glen nieufność, której nawet nie usiłowali ukryć.

Po dłuższej dopiero chwili jakiś obdarty pastuch zapytał go o cel podróży. Odpowiedź Glena została przyjęta z dziwnym uśmiechem. Zaczęli zasypywać go teraz ironicznymi pytaniami: Czy chce kupować tu tereny? Kiedy usiłował jeszcze coś powiedzieć, zostawili go po prostu i weszli do swych obskurnych nor.

Rozzłoszczony, popędził Glen konia i ruszył dalej.

V

Przybywszy do miasteczka, Glen zaczął rozglądać się za człowiekiem, który mógłby zaprowadzić go do pastora Farleya. Ze zdziwieniem zauważył, że ulice były tu prawie puste. Zajazd, hotel Basleya, przed którym się Glen zatrzymał, robił niemal eleganckie wrażenie. Był to drewniany budynek, niezwykle obszerny z rozległymi zabudowaniami. Przed zajazdem stało parę koni dobrej maści. Kilka z nich miało na grzbiecie wspaniałe siodła.

Glen uwiązał również swego konia i przeskoczywszy spiesznie parę schodów wszedł do jadalni. Był przygotowany na spotkanie z Chessem. Kolty Glena tkwiły luźno w olstrach — przekonał się o tym, gdy instynktownie dotknął ich rękojeści.

Pokój był wypełniony po brzegi. Przy kilku stolikach grano w karty, przy innych rozprawiano o czymś żywo. Gdy Glen zjawił się na progu, wszyscy prawie podnieśli głowy i zaczęli nań patrzeć uważnie.

Usiadł na wolnym krześle. Był zbyt doświadczonym westmanem, by nie poznać na pierwszy rzut oka, że goście siedzący na sali nie są ani ranczerami, ani kowbojami. Większość z nich nosiła jedwabne koszule, szerokie jasne kapelusze i srebrne meksykańskie ostrogi. Lecz co dziwne, twarze tych ludzi stanowiły jaskrawe przeciwieństwo tej wyszukanej elegancji. Jeszcze nigdy w życiu nie widział Glen tylu wisielczych facjat naraz. Niektóre z nich pokryte były szpetnymi szramami i bliznami, jakie pozostawiają cięcia nożem lub rany postrzałowe. Szczególnie ciekawe było oblicze mężczyzny, przy którego stoliku zajął miejsce Glen.

Był jeszcze staranniej od innych odziany. Czarne jak smoła włosy i śniade oblicze zdradzały południowca. Mógł być równie dobrze Włochem, jak i Teksańczykiem. Nie zwracał niemal zupełnie uwagi na Glena, a jego pozdrowienie odwzajemnił zaledwie lekkim skinieniem głowy.

Gospodarz duży, muskularny Irlandczyk, podszedł do Glena.

— Hallo, obcy przybyszu, dać panu coś do picia?!

— Well — odparł Glen — a jeśli możliwe, również coś do jedzenia.

— All right, mogę służyć sztuką mięsa! — zbierał się już do odejścia, lecz zauważył nagle pustą szklankę południowca: — Może jeszcze szklaneczkę, Mr Calaveras?

— Dziękuję, Mr Basley, nie mogę już więcej. Ile płacę?

— Nic pilnego! Mogę to równie dobrze zapisać...

Calaveras sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek banknotów.

— Wolę płacić gotówką! — to mówiąc wręczył gospodarzowi grubszy banknot. — Niech pan zostawi to wydawanie reszty! Zaliczy to pan innym razem!

— Wedle życzenia!

Basley cofnął się w ukłonach, które południowiec odwzajemnił łaskawym skinieniem głowy.

Glen przysłuchiwał się tej rozmowie z zapartym tchem. Czyżby ten Calaveras był bogatym hodowcą? A może jakimś opanowanym manią wielkości Meksykaninem, jakich często można było spotkać na teksańskiej granicy? Kimże jednak byli ci wystrojeni jego towarzysze? Czyżby kowboje Calaverasa? Nonsens! Nikt z tych ludzi nie parał się na pewno nigdy uczciwą pracą.

Gospodarz przyniósł jedzenie. Glen, krojąc sztukę mięsa, rozglądał się wokoło.

Ludzie siedzący przy stolikach zbierali się do wyjścia. Nie mówili teraz prawie ze sobą. Zachowywali się jak w kościele metodystów. Wysoki elegant siedzący przy stole Glena zdawał się sprawować nad nimi komendę. Milcząc opuścił zajazd, inni poszli jego śladem. Lokal opustoszał nagle i zamarł. Tylko z ulicy dochodziły stłumione głosy, skrzypienie siodeł i tętent kopyt końskich. Wkrótce jednak i to zamilkło w oddali.

Oczy Glena spoczęły teraz na Basleyu.

Gospodarz stał oparty o ladę i liczył pieniądze. Musiał ich mieć sporą sumkę. Mimo to oblicze jego było ponure.

— Hallo! --- zawołał Glen — czy mogę prosić o szklaneczkę whisky?!

— W tej chwili! —odparł gospodarz:

Glen wyciągnął się, ziewając.

— Co to za ludzie, ci, co tu siedzieli? — zapytał od niechcenia gospodarza, gdy ten podawał mu whisky.

— Ci jeźdźcy?

— Tak, ich mam na myśli.

— Hm. Ludzie ci zachodzą tu czasem do mnie. Nie znam ich bliżej. Zdaję się, że są to handlarze bydła. Trzech z nich posiada posesje i nieruchomości w White Hills. Są tu powszechnie znani i hodują konie!

— Jednego z nich nazywał pan — Mister Calaveras, czy coś podobnego, musi go więc pan znać bliżej!

— Wiem tylko, jak nazywają go jego towarzysze, nic więcej poza tym. Jest rzekomo właścicielem kopalń w Kanadzie, nie mam pojęcia jednak w jakich stronach. Czasem przebywa w naszej okolicy przez dłuższy okres!

Gospodarz wyjrzał przez okno na pustą ulicę i wziął się do sprzątania stolików.

Glen milczał. Po chwili jednak przerwał znowu gospodarzowi jego zajęcie.

— Czy mogę u pana dostać pokój?

— Owszem. Zamierza pan zamieszkać dłużej w tej okolicy?

— Być może. Nie wiem jeszcze!

— O prace będzie tu trudno. Ranczerzy najmują kowbojów diabli wiedzą skąd, byle nie z tych okolic!

— To, zdaje się, dość kosztowna historia! Co ich skłania do tego?

— Nie wiem!

Basley krzątał się jeszcze trochę, po czym znikł.

Glen wstał, by odprowadzić swego konia do stajni.

Następnie jakiś czas wałęsał się po ulicach miasteczka, by zorientować się w nim nieco. Natknął się po drodze na mały bar, nad którym widniał napis „Ottawa-Room”. Był pusty. Poczęło to denerwować Glena. Ani na ulicy, ani w lokalach, do których usiłował zajrzeć przez otwarte drzwi nie widać było żywej duszy.

Była dopiero dziewiąta. Czyżby ludzie chodzili tu tak wcześnie spać? A może towarzystwo zebrane u Basleya wypłoszyło mieszkańców?

Glen szedł ulicą aż do jej wylotu — dalej rozciągał się step. Wracając tą samą drogą dokonał dziwnego odkrycia. Wyludnione ulice ożywiły się. Ludzie stali małymi grupkami i rozprawiali żywo. Glen dostrzegł również jakieś trzy dziewczęta. Gdy podchodził bliżej, rozmowa zamierała, mężczyźni spozierali nań podejrzliwie i spode łba — dziewczęta patrzyły z zaciekawieniem, ale trwożliwie.

Ciekawe gniazdko! — pomyślał Glen. Stropiony wrócił do swej kwatery i położył się spać.

Dopiero nazajutrz w czasie rannego posiłku zapytał Basleya o adres pastora Farleya. Zdumiony Basley wskazał mu drogę:

— Widzi pan tę ulicę na prawo — tam na końcu? Ostatni domek należy do pastora Farleya. Zna go pan?

— Nie! Mam tylko załatwić coś u niego.

— Tak, tak, hm... Chodzi może o ten spór z szeryfem?

— Bynajmniej. To sprawa prywatna — objaśnił Glen wyciągając pod stołem nogi. — A cóż u licha za spory prowadzi pastor z szeryfem?

Gospodarz wahał się chwilę, po czym rzekł:

— Tak czy owak dowie się pan o tym. Sprawa przedstawia się następująco: Czasem przybywają do White Hills ludzie, którzy — jakby to powiedzieć — pozostają w kolizji z prawem. No i Ronald Hohne, burmistrz, i John Jeffries, szeryf, doszli ż tymi ludźmi — że tak powiem — do pewnego rodzaju porozumienia. Ludzie ci pozostawiają White Hills w spokoju, zaś White Hills zapewnia im bezkarność! All right, nie?

— Och, all right! — zapewnił pośpiesznie Glen, jakkolwiek tylko z trudem panował nad swym wzburzeniem.

— To coś całkiem nowego, tego rodzaju porozumienie — dodał jeszcze po chwili, usiłując nadać swemu głosowi swobodne brzmienie.

— O, proszę tak nie mówić! Na Zachodzie istnieje wiele miast — nawet daleko większych — w których tego rodzaju pakty z gangsterami nie są nowiną!

— No i White Hills wzięło sobie do serca dobry przykład?

— To całkiem uczciwa umowa! Cóż zresztą mogliśmy w White Hills zrobić? Pozwolić, by co parę miesięcy „Stepowe Wilki” trzymały nam kolty przed nosem? Władza jest tu za słaba — a te draby są zwinne jak tysiąc diabłów!

— No, chyba ludzie, z którymi zawierano te pakty muszą być powszechnie znani?

— Bynajmniej. Ja ich nie znam i wątpię czy jest ktoś w White Hills, kto ich zna.

— Naprawdę? — zapytał szyderczo Glen mierząc Basleya od stóp do głowy.

— Naprawdę, może mi pan wierzyć — zapewnił gospodarz. — Nie znam tych ludzi!

— Tak? A na przykład Mr Calaveras?!

— Mówiłem panu przecież, że jest właścicielem kopalń w Kanadzie.

— Kanada jest duża, Mr Basley, no i powszechnie wiadomo, że między Stanami a Kanadą biegnie granica. Czego właściwie ten właściciel kopalń szuka właśnie akurat w okolicy White Hills?

— Jak panu już mówiłem, Calaveras ma w tych okolicach przyjaciół, hodowców koni. Ich hodowla słynie w White Hills. Mr Calaveras odwiedza ich od czasu do czasu. Spotykają się wówczas tu, w moim hotelu.

— A wtedy wszyscy mieszkańcy White Hills chowają się jak myszy do dziury...

Basley rzucił na Glena rozpaczliwe spojrzenie.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Czyżby pan coś podobnego zauważył?

— Tak. Nie jestem przecież ślepy! Powiedz mi pan, kim są ludzie, z którymi Calaveras żyje w bliższej zażyłości?

— Nie znam ich wszystkich. Kilku z nich to ranczerzy, a jeden z nich jest chemikiem i mieszka tu w mieście.

Glen zaśmiał się, chociaż wzbierała w nim wściekłość.

— Ten chemik fabrykuje zapewne materiały wybuchowe... Słowem: „Stepowe Wilki” są poczciwcami, którzy wybrali sobie White Hills jako punkt zborny... No, no... Honorowi faceci pod opieką burmistrza i szeryfa... Tak bardzo w porządku to znowu nie jest, Mr Basley!

— Ha, z pewnością! Pastor Farley ma oczywiście rację nie zgadzając się z tego rodzaju paktami. Ale cóż robić! Każdy z tych drabów to devil of a fellow — well, to diabelne dranie! Bylibyśmy więc, jak sądzę, skończonymi durniami, gdybyśmy chcieli brać się z nimi za łby. Skoro szeryf z osobna i wszyscy razem są wobec „Stepowych Wilków” bezsilni — cóż można więcej począć?

— No tak! Więc przyznaje pan sam, że pańscy wczorajsi goście to „Stepowe Wilki", co?

— Well — odparł, wahając się. — Powiedziałem panu — część z nich mieszka tu stale, część zaś przybywa tu tylko po zakupy... To zresztą dla kupców nie najgorsi klienci... Od czasu, gdy szeryfem został Jeffries pozostawiają nas w spokoju! Nikomu włos nie spadł z głowy! Płacą za wszystko, co zjedzą lub zakupią do ostatniego centa! Ot, co się tu dzieje...

— A co z okolicznymi ranczerami?

— No, ci zapatrują się na tę sprawę trochę inaczej. Wariują z wściekłości. Grozili już, że pewnego dnia podpalą White Hills i zrównają je z ziemią... Nie widać ich też tu nigdy, nie chcą mieć z nami nic do czynienia. O, dear, byłoby może lepiej, gdyby sprawy stały inaczej. Nie mamy tu prawdziwych mężczyzn — wszyscy mają kramarskie dusze! Niech diabli porwą! Powiedziałem już i tak więcej, niż powinienem był. Mam nadzieję, że zapomni pan o tym?!

Glen podał Basleyowi rękę.

— Nie jestem starą babą. Umiem trzymać język za zębami. Zna pan dobrze tych desperados?

— Nie. Nikt w mieście nie wie, jak nazywają się naprawdę. Nie wiadomo również, ilu ich jest. Często przybywają tu nowe twarze. Musi to być piekielnie liczna rodzinka!

— No, ale Calaverasa, hodowców koni i kilku innych zna pan chyba z nazwiska?

— Oczywiście. Ale któż ośmieliłby się twierdzić, że ci ludzie nie są dżentelmenami? Każdy z nich ma swój zawód i pozycję. Nie było dotąd niczego takiego, co by przeciw nim świadczyło, a szeryf, który być może zna któregoś z nich nawet bliżej, milczy.

— Nikt nie zna ich kryjówek, gdzie zwyczajnie przebywają?

— Nikt. Nie mają zresztą kryjówek. Żyją całkiem jawnie w mieście czy w okolicy. Tylko od czasu do czasu zdarza się gdzieś strzelanina, jakiś mord lub zabójstwo. Władze zarządziły już raz wielką obławę na tych nieznanych draniów. Kilku z nich, których udało się nakryć, powieszono — nie zdradzili jednak ani słowem swych towarzyszy. Nawet przesłuchanie trzeciego stopnia nie dało żadnych wyników. „Wilki Stepowe" mają całą masę konfidentów, Jeśli jest jakaś akcja przeciw nim, zawsze znajdzie się ktoś, kto ich na czas uprzedzi. — Basley westchnął. — Nie można tu nikomu wierzyć. Nigdy nie wiadomo, czy nie ma się przed sobą szpiega „Stepowych Wilków" albo jednego z „Wilków" we własnej osobie. Drogerzysta Slocum zwietrzył coś przeciw „Wilkom" i opowiadał, że doniesie o tym władzom federalnym. Nazajutrz pochowano go. Znaleziono go w jego ogrodzie z przestrzeloną czaszką. Może pan więc zrozumieć, że człowiek traci ochotę do wszelkiego działania!

— No, ale pastor Farley sprzeciwia się takiemu stawianiu sprawy?!

— No ten, to tak! Jemu zresztą „Stepowe. Wilki" nic nie zrobią. To stary człowiek — nadto, jak mówią, jeden z jego synów znajduje się w ich paczce. Córkę pastora, która tu mieszka od niedawna, molestowali już jednak parokrotnie. Nie może wychodzić poza obręb swego ogrodu. Tylko wtedy, gdy w mieście przebywa Calaveras jest ona zupełnie bezpieczna. Każdego, kto nie odnosi się do niej przyzwoicie — wali z miejsca!

Glen zmarszczył brwi. Oczy jego przybrały twardy wyraz. Wstał z miejsca, pożegnał się krótko z gospodarzem i skierował się w stronę domu pastora Farleya.

Dom pastora był otoczony ogrodem. Był to miły budynek z drzewa, oszklony licznymi oknami, przed każdym z nich znajdowały się doniczki z kwiatami. Konia pozostawił Glen w stajni Basleya. Cicho dźwięczały jego ostrogi, gdy stąpał po ścieżkach ogrodu Farleya.

June stała pochylona nad warzywami. Od kilkunastu już dni nie padał deszcz, stała więc teraz nad grządkami i polewała je wodą z małej konewki, chociaż dopiero przed niespełna paru godzinami stary pastor skropił cały ogród hydrantem.

Ogród pachniał. Z lubością wchłaniał Glen cudownie czyste powietrze. Nie dostrzegł pochylonej June, ale ona dostrzegła go natychmiast. Usłyszawszy brzęk ostróg i otwieranie furtki odwróciła się zaciekawiona. Mogła obserwować dokładnie przybysza zza krzewów, które ją przesłaniały.

Glen był odziany jak kowboj. Nosił duży nowy kapelusz. Miał dobry smak. Jego chustka, którą zawiązał na szyi harmonizowała z barwą wełnianej koszuli. Ilekroć nie znajdował się „na wojennych ścieżkach" (takim mianem określał swoje burzliwe przeżycia), był zawsze starannie wygolony.

Nic dziwnego, że June poznała go natychmiast. Konewka, którą trzymała w rękach poczęła drżeć. June zbladła. Po chwili jednak twarz jej okryła się purpurą. Ciężko dysząc opuściła konewkę na ziemię i mimo woli chwyciła się za pierś, jak gdyby usiłując stłumić gwałtowne bicie serca. Ogarnęła ją nawałnica sprzecznych uczuć, gdy spostrzegła Glena. wchodzącego do domu jej ojca:

Miłość June do Glena nie zamarła, kwitła dalej jak górska roślina na kamienistym gruncie. Żadna burza nie mogła jej zniweczyć. Jej miłość nie zwiędła... Oczy jej błyszczały. Na ustach wykwitł niebiański uśmiech.

Lecz nagle wyłoniła się przed jej oczyma krwawa scena w karczmie Raleighsa. Znów zobaczyła swego brata; leżącego w kałuży krwi i Glena stojącego obok z dymiącym jeszcze rewolwerem!

I znów ogarnęła ją odraza. Nie, po tysiąckroć nie! Nie kochała go, przeciwnie, płonęła doń nienawiścią! Skąd się tu wziął w ogóle? Jak ją zdołał odnaleźć i dlaczego szukał jej właściwie? Czyżby nie lękał się policji?

Właściwie, pomyślała, to tu w White Hills żaden rewolwerowiec nie lęka się władzy. Nagle jak gdyby łuski spadły jej z oczu. W jaki sposób się tu dostał!? Bardzo prosty! Ojciec opowiadał jej, że wczoraj w mieście wałęsały się „Stepowe Wilki". To tłumaczyło wszystko! Glen Robles musiał być jednym z nich! Z pewnością! Zamordował przecież człowieka i lękał się wymiaru sprawiedliwości! Musiał więc szukać schronienia u tych ludzi, którzy stanowili plagę całej okolicy!

— O Glen, Glen! - szepnęła do siebie cicho.

Glen znikł w międzyczasie we wnętrzu domostwa. Stara Ann, która prowadziła gospodarstwo pastora, wyszła mu naprzeciw. Dreszcz ogarnął June. Jakieś fale ciepła i zimna poczęły przenikać jej ciało. Teraz znajdował się zapewne w gabinecie jej ojca. Czego chciał? Czy szukał może zemsty za to, że odpędziła go od siebie? Tyle czasu już upłynęło! Czyżby jeszcze pamiętał? Czy myślał jeszcze o niej? Szybko pobiegła ku drzwiom prowadzącym do gabinetu. Wewnątrz nie słychać było żadnego szmeru.

Otwarła drzwi.

Stojąc pośrodku pokoju spostrzegła, że ojciec usiadł na balkonie zwróconym w stronę sadu. Siwe włosy starego pastora jaśniały w promieniach słońca. Przed nim, lekko pochylony, stał Glen. Kapelusz trzymał w rękach.

June przycisnęła dłoń do piersi.

Glen nie wyglądał jak człowiek, który nosi się z jakimiś złymi zamiarami. Stał spokojnie. Zachowanie jego było grzeczne, lecz dumne.

Słyszała jak ojciec mówił:

— Cieszę się, że pan, panie Robles, zechciał mnie odwiedzić. Nie znam pana wprawdzie, ale przypuszczam, że sprowadza pana do mnie interes mej gminy albo — głos jego brzmiał teraz twardo — sprawa, jaką mam z burmistrzem i szeryfem...

June poczęła drżeć na całym ciele.

Słyszała, jak Glen zaczął teraz mówić równym, spokojnym głosem:

— Przychodzę do pana w zupełnie osobistej sprawie, Mr Farley. Jeśli chodzi o ścisłość to w równej mierze dotyczy pańskiej gminy, jak i pańskiego zatargu z burmistrzem i szeryfem w sprawie „Wilków Stepowych"...

— Ach, pan zna tę sprawę bliżej? — zapytał pośpiesznie Farley.

Podniósł się z miejsca i chciał podać gościowi krzesło, ale Glen nie pozwolił. Sam przysunął sobie taboret. Usiedli naprzeciw siebie.

Nagle June zdała sobie sprawę z tego, że podsłuchuje. Było jej nieswojo. Cóż miała jednak począć? Musiała za wszelką cenę dowiedzieć, się, czego chciał Glen!

Ten zaś ciągnął dalej.

— Przybywam z polecenia pańskiego syna — Tommy’ego Farleya!

— Ach! — westchnęła nagle całkiem cicho June, zrobiło jej się słabo, osunęła się ha jakiś fotel. Jak to? Przybywa z polecenia Tommy’ego Farleya? Przecież Tommy nie żyje! Sam przecież zastrzelił Tommy'ego!

Oczy jej zabłysły jakimiś zielonymi światełkami. Policzki jej zbielały.

Glen uśmiechnął się uspokajająco, gdy zobaczył pobladłe oblicze starca i jego drżące ręce.

— No, to nic złego, Mr Farley, to co panu powiem!

Starzec oddychał ciężko. Ze wzruszającą szczerością powiedział:

— Mój syn, Tommy, nie jest zły, Mr Robles. Och, gdybym mógł postąpić, jak ten ojciec w Starym Testamencie i przyjąć z powrotem swego marnotrawnego syna! Och, jakże rad bym to uczynić. Nie widziałem go już tyle czasu...

— On nie żyje! — zawołała teraz June w oburzeniu, które pozbawiło ją niemal zmysłów.

Jakaś dzika nienawiść rozpętała się w niej. Chciała pokrzyżować plany tego człowieka, którego kochała niegdyś. Wiedziała już teraz o co mu szło! Chciał wkraść się w zaufanie ojca...

— On nie żyje, ojcze! — krzyczała dalej. — Sama byłam świadkiem, jak ten oto człowiek go zastrzelił! Oj, ojcze, ojcze! — rzuciła się do nóg starca. — Zataiłam to przed tobą i myślałam, że nigdy się o tym nie dowiesz! Nie chciałam odbierać ci nadziei, że zobaczysz jeszcze kiedyś twego syna Tommy'ego!

Pastor osłupiał: Wiadomość o śmierci drugiego syna była tak niespodziewana, że przytłoczyła go zupełnie.

Spojrzał gniewnie na Glena. Na ustach starca pojawił się wyraz pogardy.

Glen pozwolił June wypowiedzieć się. Wzrok jego spoczywał na głowie ukochanego dziewczęcia, którą tuliła do kolan starego pastora.

— Muszę sprostować pewną omyłkę, Mr Farley. Wpierw jednak chciałbym panu wręczyć list, który potwierdzi, że to co powiem, jest prawdą. Nie Tommy, lecz Mac Farley zginął z mej ręki. Działałem zresztą w obronie koniecznej, toteż nie proszę pana, Mr Farley, o przebaczenie. Musiałem to uczynić, nie było innego wyjścia. Córka pańska, June, myślała, że Mac jest jej bratem Tommym. Mac nie żyje, to prawda, ale Tommy jest zdrów i cały! Mogę na to przysiąc!

Pastor wyciągnął do przybysza obie ręce i ujął jego dłoń. Z trudem wyjąkał:

— Pan wie coś o Tommym? Ma pan list od niego?!

— Tak, Mr Farley — Glen skinął głową.— Jest zdrów i ma się dobrze. Zrozumiał teraz swój błąd i chciałby go naprawić. Pracuje obecnie przy budowie szosy, gdzie uskładał tych czterysta dolarów, które panu przywożę. Mam od niego zlecenie ofiarować je panu z gorącym pozdrowieniem i prośbą, by mu pan przebaczył jego stare grzechy!

To mówiąc wręczył Glen pastorowi list i pieniądze Tommy'ego. Pastor odłożył pieniądze na bok, a widząc pytające spojrzenie June, rzekł:

— Twój brat Mac żył jeszcze, gdy ci pisałem, że umarł. Dla mnie jednakże umarł faktycznie już wtedy. Był przestępcą. Ani moje prośby, ani groźby nie skutkowały, stał się rabusiem i mordercą. Teraz nie żyje naprawdę! Boże, bądź litościwy jego duszy!

Następnie rozdarł kopertę i zaczął czytać list Tommy'ego. June rzuciła raz jeszcze trwożliwe spojrzenie na Glena i nachyliła się również nad listem. Poznali natychmiast charakter pisma Tommy'ego.

— Ojcze! — wyjąkała młoda dziewczyna, — Ojcze, nasz Tommy żyje! Boże, co za szczęście!

Stary pastor gładził drżącą ręką puszyste, miękkie włosy June. Glen cofnął się o jeden krok. Ze szczerym wzruszeniem patrzył na tę scenę. Pierwotnie postanowił unikać wszelkiego spotkania z June, ale kiedy wstępował w progi tego domu, zatliła w nim cicha nadzieja, że może zobaczy, że może jednak spotka tę cudną dziewczynę. Czar jej przykuł go teraz do miejsca, na którym stał, ogarnęła go jakaś dziwna tęsknota. Wspomnienia zaczęły się tłoczyć i przywodzić obrazy minionych dni. Na pozór stał jak pełen taktu obcy człowiek, nie biorący udziału w tej familijnej scenie, lecz w, oczach jego widać było serdeczne ciepło, a jego usta uśmiechały się łagodnie.

Patrzył na June.

Spojrzała również na niego. Stary pastor skłonił ją, by wstała z klęczek. Oboje przeczytali list Tommy'ego i nie ulegało już żadnej wątpliwości, że Glen mówił prawdę.

Wzruszony pastor wyszeptał:

— June, ten pan — pan Glen Robles — przyniósł nam wiadomość od Tommy'ego! Moja kochana! Tommy stał się innym człowiekiem — przesłał nam czterysta dolarów — swoje całe oszczędności! Podziękujmy Bogu i panu Roblesowi!

Glen myślał teraz o tym, jak dzielnie musiało bić serduszko w piersi June, która potrafiła po dzień dzisiejszy przemilczeć fakty, chociaż była przecież pewna, że on, Glen, zabił Tommy'ego!

Spojrzał jej w oczy. Jej pełne słodyczy spojrzenie i drżące usteczka zdradziły to, czego powiedzieć nie śmiała.

Wszystko minęło... Pozostała miłość...

Czekał, aż podała mu swą dłoń — pochylił się i szepnął:

— Sweet heart!

Spłonęła. Jej twarz, usta i blask jej czarnych oczu mówiły, że faktycznie jest jego, jego najukochańszą dziewczyną.

Pastor stanął obok Glena, Uścisnął prawicę swego gościa. Glen zakłopotany usiłował ją cofnąć, ale starzec powiedział wzruszonym głosem:

— Wiem, co się dzieje w pańskiej duszy. Ta ręka zabiła mego syna i pan myśli, że nie powinienem jej uścisnąć. Źle pan mnie osądził. Jak prawdą jest Słowo Boże które głoszę — tak prawdą jest, że sam oddałbym tego strąconego syna w ręce sprawiedliwości, gdybym go spotkał na swej drodze. Jestem potomkiem pionierów, którzy ten kraj zdobywali; oni mieli inne pojęcie o sprawiedliwości i sami byli jej wykonawcami. Mac był rabusiem, bandytą, „Stepowym Wilkiem”. Bóg mi świadkiem, że moja ręką nie zadrżałaby, gdybym sam miał wymierzyć mu karę. Nie, nie boję się uścisnąć pańskiej prawicy, Mr Robles! To męska dłoń i czuję, że uczciwa...

Glen musiał teraz opowiedzieć im wszystko, co wiedział o Tommym. Czuł się jak u siebie w domu.

Dzień ten przyniósł mu tyle nowych wrażeń, że Glen zapomniał nieomal, po co właściwie przybył w te okolice.

June opowiadała o swoim pobycie tutaj — a ojciec wyjawił Glenowi prawdę o stosunkach panujących w mieście i o swojej walce z niemoralnym układem, jaki zaistniał tu między bandytami a burmistrzem i szeryfem.

Glen oświadczył, że musi już jutro jechać dalej. Przemilczał oczywiście cel swej podróży. Mimo usilnych nalegań, by pozostał na noc, postanowił powrócić do zajazdu Basleya.

Z rozmowy z pastorem dowiedział się, kim są właściwie „Stepowe Wilki" i dlaczego posiadają tak olbrzymie wpływy.

— Musi pan wiedzieć, Mr Robles — mówił stary pastor — że przez długi czas i nasze okolice trapiła plaga Ku-Klux-Klanu. Z tym Ku-Klux-Klanem to zawiła historia. Jak to zwykle bywa, wiele rzeczy, które w założeniach swych są piękne i wzniosłe, z czasem przemienia się. w przeciwieństwo tego, czym być miały... Zatraca się cel i pozostaje czcza forma. To samo było z Ku-Klux-Klanem. Pierwotnie należeli do tego tajnego związku uczciwi i poważni farmerzy. Związek powstał po wojnie z południowymi stanami, kiedy Murzyni pijani świeżo uzyskaną wolnością, nadużywali swych swobód, siejąc mord, spustoszenie i pożogę. Ku-Klux-Klan położył szybko kres tym wykroczeniom. Podobne tajne związki zaczęły się tworzyć j na północy, gdzie również wielu nicponiów i poszukiwaczy przygód niepokoiło spokojnych farmerów. Z biegiem lat Ku-Klux-Klan stał się instytucją zupełnie zbędną. Mimo to trwał nadal. Starzy członkowie wymarli już dawno, a nowi pod maską związku zaczęli się dopuszczać nadużyć i nawet zbrodni. Aż raz przybyła z Kanady pewna liczba poszukiwaczy złota. Mieli ze sobą moc pieniędzy. Pod pretekstem, że prospektorzy popełnili jakąś zbrodnię, członkowie Ku-Klux-Klanu napadli na nich i zamordowali jednego z nich, który miał najwięcej gotówki, jego towarzysze postanowili pomścić to morderstwo. Rozpoczęła się krwawa i długotrwała walka z Ku-Klux-Klanem. Walka toczyła się ze zmiennym szczęściem. Raz jedna, raz druga strona brała górę... Wyrastali coraz to nowi mściciele. Ciągnęło się to latami. Część poszukiwaczy złota powędrowała dalej, część wróciła do Europy, ale wielu z nich pozostało i osiadło w White Hills. Z czasem dołączyli do nich ludzie podejrzanej konduity: szulerzy, rozbitkowie życiowi, ludzie inteligentni, ale z zaszarganą przeszłością. Toczące się walki były dla nich dogodną okazją do wyżycia. Tu, na północy, Ku-Klux-Klan rozpadł się już dawno, lecz jego miejsce zajął inny tajny związek „Wilków". Walczący z Ku-Klux-Klanem ludzie pragnęli pozostać w ukryciu, toteż nosili maski. Zbierali się zawsze nocą zamaskowani lub z uczernionymi sadzą twarzami, by nikt ich nie mógł poznać. Stali się postrachem i biczem całej północy. Oto historia „Stepowych Wilków".

Glen pojął dopiero teraz, jak ciężko będzie walczyć z tą bandą, która rozpadała się, być może, na wiele grup, ale była zjednoczona jednym mózgiem i wolą.

Z nadejściem wieczora Glen pożegnał się. Nie mógł jak dotąd zamienić z June ani paru słów na osobności. Teraz jednak stary pastor sam zaproponował:

— June! Odprowadź Mr Roblesa, nasza stara Ann śpi już zapewne.

June wyszła z Glenem do ogrodu. Nie śmieli jednak zatrzymać się tu dłużej, by nie narazić się na obmowę sąsiadów.

Ani June, ani Glen nie pragnęli długiej rozmowy. Po cóż im były słowa? Czyż ich spojrzenia i wzajemnie wymienione uśmiechy nie mówiły im znacznie więcej?

Glen ujął dłoń June w swe ręce i szepnął:

— Żegnaj June! Mam jeszcze jedno zadanie do spełnienia. Jeśli nie wrócę — wiedz, że wrócić nie mogłem...

June spojrzała nań przerażona. Domyśliła się, że plan z jakim się nosił, zagrażał jego życiu. Była jednak dzielną dziewczyną i konieczność nie dająca się odmienić, nie przerażała jej. Ręka jej spoczywała z ufnością na dłoniach Glena.

Odparła spokojnie:

— Glen, wiesz że cię kocham. Wyznałam ci to już kiedyś. To co było — minęło — to był tylko zły sen. Będę cię kochać zawsze, nawet jeśli nie wrócisz...

— Och, June! — zawołał Glen i wybiegł.

Długo, długo stała June u furtki i patrzyła za Glenem, podniosła rękę i pomachała nią na pożegnanie.

Glen dojrzał jeszcze z daleka jej smukłą postać i zawołał:

— Wrócę, wrócę do ciebie znowu!

Glen powrócił do hotelu Basleya. Tej nocy spał spokojnie. Był szczęśliwy.

Następnego dnia rano wyszedł znowu na miasto. Myśl o June nie opuszczała go. Pamiętał jednak ciągle, że jego zadaniem jest odszukać Chessa.

Ulice były i teraz niezbyt uczęszczane, większość mieszkańców o tej porze pracowała.

Przed jednym ze sklepów stał osiodłany koń. Glen zaczął z przyzwyczajenia przypatrywać się zwierzęciu. Była to srokata klacz o muskularnych pęcinach i wyglądała na narowistą. Siodło miała wysokie, meksykańskie, bogato szamerowane srebrem. Właściciel konia musiał być zamożnym człowiekiem.

Glen zamierzał już odejść, gdy nagle drzwi sklepu się otwarły z charakterystycznym dźwiękiem wejściowego .dzwonka.

To co nastąpiło, trwało zaledwie parę sekund.

Glen odwrócił się momentalnie. W drzwiach pojawił się człowiek. Glen poznał w nim Chessa, Robles skrył się za płotem, Chess zdawał się go nie widzieć. Przytroczył parę pakunków do siodła, skoczył na konia i pojechał w stronę hotelu Basleya, tuż obok miejsca, w którym skrył się Glen.

Glen przywarł całym ciałem do płotu, za którym stał teraz ukryty. Gałęzie krzewów przesłaniały mu twarz, pozwalając mu jednak obserwować jeźdźca. Był zdecydowany rozpocząć walkę.

Chess nie dostrzegł Glena. Zsiadł dopiero przed hotelem Basleya, uwiązał konia i wszedł do wnętrza zajazdu.

Glen gorączkowo rozważał sytuację. Go miał teraz robić? Jak znaleźć właściwe wyjście z tej sytuacji? Mógł wprawdzie równie dobrze pójść do hotelu Basleya i zabić tam Chessa, jak i zaczekać, aż znajdzie się znowu na ulicy. Tak, ale wtedy musiałoby całe miasteczko dowiedzieć się o zajściu, a to sprowadziłoby mu na kark bandę. Wszak nie dalej jak wczoraj powiedział mu Basley, że w White Hills nie można nikomu ufać. A zresztą! Kto wie, czy Chess miał w ogóle przy sobie zrabowane Glenowi pieniądze?

Gdyby ich nie miał, cóż by właściwie było warte to zabójstwo? Glen zdawał sobie sprawę, że zbyt pośpieszne działanie mogło popsuć całą sprawę. Dla robotników ważniejszą rzeczą było odzyskanie pieniędzy niż zemsta. Zresztą, gdyby Glen rozpoczął na ulicy strzelaninę, zabił Chessa i zabrał mu pieniądze, ludzie uważaliby go zapewne za mordercę rabunkowego, łatwo mogli się również dowiedzieć, że zabił już jednego człowieka i los Glena byłby przesądzony. Nie, Glen musiał działać wedle jasno ułożonego planu! Musiał dostać Chessa w swe ręce nie w mieście, lecz na stepie!

Chciał jednak wydostać wpierw konia. Jak to zrobić? By podejść do stajni musiał przejść pod oknami jadalni — łatwo było jednak przewidzieć, że Chess z uwagi na bezpieczeństwo zajmie miejsce przy oknie — a to spaliłoby cały plan! Pozostawało więc jedyne wyjście — dostać się do stajni od tyłu przez ogród. Musiał działać szybko!

Glen minął pośpiesznie parę bocznych ulic i poprzez płoty przedostał się do obejścia Basleya. Po drodze natknął się na kilka osób zajętych strząsaniem owoców. Patrzyli nań podejrzliwie. Zbliżył się ostrożnie do stajni. Doszły go stłumione glosy. Glen ukrył się w wysokiej trawie i czekał.

Drzwi od strony podwórza rozwarły się i nagle pojawił się w nich Basley. Gospodarz nie był sam. Zaraz za nim pojawił się Chess. Obaj podeszli do stajni i znikli w jej wnętrzu.

Z tego skorzystał Glen. Szybko podbiegł do tylnej ściany zabudowań stajennych, gdzie mógł swobodnie słyszeć każde słowo.

— To jest koń tego obcego, przybysza! — mówił Basley. — Należy do przyjaciela, którego pan oczekuje?

— Nie — odparł Chess — pomyliłem się. Możemy wracać!

Drzwi zaskrzypiały. Obaj mężczyźni oddalili się.

Glen przygryzł wargi. Więc jednak Chess dostrzegł go! Wiedział, że Glen go ściga i jest w White Hills! Trzeba teraz być w dwójnasób ostrożnymi jeśli cel miał być osiągnięty!

Glen przeczekał, aż obaj znikli, po czym podszedł do stajni. Na szczęście; jak gdyby wiedziony instynktem, nie zabrał — co było w jego zwyczaju — siodła do pokoju. W kilka minut osiodłał konia, wyprowadził go na ogród i dosiadł. Opodal ogrodzenia była wolniejsza przestrzeń bez drzew. Glen ocenił na oko odległość i przeskoczył wraz z koniem w tym miejscu płot.

Teraz należało rozejrzeć się za ukryciem, z którego można by swobodnie obserwować Chessa, kiedy będzie odjeżdżał. Po krótkim namyśle doszedł Glen do wniosku, że nie było to rzeczą konieczną. Opuszczając miasto Chess i tak z pewnością skieruje się na zachód w stronę widniejących w dali gór.

Tam postanowił czekać nań Glen.

Szybko popędził w tę stronę swego kasztanka.

Po upływie niespełna dziesięciu minut znalazł się na stoku — upłynęło jeszcze kilkanaście minut i koń Glena wspiął się na mały górski grzebień, z którego rozpościerał się rozległy widok.

Na lewo widniały domostwa White Hills. Mógł teraz dokładnie obserwować główną drogę aż do hotelu Basleya.

Srokata klacz Chessa stała jeszcze osiodłana przed zajazdem. Czyżby Chess miał zamiar zatrzymać się w mieście? Czas płynął. Podejrzenia Glena zdawały się być uzasadnione. Chess przypuszczał widocznie, że

Glen będzie musiał powrócić do hotelu, by wziąć konia. Chess nie był człowiekiem, który umiałby właściwie myśleć i rozważać. Sądził zapewne, że Glen jest równie prymitywnym człowiekiem jak on. Być może czekał zaczajony przy oknie na okazję, by móc zabić z ukrycia Glena, gdy ten będzie powracał do zajazdu Basleya — był przekonany przecież, że. koń Glena znajduje się jeszcze w stajni.

Glen czekał. Zapalił papierosa i sam zdziwił się, jak zimną miał krew. O, robotnicy z campu nie przeliczą się? Odzyska ich zrabowane pieniądze z pewnością!

Nagle zobaczył, że Chess wyszedł na ulicę i zaczął rozmawiać z jakimś obszarpańcem. Po chwili Chess dosiadł konia i ruszył, jak Glen słusznie przewidywał, na zachód. Glen nie zwlekał teraz ani chwili i pognał w stronę, w którą podążył bandyta.

Mijał właśnie ostatnie domy White Hills, gdy przypomniał sobie, że w hotelu Basleya pozostawił swój karabin. Był zdany na swe oba kolty, Chess natomiast miał nowiuteńkiego winchestera. Siły były więc nierówne — Glen musiał pozostać w ukryciu i czekać na sposobność, by udało mu się podejść niespodzianie Chessa na odległość rewolwerowego strzału.

Chess jechał wolno, oglądając się raz po raz. Spodziewał się widać pościgu swego przeciwnika.

— „Musi mnie uważać chyba za skończonego głupca” — pomyślał Glen. Jechał teraz niemal równolegle z Chessem, kryjąc się za drzewami i krzakami rosnącymi wzdłuż gościńca. Mózg jego zaprzątała tylko jedna myśl: w jaki sposób zbliżyć się niepostrzeżenie do Chessa? Chess usiłował zdaje się wyminąć wzgórza i objechać je dokoła. To było Glenowi nie na rękę. Zaatakować na otwartym stepie było niemal niepodobieństwem.

Nagle Chess zatrzymał konia i długo spoglądał w stronę miasta oddalonego o dobre dwie mile.

Upłynęło tak dobre pół minuty. Wtem pognał swą srokatą klacz dalej. Nie jechał teraz jednak w obranym pierwotnie kierunku.

Po kilku minutach znikł Glenowi z oczu.

Pierwszą myślą Glena było, że Chess musiał go jednak dostrzec i że ufny w swój winchester chce zmusić go do otwartej walki.

Nie namyślając się długo, zeskoczył Glen szybko z siodła, przywiązał kasztanka i cicho jak ryś począł iść naprzeciw — jak sądził — Chessowi. Od czasu do czasu zatrzymał się i nadsłuchiwał. Musiał uważać, by nie wystawić się przeciwnikowi, jak zając, do strzału. Biegł od drzewa do drzewa, od jednego krzaku do drugiego, które służyły mu jako osłona. W rękach trzymał oba kolty gotowe do strzału. Ku swemu jednak zdziwieniu stwierdził, że nigdzie nie było ani śladu Chessa. Czyżby bandzior go nie dostrzegł? A może czatował nań w jakimś tylko jemu znanym zakątku? Na czoło wystąpiły Glenowi krople potu. Był teraz bezradny. Nagle dostrzegł pośród zieleni krzewów srokatą plamę. Była to klacz Chessa.

Lecz gdzie on był, u licha!

Zaparło mu dech. Zaczął niespokojnie rozglądać się wokoło. Lada chwila spodziewał się strzału, który położy kres jego życiu.

Lecz wnet oblicze jego rozjaśnił uśmiech. Dostrzegł smugi unoszącego się dymu, a niebawem i swego wroga. Chess stał ż boku oparty o drzewo_ i palił w spokoju cygaro. Obok stał oparty o drzewo jego karabin. Patrzył w stronę szosy biegnącej z White Hills i był odwrócony do Glena plecami.

Glen pojął teraz wszystko: Chess ciągle spodziewał się pościgu i czekał tylko na sposobność, by z zasadzki zlikwidować swego prześladowcę.

„Więc jednak nie widział mnie przedtem — pomyślał sobie Glen — sądzi że jestem takim głupcem, by leźć wprost w jego pułapkę"! Glen nie wahał się dłużej. Podkradał się jeszcze bliżej. Klacz poruszyła się.

Chess odwrócił głowę i mruknął:

— Spokojnie, przeklęte bydlę!

Nagle rozległ się za nim ironiczny głos Glena.

— Koń jest mądrzejszy od ciebie!

Chess odwrócił się przerażony i ujrzał pięć kroków od siebie Glena Roblesa. Wyloty obu rewolwerów Glena czerniały złowieszczo. Chess wiedział, że przegrał. Twarz jego pokryła się plamami.

— Nie ruszać się! — ciągnął Glen z lodowatym spokojem. — Jeśli tylko, mrugniesz powieką, koniec z tobą. Gdzie jest tych siedem tysięcy dolarów, gadaj łajdaku?! Masz je jeszcze przy sobie?

Fakt, że Glen nie położył go na miejscu trupem, przywrócił Chessowi tupet.

„Jesteś żółtodziobem, Robles! — pomyślał sobie Chess — nie wykorzystać takiej idealnej szansy!”

Ziewnął bezczelnie.

— Jeśli chcesz mieć z powrotem pieniądze, to musisz mnie chyba odprowadzić do domu! Albo wiesz co, Glen, poczekaj tu — przyniosę ci je. .Mam piękną kalkulację.

— Zamknij twój bezczelny pysk! — krzyknął Glen. — Twoje kalkulacje mało mnie obchodzą. Odpowiadaj! Masz zrabowane pieniądze czy nie!

— No trochę mam! — odparł Chess, w oczach jego zabłysły podstępne błyski. — Dać ci je?

— No, dawaj, ale szybko!

Ale Chess, nim sięgnął do kieszeni, ruchem szybkim jak błyskawica sięgnął do olstra i dobył kolta. Nie zdołał go jednak unieść na wysokość strzału, gdy zagrzmiały oba rewolwery Glena.

Chess wypuścił broń z rąk, podszedł jeszcze chwiejąc się dwa kroki naprzód, potknął się i upadł.

Glen przysunął się bliżej. Rewolwery jego dymiły jeszcze. Ukląkł i odwrócił głowę Chessa.

Nie żył. Kula przeszyła mu serce.

— Odrobinę za szybko to poszło — szepnął Glen przeszukując kieszenie zabitego. Znalazł kilka banknotów. — To zaledwie siedemset dolarów — niemożliwe, by było to już wszystko z tego, co zrabował...

Szukał skrupulatnie dalej, nie znalazł jednak niczego.

Zastanowiło go to.

Chess nie mógł przecież w ciągu tygodnia przeputać sześciu tysięcy dolarów! A jednak w kieszeniach jego nie było ani centa więcej prócz tych siedmiuset dolarów? Musiał więc mieć jakąś kryjówkę — ale gdzie? Czyżby w kwaterze „Stepowych Wilków”?

Glen powstał, zaczął teraz w zamyśleniu krążyć tam i z powrotem.

Chess nie żył. Faktu tego nie można już było odmienić. Zresztą, gdyby nie śmiertelna kula, Chess nie wahałby się zabić Glena. — „Dobrze się stało — pomyślał Glen — że to bydlę nie będzie mogło, wyrządzać już szkód wśród ludzi. Nie żałował swego czynu.

Leżący przed nim trup: nie napawał go ani odrazą, ani współczuciem. Glen uważał się za wykonawcę woli wybiegającej daleko poza jego własną wolę, której na imię było: prawo, sprawiedliwość, odpłata i ochrona spokojnych ludzi!

Chess nie żył. Jego sprawa była zlikwidowana.

Umarł jednak za wcześnie. Zbyt szybko dosięgła go kara. Glen nie był zadowolony.

Nie należało tak pośpiesznie przeć do walki!

No tak! Ale łatwo to było! powiedzieć! Nie mógł przecież śledzić Chessa w nieskończoność i bawić się z nim jak kot z myszką. Dobrowolnie i tak by mu nie wydał tych siedmiu tysięcy dolarów.

Chess nie nosiłby zresztą wszystkich pieniędzy ze sobą! Bajeczka, że ma pieniądze w hotelu Basleya, była kiepską blagą. Gdzież więc u licha były te pieniądze?

Chess musiał przechować gdzieś swój łup albo zawierzyć go komuś?

Ale komu?

Glen zaśmiał się gorzko.

Komu?

„Stepowym Wilkom”, zapewne!

Być może, że nawet ich przywódcy!

Równie dobrze jednak mógł te pieniądze gdzieś ukryć lub dać jakiemuś zaufanemu przyjacielowi!

Damned!

Musiał odszukać te pieniądze!

Musiał wydostać tych sześć tysięcy, chociażby ze szponów szatana! Po to przecież tu przybył!

Jeśli ten drab podzielił się ze swymi kompanami, tym gorzej dla nich! Glen zrobi wszystko, by wydrzeć „Stepowym Wilkom” te pieniądze!

Nagle tok jego myśli został przerwany. Do uszu doleciały echa uderzeń końskich kopyt. Rozejrzał się wokoło. Od strony stepu zbliżało się trzech jeźdźców. Srokata klacz podniosła łeb, potrzęsła nim i zaczęła głośno parskać. Jeźdźcy zatrzymali się. Bez trudu rozpoznał w nich Glen ludzi, którzy ubiegłego wieczora gościli w hotelu Basleya.

A więc to byli towarzysze Chessa!

Nie mogli go dostrzec, ale widać było, że stali się podejrzliwi, gdy usłyszeli rżenie konia. Glen dostrzegł, że zdjęli swe browningi i nisko pochyleni na grzbiecie swych koni zbliżali się z wolna do miejsca, gdzie stała klacz.

Walka byłaby dla Glena beznadziejna — nie miał przecież nawet strzelby. Pośpiesznie prześliznął się między krzewami, by dotrzeć do swego konia. Musiał teraz działać szybko. Przypuszczał, że jeźdźcy nie zapuszczą się w gęstwinę. Nie mogli wiedzieć, kim był ich przeciwnik i ilu ludzi posiadał! Należało to możliwie jak najszybciej wyzyskać.

Był już w połowie drogi, gdy posłyszał okrzyk wściekłości. Jeźdźcy musieli więc znaleźć zwłoki Chessa. Glen przyśpieszył kroku. Pot lał się zeń strugami, gdy dotarł do swego konia. Szybko rozpętał go, skoczył na siodło i pognał jak wicher w stronę górskiego stoku; Musiał się liczyć z tym, że jeźdźcy będą go ścigać. Po kwadransie zatrzymał się i zaczął nadsłuchiwać. Wokoło panowała martwa cisza.

Glen czekał.

Przypadkowo spojrzał w stronę rozpościerającej się w dole równiny i zdumiał się. Trzej jeźdźcy jechali powoli w stronę White Hills. Koń Chessa postępował za nimi z wolna. Jeden z jeźdźców przytroczył do swego siodła zwłoki Chessa.

Cóż to miało znaczyć? Czyżby ci trzej nie ważyli się go ścigać? Mogli przecież z łatwością stwierdzić, że śmierć Chessa nastąpiła niespełna kilkanaście minut temu — wiedzieli więc, że jego zabójca znajduje się w pobliżu. Obserwował ich dalej przez swą lunetę. Jeźdźcy jechali główną ulicą White Hills. Minęli hotel Basleya. Gdzież zdążali u licha? Przecież dom, przed którym się zatrzymali, należał do szeryfa! Glen parsknął śmiechem. Co za tupet!

Ludzie ci zdążali do szeryfa! Przestępcy szukali u władz ochrony i sprawiedliwości!

Glen nie wahał się dłużej.

Pogalopował szybko w stronę miasta. Znalazłszy się w jego pobliżu okrążył domostwa i od strony sadu przedostał się do zajazdu Basleya. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, zaprowadził szybko konia do stajni i zdjął mu siodło. Wytarł starannie swego kasztanka słomą, po czym wyczesał zgrzebłem. Spojrzał nań teraz z zadowoleniem. Nic nie zdradzało minionej przygody.

Jakieś pół godziny później wszedł do jadalni. Gospodarz stał przy oknie. Usłyszawszy kroki wchodzącego odwrócił głowę. Miał zatroskaną minę:

— No, nareszcie pana widzę! Był pan znowu u pastora Farleya?

— Tak, Mr Basley, byłem u pastora Farleya!

— Do diabła! — ciągnął dalej Basley. — Był tu przedtem jeden z dżentelmenów spód wiadomego znaku. Wypił szklaneczkę whisky i zapytał, czy nie zajechał do mnie przypadkiem obcy przybysz. „Owszem — powiadam — jest tu jeden”. Na to on — „Pokaż mi Basley jego konia" Pokazałem mu pańskiego kasztanka. Pozostał tu jeszcze chwilę, po czym ruszył dalej. Za jaką godzinę — patrzę — a tu wiozą jego zwłoki. Niech mnie diabli wezmą, jeśli z tego nie wyniknie jakaś awantura! Ci ludzie są teraz u szeryfa!

— Czegóż szukają te draby u szeryfa! To niezła komedia — bandyci szukają sprawiedliwości u szeryfa. Pierwszy raz widzę coś tak cudacznego!

— Nie tak głośno — Basley spojrzał w stronę otwartego okna, jak gdyby chciał się przekonać, czy ktoś ich nie podsłuchuje, po czym mówił dalej. — Mówiłem panu przecież, że między bandytami a burmistrzem i szeryfem istnieje układ. Będą się teraz domagali od szeryfa, by wyśledził mordercę i wydał go im.

— Człowieku — żachnął się Glen — widziałem w mym życiu wiele rzeczy, ale to co się tu dzieje, jest wprost niesłychane. No, no! Żeby takie łajdaki wzywały szeryfa... hm... to jest wprost nieprawdopodobne!

Basley milczał, wzruszył tylko ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „Zobaczymy!"

Glen usiadł i czekał spokojnie, jak sprawy potoczą się dalej.

W tym czasie jeźdźcy rozprawiali rzeczywiście z szeryfem Jeffriesem. Szeryf Jeffries był to tęgi człowiek, lat około czterdziestu. Był astmatykiem — bynajmniej nie z przepracowania w urzędowaniu, o nie — raczej z nadużywania alkoholu — posiadał jednak niedźwiedzią siłę. Miał dobrotliwą twarz, ale było niebezpiecznie szukać z nim zwady. W stosunku do

jeźdźców, którzy doń przybyli był uprzedzająco grzeczny. Wysłuchał ich doniesienia, obejrzał zwłoki i krzyknął przez okno na kilku młodych ludzi, którzy zaczęli się zbierać przed domem, by sobie poszli do czarta. Nie poskutkowało to wiele. Dopiero kiedy jeden z jeźdźców podszedł do okna, gromadka rozpierzchła się natychmiast.

— A więc szeryfie — powiedział jeden z dwóch, którzy stali teraz obok niego — ten oto człowiek, nazwiskiem Chess, a co najważniejsze — nasz przyjaciel, został zabity. Kto to zrobił? Nie wiemy. Podajemy to do pańskiej wiadomości i pozostawiamy panu, powiedzmy, trzy dni na znalezienie mordercy. Musi tu być gdzieś w mieście — mógł zbiec jedynie do White Hills. Musi go pan znaleźć i to szybko!

Jeffries zrobił urzędową minę i przypiął swą „gwiazdę”. Na jego twarzy malował się wielki wysiłek myśli. Nie miał pojęcia, kto z mieszkańców White Hills odważyłby się na zabójstwo jednego ze „Stepowych Wilków”.

— Musiał to być jakiś obcy, ludzie! — powiedział wreszcie.

Jeden z przybyszów ziewnął.

— Przypuszczam. Byłoby inaczej bardzo źle z mieszkańcami White Hills. To byłoby złamaniem naszego paktu, a wówczas... wówczas byłoby to sprawą dla miasta dość fatalną...

— To nie jest takie proste — powiedział szeryf raczej do siebie niż do swych miłych gości. — Być może, był to jakiś pojedynek czy coś podobnego — nie wiem, czy uda mi się tak łatwo wykryć zabójcę...

— Co to ciebie obchodzi? — krzyknął jeden z „Wilków". — Pojedynek czy też nie! Chess nie żyje! Musisz nam dostarczyć człowieka, który to uczynił, żywego lub umarłego! Jeśli nie — podpalimy White Hills — wierz mi, Jeffries! A nie myśl, że uda ci się uzyskać pomoc lub stworzyć pościgową drużynę! Z nami nie ma żartów, Jeffries! Myślę, że masz o tym jakie takie wyobrażenie?!

Jeffries milczał.

— Chodźmy — powiedział po chwili — spełnię swą powinność!

„Wilki” złożyły zwłoki Chessa na ławie w pokoju służbowym szeryfa i wyszły z Jeffriesem.

Basley, który stał wychylając się z okna, odwrócił, się i powiedział cicho do Glena:

— No, idą już na poszukiwania! Wiedziałem, że tak będzie!

Glen wychylił się również przez okno i spojrzał na ulicę. Czterej mężczyźni szli od domu do domu i pukali do drzwi.

— Ten mały, gruby to Jeffries — powiedział Basley półgłosem.

— Czegóż oni chcą właściwie od tych ludzi, do których drzwi pukają?

— To są ludzie umiejący obchodzić się z bronią — odparł Basley — będą ich wypytywać, gdzie byli, gdy dokonano zabójstwa i czy nie wiedzą o czymś!

Glen odszedł od okna i namacał swe rewolwery. Było jasne, że ktoś mógł był go widzieć i że łatwo mogli wpaść ha jego trop. Postanowił przy pierwszym spotkaniu z tymi ludźmi strzelać. Nie widział innego wyjścia. Pieniądze odebrane Chessowi schował do kieszeni. Należało je lepiej ukryć, lecz teraz nie było już na to czasu.

Glen czekał. Basley rzucał nań od czasu do czasu niespokojne spojrzenia.

Upłynęła tak cała godzina. Wreszcie Jeffries i jego towarzysze weszli do zajazdu Basleya.

VI

Glen spojrzał na gąbczaste oblicze szeryfa, po czym jego na pozór obojętny wzrok spoczął na trzech towarzyszach Jeffriesa.

— Basley — zapytał szeryf — jacy goście bawili u pana ostatniej nocy?

— Tylko ten oto pan, Mr Glen Robles!

— Czego pan szuka w White Hills? — zapytał cierpko szeryf. — Skąd się pan tutaj znalazł? Chcę mieć dokładne informacje!

Glen cofnął się pod ścianę. Stał teraz nieco pochylony do przodu, a ręce jego zwisały luźno tuż obok koltów.

— Czy mogę zapytać, co to pana właściwie obchodzi? — odparł Glen bez cienia szacunku. — Myślę, że tyle co nic!

— Jestem szeryfem, mój panie! — odparł przewlekłym tonem Jeffries.

— All right! Widziałem przecież pańską gwiazdę! — odparł Glen zdając sobie sprawę, że starcia nie uda się już uniknąć. — Nie jestem chyba ślepy? Powiem panu coś, szeryfie! Pańska urzędowa osoba nie imponuje mi wcale, a pańskie postępowanie jeszcze mniej! Nie pozwolę urządzać tu ze mną jakiegoś przesłuchania! Jeszcze żaden szeryf tego nie doczekał, nawet w towarzystwie pościgowej drużyny!

Jeffries spojrzał w miotające błyski oczy Glena i spokorniał. Jego trzej towarzysze przy słowie „drużyna pościgowa” zaczęli zanosić się śmiechem. Jeden z nich odsunął na bok szeryfa i powiedział:

— Chodzi nam tylko o jedno małe pytanko! Gdzie pan był kilka godzin temu? Jakiś łajdak z tego parszywego gniazda zamordował i obrabował naszego towarzysza.

— Pyta pan jako człowiek prywatny czy jako jeden z pościgowej drużyny?!

Desperado ziewnął.

— Mam nadzieję, że nie wyglądamy jak ludzie z paczki szeryfa?!

— To ładnie — odparł Glen. — Jeśli panu na tym zależy — byłem w stajni i czyściłem mego konia!

— A przedtem? Gdzie pan był przedtem?

— Tu w jadalni!

— Czy możemy obejrzeć pańskiego konia?

— Ależ bardzo proszę!

Mimo woli przybrał Glen grzeczny ton swego interlokutora. Chciał już zaprowadzić swego rozmówcę do stajni, ale ten machnął ręką.

— Mr Basley, czy może pan potwierdzić słowa tego pana?

— Well — potwierdził bez namysłu gospodarz — nie mógłby zresztą wyprowadzić swego konia ze stajni tak, bym tego nie dostrzegł!

— All right!

Desperado zwrócił się teraz do szeryfa. W głosie jego dźwięczała groźba.

— No, reszta to już pańska sprawa, Jeffries. Zobowiązał się pan przestrzegać porządku — jeśli pan nie znajdzie tego łajdaka, to... Myślę, że

będzie pan miał duże nieprzyjemności. Śmierć Chessa Shearera musi być pomszczona, a pieniądze, które mu zrabowano — zwrócone! Zrozumiano?! Jeśli nie — przygotujemy dla White Hills niespodziankę! Good bye!

Trzej jeźdźcy opuścili zajazd Basleya.

John Jeffries rzucił jeszcze na Glena niepewne spojrzenie, popatrzył z roztargnieniem na Basleya, jak gdyby chciał coś jeszcze powiedzieć i wyszedł.

Glen wyjrzał przez okno i patrzył za oddalającymi się. Przez chwilę trwała cisza.

Przerwał ją Basley.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby szeryf wymyślił jakieś świństwo. Ten tchórz już coś wynajdzie, by zrzucić odpowiedzialność ze swych barków. Mogę się założyć, że wykryje jakiegoś winnego! Jakiegoś nieżywego grzesznika, który opierał się przy aresztowaniu lub został zabity, gdy usiłował uciekać! Och! Nasz szeryf to potrafi! Trup nie będzie mógł ani mówić, ani się bronić!

— Damned! I dlaczego u licha pozwalacie na to?! — powiedział z pogardą Glen. — Szeryf pracuje w porozumieniu z bandytami! To piekielnie śmierdzi przekupstwem! Rozumiem teraz, że każdy okoliczny ranczer i kowboj spluwa, gdy mowa o White Hills.

Basley milczał.

Glen nie mógł dociec, czy Basley uważa go rzeczywiście za człowieka, który nie ma nic wspólnego z zabójstwem Chessa, czy też tylko nie chciał go wydać w ręce desperados?

Zaśmiał się zjadliwie. Nie mógł bez złości myśleć o tym zajściu. Szybko jednak się opanował. W końcu nie przyjechał tu po to, by przeżywać jakieś cudaczne przygody, w które nie uwierzyłby żaden człowiek o zdrowych zmysłach. Jest tutaj po to, by odzyskać zrabowane mu pieniądze! Te, w pocie czoła zapracowane dolary robotników, tkwiły teraz w kieszeniach „Stepowych Wilków”!

Jak je stamtąd wydostać?

Glen przyrzekł, że przywiezie pieniądze z powrotem. Musi więc walczyć o nie, jak długo mu sił starczy!

Chess nie żył. Jakkolwiek krzyżowało to Glenowi plany, nic nie można już było na to poradzić! Niech sobie szeryf i „Stepowe Wilki” szukają zabójcy Chessa gdzie chcą. Mało go to wzruszało!

Ale jak znaleźć resztę pieniędzy?

Do diaska!

Raz po raz wracały jego myśli ku „Stepowym Wilkom”. Rosła w nim wściekłość.

Nie powinien był pozwolić odebrać sobie tych pieniędzy!

Nagle zaświtała mu pewna myśl. Był to desperacki plan, który mógł okupić życiem. Postanowił zostać członkiem bandy „Stepowych Wilków!”

Uspokoił się. Zamówił szklaneczkę whisky i pogwizdywał teraz niemal wesoło.

Jadalnia zapełniała się z wolna gośćmi. Glen jednak nie zwracał uwagi na swe otoczenie. Myśli jego pracowały znów gorączkowo.

Łatwo powiedzieć: zostanę członkiem bandy! Ale jak?

Ci doświadczeni desperados nie przyjmowali do swego grona pierwszego lepszego, który się do nich zgłaszał — gdyby tak było — dawno przestaliby istnieć!

Trzeba więc było zaskarbić sobie zaufanie tych łajdaków, dopiero wtedy jego plan mógł liczyć na powodzenie. Nie ulegało wątpliwości, że „Stepowe Wilki” traktowały łup jako wspólną własność i że kwota sześciu tysięcy, którą mu zrabowano, już dawno została rozdzielona pomiędzy członków bandy. Być może jednak, że banda posiadała jakiś rezerwowy fundusz na nieprzewidziane wypadki. Lecz, by się do niego dobrać, nie było innej rady, jak zostać jednym z bandy.

Późnym wieczorem zdecydował się. Powiedział gospodarzowi, że rusza nazajutrz w drogę i potrzebny mu będzie spory pakunek prowiantu.

Tego wieczora w zajeździe Basleya nie pojawił się żaden z nieproszonych gości z Góry Duchów. Zacni ci ludzie mieli widocznie inne, ważniejsze zajęcia. Na sali siedzieli przy stolach obywatele White Hills. Glen trzymał się celowo na uboczu.

Rozglądał się jednak bacznie wokoło. Nie dowierzał ludziom z White Hills, a i oni patrzyli nań podejrzliwie.

Przy wszystkich stołach rozprawiano półszeptem, jednakże z wielkim ożywieniem. Od czasu do czasu dolatywały do uszu Glena urywane słowa. Z luźnych niedomówień wywnioskował, że wszystkich tych ludzi zaprząta żywo tajemnicze zabójstwo Chessa. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa istniały teraz w miasteczku dwie grupy. Jedna — zdaje się większość — popierała stanowisko szeryfa Jeffriesa; druga, która stanowiła mniejszość, opowiadała się za pastorem Farleyem. Basley, jak tego wymagał jego interes, pozostał neutralny. Każdą wolną chwilę spędzał za szynkwasem z dala od rozmowy gości.

Przypuszczenia Glena, że mieszkańcy White Hills sprowokują go do jakiegoś wystąpienia, okazały się na szczęście fałszywe. Nie padło ani z jednej, ani z drugiej strony żadne głośne słowo. Ludzie nie próbowali nawet wszczynać głośnej debaty.

Glen znudzony zamierzał już udać się na spoczynek, gdy nagle w drzwiach ukazał się szeryf Jeffries i przysiadł się do stołu swych zwolenników. Czuł się teraz w otoczeniu dziesięciu czy dwunastu ludzi znacznie pewniej i lepiej, niż po południu w towarzystwie trzech desperados.

Zaczął głośno rozprawiać o zabójstwie Chessa Shaerera:

— Myślę, że tego Chessa nie zabił nikt z mieszkańców White Hills — musiał to zrobić jakiś obcy człowiek. Być może, że osobnik ten miał z Chessem jakieś porachunki. No, ale niech sobie nie wyobraża, że go nie dosięgnę! Dopadnę go, chociażby nie wiem jak dobrze posługiwał się koltem!

W czasie tego bombastycznego przemówienia oczy Jeffriesa spoczywały na osobie Glena Roblesa. Zwolennicy szeryfa patrzyli nań również spode łba.

Glen uśmiechał się drwiąco. Powziął teraz śmiały plan. Postanowił pozwolić się wygadać Jeffriesowi, by tym łatwiej móc później działać.

„Dla grupy Farleya byłoby zapewne lepiej, gdyby ten przekupny szeryf został unieszkodliwiony na parę tygodni" — pomyślał sobie Glen.

Jeffries stawał się coraz agresywniejszy.

— Rozpocząłem już poszukiwania i dochodzenia — ciągnął dalej szeryf patrząc wyzywająco na Glena. — Jeden z ludzi mieszkający w górach opowiadał mi, że Chess Shaerer bawił przez długi czas w innych okolicach.

— Jest bardzo prawdopodobne, że człowiek taki jak Chess z łatwością przysporzył sobie wrogów. Nie myślę wypić piwa, którego naszemu miastu nawarzył jakiś obcy!! Nie, na to nie pozwolę! — krzyczał astmatycznym głosem

Glen uznał, że teraz nadszedł właściwy moment, by przeprowadzić swój plan. Był zupełnie zrównoważony. Wiedział dokładnie, czego chce. Awantura z szeryfem stwarzała dlań dogodną okazję do wstąpienia do bandy „Stepowych Wilków". Poturbowanie szeryfa było do tego chyba dostateczną legitymacją! Jakkolwiek Jeffries był kanalią, Glen nie chciał go zabijać — postanowił go jedynie unieszkodliwić gruntownie i okaleczyć.

Rzecz jasna, jako obcy przybysz nie musiał Glen wiedzieć o konszachtach władzy miejskiej w White Hills z bandytami. Zresztą nie ulegało dlań wątpliwości, że „Stepowe Wilki" nie żywiły zbytniej sympatii dla Jeffriesa.

— Czego się pan ciągle na mnie gapi? — zapytał nagle Glen szeryfa.

Zapanowała grobowa cisza.

— Może by pan obejrzał sobie lepiej swoich ludzi?! Zdaje się, że szuka pan ze mną zwady? Czy nie zaszkodzi to przypadkiem pańskiemu zdrowiu?! — ciągnął spokojnym głosem Glen.

Napęczniałe oblicze Jeffriesa spłonęło purpurą

— Ludzie! — zawołał zwracając się do swych towarzyszy. — Ten obcy mi grozi! Wygraża mi, szeryfowi White Hills! Ludzie, zaprzysięgam was jako drużynę pościgową, jeśli do czegoś dojdzie!... Podnieście wasze prawice! Zaprzysiągłem was i macie mi być pomocni! A ty mój panie — zwrócił się teraz do Glena — zechcesz łaskawie oddać mi swe kolty! Jesteś moim więźniem!

Glen dostrzegł osłupienie malujące się na obliczach zwolenników pastora Farleya. Zrozumiał, że z tej strony nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

Ale i ludzie przy stole Jeffriesa nie byli zbytnio zbudowani pomysłem szeryfa. Nie zdradzali bynajmniej ochoty do jakiejkolwiek akcji, gdy Jeffries zerwał się z miejsca.

Glen dobył momentalnie swoich koltów. Na pozór wyglądało to tak, jak gdyby Glen zamierzał usłuchać rozkazu szeryfa, lecz Glen trzymał je na wysokości bioder wymierzone wprost w Jeffriesa.

Zapanowała mrożąca krew w żyłach cisza. Mieszkańcy White Hills nie byli przyzwyczajeni do tale szybko rozgrywających się wydarzeń.

Ciszę przerwały ostre, lecz spokojnie wypowiedziane słowa Glena:

— Przykro mi, ale nie mogę panu dać mych rewolwerów, to byłoby dla pana za wiele — ma pan przecież już dwa! Ale kulę poślę w upominku, jeśli pan nie podniesie natychmiast obu rąk do góry!

Gdzieś w kącie rozległ się śmiech.

John Jeffries był osamotniony. Nikt z jego ludzi nie myślał o tym, by pośpieszyć mu z pomocą. Gdyby komu innemu, a nie Jeffriesowi grożono kulą, byliby z pewnością uskoczyli z linii strzału, by ujść samemu niebezpieczeństwa, ale ponieważ chodziło o szeryfa, byli pewni, że ten ostatni nie zaryzykuje otwartej walki.

Jeffries stał niezdecydowany. Na twarzy jego malował się strach i bezsilna wściekłość. Żałował teraz, że posunął się zbyt daleko. Lękał się przyjąć wyzwanie.

— Więc pan opiera się prawu, prawu, które ja tutaj reprezentuję? — wyjąkał wreszcie.

— Well — zaśmiał się Glen — takiemu jak pan przedstawicielowi prawa, oczywiście! Nie stawiałbym oporu żadnemu uczciwemu szeryfowi, nie uczyniłbym tego w żadnym wypadku! Prawo jest prawem! Ale pan nie jest przecież uczciwym szeryfem!

— Człowieku! —wykrzyknął wściekłym głosem Jeffries. — Czy wiesz co mówisz! Jestem stróżem prawa! Niczego nie możesz mi dowieść! Mówisz tylko, by mnie poniżyć w oczach obywateli miasta! To łatwy wykręt, którego się czepiłeś, by nie zostać pojmanym. Odpokutujesz mi za to! Zdaj się już na mnie! Zapłacisz mi słono!

Usiadł.

— Wszyscy jesteście świadkami — zwrócił się do siedzących przy stole w milczeniu ludzi — że człowiek ten naśmiewał się z prawa!

Jego zwolennicy zaczęli kiwać milcząco głowami. Ich twarze miały ziemisty kolor, nie wiedzieli, co począć.

— Uczynię nawet więcej — powiedział Glen, niezadowolony, że sprawa przybiera taki pokojowy obrót.

Wstał i wetknął z powrotem rewolwery do futerałów. Następnie nie śpiesząc się podszedł do stołu, przy którym siedział szeryf.

— Widzę — mówił teraz Glen — że zrzedła panu mina. Nie nawykł pan zdaje się do ludzi, którzy umieją bronić swej skóry! No, niezły z pana szeryf, Mr Jeffries. Jak dotąd nic mnie pan nie obchodził, nie mieszkam w White Hills, ale pan mnie obraził, Mr Jeffries, i jak widzę nie bardzo jest pan skłonny do udzielenia mi satysfakcji. Muszę więc znaleźć zadośćuczynienie w inny sposób!

To mówiąc Glen z całej siły uderzył szeryfa pięścią w szczękę. Po ciosie uskoczył natychmiast pod ścianę i czekał z rękoma na swych koltach na dalszy przebieg wypadków.

Jeffries powalony ciosem obsunął się z krzesła na ziemię. Z trudem usiłował teraz powstać. Przedstawiał żałosny widok. Górna warga była rozcięta i krwawiła obficie zalewając mu posoką podbródek, szyję i koszulę.

Niestety, Glen zawiódł się znowu.

Nigdy w życiu nie byłby się spodziewał, że człowiek ten nie zareaguje na to, co się stało. Jeffries usiadł przy stole i począł tamować krew chustką, którą mu podał jeden z gości. Nie usiłował nawet zachować pozorów i walczyć. Przyjął spokojnie najdotkliwszą obelgę, jaką jest dla westmana policzek. Dopiero, gdy udało mu się zatamować krwotok, powiedział:

— Człowieku, powtarzam ci moje słowa — zapłacisz za twoje wykroczenia — polegaj już na mnie. Nie ujdzie ci bezkarnie ta napaść na szeryfa!

Glen miał się na baczności.

Goście Basleya rzucali zaś teraz złe spojrzenia.

— Zrobiłem to, na co zasłużył — powiedział, zwracając się do nich. — Człowiek ten jest niegodny piastować urząd szeryfa. Żaden porządny człowiek nie zniósłby takiego policzka jak Mr Jeffries. Nie jestem

awanturnikiem, lecz myślę, że takiemu jak on szeryfowi należałoby zedrzeć urzędową gwiazdę. Ten tchórz wydał miasto na pastwę bandytom. To hańba!

Rozległy się słowa aprobaty.

Jakiś młody człowiek wykrzyknął:

— To naprawdę hańba. Ma pan zupełną rację. Pastor Farley zawsze mówił to samo. Razem z nim walczymy przeciwko Jeffriesowi i ludziom, na których łup wydał nasze miasto!

Zwolennicy szeryfa zakrzyczeli go jednak.

Rozgorzała teraz między obiema stronami gorąca debata. Glen nie zamierzał jednak brać w niej dalszego udziału.

Szeryf usiłował odzyskać utracony autorytet, jednak nie było to już łatwe. Ironicznym okrzykom nie było końca.

— Szeryfie! — zawołał jakiś młody człowiek, ten sam, który pierwszy opowiedział się za Glenem. — Nie gadaj tyle, lecz rób! Słyszałeś, co ci ten obcy człowiek powiedział. Czy mam ci to powtórzyć?!

Szeryf Jeffries nie panował już nad sobą. Skoczył z miejsca i zagroził oponentowi aresztowaniem.

Mieszkańcy White Hills nie byli uzbrojeni, zaś Jeffries miał rewolwery. Toteż młody człowiek zamilkł. Ograniczył się tylko do okrzyku na cześć pastora Farleya. Jego zwolennicy powtórzyli entuzjastycznie ten okrzyk.

Również Glen pochwycił szklankę i rzucił w stronę Jeffriesa okrzyk:

— Niech żyje pastor Farley, jedyny porządny człowiek w White Hills! Niech żyje praworządność!

Ludzie, którym „Stepowe Wilki” zasilały kiesy, próbowali protestować. Spotkawszy się jednak ze stalowym wzrokiem Glena, zamilkli. Glen wzruszył tylko ramionami i usiadł z powrotem.

Tymczasem Jeffries ze swoimi zwolennikami opuścił zajazd.

Znalazłszy się na dworze odetchnęli dając upust swej wściekłości. Również zwolennicy Farleya poszli za ich śladem. Nie trwało długo a cała ulica zawrzała od donośnych klątw i pogróżek.

Glen wyjął swój notes. Jeszcze chwilę siedział przy stole, patrząc w zamyśleniu przed siebie. Umysł jego zaprzątała teraz tylko jedna myśl: jak dostać się do grona „Stepowych Wilków”? Musiało to się stać jak najrychlej, jeśli plan jego miał mieć jakieś szanse powodzenia. Finta z Jeffriesem nie udała się, niestety, z powodu tchórzostwa szeryfa.

Basley stał długo na dworze. Był w równej mierze zaniepokojony tą awanturą, jak i zadowolony. Rad był, że Jeffriesowi dostało się wreszcie po nosie. Zaledwie Basley znalazł się znowu za swym szynkwasem, gdy drzwi wejściowe otwarły się znowu i pojawił się młody człowiek, który tak gorąco opowiedział się za Glenem. Twarz jego zlana była potem, na policzku miał krwawą szramę.

— Jeśli wolno mi panu radzić, Mr Robles — zaczął gwałtownie — to niech pan pakuje manatki, osiodła konia i jedzie stąd jak najszybciej!

— Dlaczego? — zapytał obojętnym głosem Glen, obserwując młodego człowieka.— Mam zamiar wyjechać dopiero jutro rano. Czyż miałbym przez tego tchórzliwego szeryfa zmieniać swój plan?

— Radzę panu tylko — odparł młody człowiek — nie narzucam panu mego zdania, ale pan nie zna jeszcze Johna Jeffriesa. Mógłbym się założyć, że knuje coś przeciwko panu. Nigdy nie wdaje się w otwartą walkę, ale jest

mściwy. Nie zapomni panu tego uderzenia i napadnie pana z zasadzki. Z pewnością za jakieś pół godziny znajdzie się tu gdzieś w pobliżu ze swoim winchesterem. Zastrzeli pana jak wściekłego psa i będzie później opowiadał swym ludziom, którzy przewiązują mu teraz jego obskurną gębę, że groził mu pan rewolwerem i że użył broni w obronie własnej. Nikt mu nie zdoła niczego dowieść. Został legalnie obrany szeryfem i nic na to nie można poradzić.

— Jeśli chcecie mieć innego, możecie go już sobie wybrać! Zdajcie się na mnie! Oczywiście, o ile odważy się mnie zaczepić! Mam wrażenie, że ludzie w White Hills są trochę zbyt bojaźliwi!

Uwaga ta dotknęła młodego człowieka. Zamilkł.

Glen ziewnął.

— Myślę, że pan jest wyjątkiem — dorzucił Glen — ale powinien pan z większą rozwagą i zdecydowaniem bronić sprawy pastora Farleya, za którym się pan opowiadał.

Skinął głową swemu rozmówcy, wychylił szybko swą szklankę i wyszedł z jadalni.

Udał się do swego pokoju, po drodze jednak postanowił zajrzeć jeszcze do stajni. Z rewolwerem w ręku podszedł do drzwi stajennych. Zajrzał do środka, po czym zamknął drzwi na klucz i zabrał go ze sobą. U tego Jeffriesa było wszystko możliwe. Kasztanek był dla Glena majątkiem, pomijając to, że był naprawdę bardzo przywiązany do swego zwierzęcia.

Znalazłszy się w pokoju Glen po ciemku zdjął surdut i buty. Jak ludzie przygotowani na różne niespodzianki spał zawsze w koszuli i spodniach, z rewolwerami u boku. Sen miał niespokojny. Najmniejszy szmer budził go natychmiast.

Szarzało już, kiedy — opanowany jakimś nagłym niepokojem — obudził się. Nie ruszając się, zaczął nasłuchiwać.

Upłynęło kilka minut.

Wiedział już teraz co zaszło. Tuż przed jego oknem rosła grusza, której gałęzie sięgały niemal do wysokości dachu. Stamtąd dochodziły go właśnie jakieś szmery. Słychać było wyraźnie trzask gałęzi. Ktoś widocznie wdrapywał się na drzewo:

To mu wystarczało.

Cicho wyślizgnął się ze swego łóżka, wziął rewolwer i stanął obok okna tak, by nie być z zewnątrz widzianym. Upłynęło pięć minut.

Nagle zaszeleściły gałęzie, a spośród listowia wyłoniła się blada twarz szeryfa. W rękach trzymał karabin wymierzony w stronę pustego teraz łóżka.

Glen nie ruszał się z miejsca. Czekał.

Na dworze z każdą niemal minutą robiło się jaśniej. Coraz wyraźniej rysowała się twarz podstępnego szeryfa.

Wściekłość kipiała w żyłach Glena. Wściekłość i bezgraniczna pogarda. Jeffries zasługiwał w zupełności na śmierć za swe skrytobójcze zamiary, ale Glen mimo to postanowił go tylko unieszkodliwić. Nie chciał zabijać, gdy nie zachodziła po temu nieodzowna konieczność.

Jeffries czekał, aż się bardziej rozwidni. Chciał zlikwidować swego przeciwnika na sto procent. Liczył prawdopodobnie na to, że Glen obudzi się i wstanie z łóżka, przez co stałby się dlań idealnym celem.

Niebo rozwidniło się już całkiem. Na wschodzie brzoskwiniowa zorza stawała się coraz jaśniejsza.

Glen mógł teraz dokładnie obejrzeć sylwetę wroga, mimo zasłaniających ją liści. Jeffries oparł strzelbę na jednej z gałęzi i przytrzymywał oburącz.

Glen uniósł powoli swój rewolwer. Wycelował w rękę i strzelił. Rozległ się piekielny krzyk. Jeffries łamiąc gałęzie spadł z drzewa z roztrzaskanym ramieniem.

Nie spiesząc się, Glen Wzuł buty i przygotował się do drogi.

Na schodach natknął się na przerażonego Basleya.

— Słyszał pan? Ktoś strzelał! — mamrotał zaspanym głosem na wpół odziany gospodarz. W oczach jego malowało się przerażenie, a równocześnie jak gdyby ulga, że Glen nie jest ranny.

— Well, słyszałem — odparł Glen — postrzeliłem właśnie złodzieja owoców. Zdaje się, że leży tam w sadzie!

— Złodzieja?! — zapytał, patrząc na Glena wiele mówiącym spojrzeniem Basley.

Obaj wyszli przez tylne drzwi do sadu.

— To przecież szeryf! — wyjąkał Basley klękając obok nieprzytomnego Jeffriesa. — Skąd on się tu wziął?! — zapytał nagle.

— Niech go pan zapyta — jak oprzytomnieje! Miał też ze sobą strzelbę. Zdaje się, że do kradzieży owoców nie trzeba winchestera?!

Gospodarz spojrzał na drzewo z obłamanymi gałęziami. Domyślił się wszystkiego. Obejrzał zdruzgotane ramię szeryfa i pobiegł do mieszkania po bandaże.

Tymczasem Glen zupełnie obojętny udał się do stajni i osiodłał koma. Wyprowadził go na dwór i dosiadł właśnie, gdy Basley usiłował przewiązać szeryfowi rękę.

— Niech pan pozdrowi ode mnie tego łajdaka — powiedział Glen. — Niech mu pan poradzi, by następnym razem wynalazł sobie kogo innego dla swych głupich sztuczek! Myślę, że do końca życia nie weźmie kolta do łapy! Nie szkodzi — to z pewnością szczęście dla niego i dla innych, którzy nie będą mu się podobać! Good bye, Mr Basley!

— Good bye! — odparł z ulgą Basley.

Glen wnioskował słusznie, że w mieście nie ma widocznie nikogo ze „Stepowych Wilków”, w przeciwnym bowiem razie, z pewnością wdaliby się w jego spór z szeryfem. Zarówno pojawienie się mężczyzny, którego Basley nazywał Calaverasem, jak i fakt, że inni ludzie byli mu w zupełności powolni, wskazywał, że człowiek ten jest przywódcą. Nagłe zaś zniknięcie Wszystkich desperados z White Hills dowodziło, że bandyci planują jakąś większą wyprawę lub łajdactwo. To prawdopodobnie było też przyczyną, dla której wyszukanie zabójcy Chessa Shaerera poruczyli szeryfowi.

— Skoro ruszyli — konkludował Glen — musieli zostawić po sobie jakiś ślad, po którym będę mógł ich odnaleźć.

Miasto jeszcze spało, gdy Glen znalazł się u jego rogatek. Droga nie była brukowana, można więc było z łatwością znaleźć ślady jeźdźców. Ślady te wiodły na północ w stronę Gór Duchów. Te wysokie, niebotyczne: góry pokryte były lasami. Nadawały się znakomicie na kryjówkę desperados.

Glen bez wahania ruszył w stronę górskich zboczy. Słońce pojawiło się na horyzoncie, kąpiąc w swych złocistych promieniach bezkresny, pusty step, tylko tu i ówdzie porosły rzadkimi krzewami. Jechał teraz galopem. Wkrótce dotarł do podnóża gór i zaczął się z wolna wspinać po ich stromych zboczach. Temperatura podnosiła się z godziny na godzinę. Na przestrzeni kilku mil rosły krzewy. Były one dość wysokie, by jeździec na koniu mógł się swobodnie skryć pośród nich, czasami jednak zbijały się w taką gęstwinę, że tylko z trudem i kołując można się było przez nie przedrzeć. W gęstwinie ginęły wszelkie ślady. Toteż o jakimkolwiek poszukiwaniu „Stepowych Wilków” w Górach Duchów przez okolicznych szeryfów, nie mogło być nawet mowy. Każda drużyna pościgowa przepadłaby tu z kretesem.

Teren wznosił się coraz bardziej stromo w górę. Żaden wiaterek nie muskał nawet listowia. Chociaż był jeszcze wczesny ranek, gorąco było nie do zniesienia. Koszula Glena zlana potem przylepiła mu się zupełnie do ciała. Zatrzymał konia. Przed nim biegł świeży ślad. Musiał tędy przejeżdżać niedawno jakiś samotny jeździec: Glen ruszył dalej tym tropem w nadziej, że natknie się na kogoś. Coraz jaśniej zdawał sobie sprawę, dlaczego było tak trudno wytropić bandę i dlaczego nikt nie ważył się zaczepić jej tutaj. Nawet pilot obserwujący ten odcinek z samolotu nie dostrzegłby nic więcej, jak tylko zieleń i krzewy pokrywające zbocza.

„Stepowe Wilki” były niepodzielnymi panami tych gór. Czuły się w swych kryjówkach zupełnie bezpieczne. Zaczajone w zaroślach mogły przecież z łatwością wystrzelać niejedną, lecz tuzin drużyn pościgowych — i to z najbliższej odległości.

Ogarnęło go jakieś dziwne uczucie. Za każdym krzewem mógł się czaić wróg. „Stepowe Wilki” z pewnością rozstawiały, wszędzie swe czaty! Prawdopodobnie nie bardzo pragnęły jakichś nagłych niespodzianek.

Droga, jaką wybrał, stawała się coraz bardziej uciążliwa. Glen musiał teraz coraz częściej wyłamywać gałęzie, by utorować sobie przejście. Pociągało to za sobą duże niebezpieczeństwo. Bandyci mogli teraz z łatwością dostrzec z miejsc położonych wyżej kierunek w którym jechał.

Już od dwóch godzin borykał się Glen z trudnościami, jakie nastręczała trudna droga. Nigdzie nie widać było ani śladu człowieka. Trop urywał się nagle. Glen postanowił odpocząć, ale nawet w cieniu gorąco było nie do zniesienia. Rozgrzane powietrze rozpierało płuca. Znużenie paraliżowało Glenowi mózg. Nie mógł jasno myśleć. Ułożył się na miękkiej, mchem pokrytej ziemi i wypił duży łyk z polowej manierki. Nie poczuł jednak żadnej ulgi. Również i kasztankowi okolica nie przypadała zbytnio do gustu. Niecierpliwie obrywał liście.

Wreszcie Glen podniósł się i ujął ogiera za cugle. Znów rozpoczęła się nużąca mitręga przedzierania się przez gąszcza. Glen tracił zwolna orientację w terenie. Czas płynął szybko. Słońce miało się już ku zachodowi i tylko miejscami przeświytywało poprzez wierzchołki i konary drzew. Pod wieczór dotarł do małej polanki. Leżało tu kilka bloków skalnych, a opodal szemrało małe źródełko. Na jego widok zapomniał Glen o wszelkich środkach ostrożności. Położył się na ziemi i zaczął chciwie pić.

Napiwszy się, zanurzył twarz w wodzie, po czym pozwolił napić się swemu koniowi. Glen postanowił tu przenocować. Chętnie byłby również rozniecił ognisko, nie miał jednakże pod ręką suchego drewna lub chrustu.

Co począć?

Pragnął za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę bandytów, o ile znajdowali się gdzieś w pobliżu. Póki co, musiał czekać do rana.

Zjadł część swoich zapasów żywności i napił się wody. Dopiero teraz uświadomił sobie, jakim było szczęściem znalezienie źródełka. Jeszcze jeden dzień takiej mitręgi jak dzisiaj, a zarówno on, jak i jego koń padliby z wyczerpania. Ogarnęło go coraz większe znużenie. Rozsuwanie i łamanie gałęzi w czasie jazdy nie było rzeczą łatwą i męczyło bardziej niż dwunastogodzinny galop poprzez step. Owinął się teraz w derkę i zasnął.

Spał twardo.

Wokół rozlegało się wycie kojotów i trzepot skrzydeł nietoperzy.

Godziny płynęły.

Na niebie pojawił się księżyc. Wiatr poruszył krzewy. Powietrze stało się dziwnie przyjemne.

Nagle trzasnęła jakaś gałąź.

I znów cisza zaległa polankę. Koń Glena nasrożył uszy i zaczął parskać z cicha. Obudziło to Glena. Rozejrzał się wokoło. Z zachowania się swego rumaka poznał, że ktoś się zbliża.

Któż to mógł być? Jakieś zwierzę? Niedźwiedź?

Nie! Niedźwiedzie nie pojawiały się przecież nigdy w tych okolicach!

Nie musiał się długo zastanawiać. Usłyszał nagle ż najbliższej odległości głos człowieka.

— Leż i nie ruszaj się!

Glen znieruchomiał.

Chwila, której oczekiwał, nadeszła. Wreszcie natknął się na „Stepowe Wilki”.

— Człowieku — ciągnął ten sam głos dalej — kto kazał ci tu leźć? Czego szukasz w górach?

Glen zawahał się.

Wiedział, że wszystko zależało teraz od tej odpowiedzi.

— Mam również pytanie — odparł zimno i rzeczowo — czy mam do czynienia z drużyną pościgową?

— Nie, nie jestem z żadnej pościgowej drużyny, ale trzymam cię na muszce mego karabinu i wystarczy mi pociągnąć za cyngiel. Jesteś szpiegiem, well?

— Nie!

— Czego tu szukasz?

— Zwiałem przed policją — odparł Glen. — Nie ma co ukrywać. Tak czy owak dowiecie się pewnie o tym!

— Dlaczego uciekłeś?

— Postrzeliłem szeryfa! Chciał mnie pojmać za jakąś tam sprawkę, z którą nie miałem nic wspólnego.

— Co za szeryf?

— Jeffries, szeryf z White Hills!

W ciemności rozległ się cichy śmiech.

Następnie ten sam głos przemówił znowu:

— Cóż to była za sprawa? Miałeś z nim na pieńku?

— O, to stara historia z Redwood — bajał Glen — miałem tam małą strzelaninkę. Jeden człowiek postradał w niej życie i pieniądze. Był to obcy gość ze wschodnich stanów, który sprzedawał swe bydło. Przypadkiem

podejrzenie padło na mnie i musiałem wiać. Myślałem, że w White Hills będę miał wreszcie spokój. Zabawiłem tam jednak ledwie jeden dzień, aż tu zjawia się znowu szeryf i zaczyna się wypytywać i wmawiać mi, że przyjeżdżam z Redwood i mam jakąś sprawkę na sumieniu. Zaczęliśmy się spierać, ale szeryf stał się bezczelny i chciał mnie zaaresztować i stało się... ręka samą sięgnęła mi do kolta.

Głos z gęstwiny brzmiał jednak dalej złowieszczo:

— Zabiłeś go?

— No, no! — starał się teraz nadać Glen swemu głosowi możliwie beztroski ton. — Zgruchotałem mu tylko ramię, chciałem go się pozbyć!

I znów zaległa cisza. Tylko wiatr szumiał tajemniczo w gałęziach drzew. Ta cisza ciążyła na Glenie jak masyw skalny.

Ważyły się teraz jego losy...

Wreszcie rozległ się znowu głos człowieka ukrytego w zaroślach.

— Jeśli ci, człeku, życie miłe — nie próbuj nas zdradzić! Wystarczy, bym pociągnął tylko za cyngiel i jesteś wykończony! Wstań z łaski swojej i zawieś swe kolty na gałęzi za sobą — w tyle! I nie próbuj żadnych sztuczek! Nie lubię żartów. Powtarzam raz jeszcze — jeśli usiłujesz ruszyć choćby palcem — jesteś trup!

Glen zrobił, co mu kazano.

Czynił to wszystko powoli, by nie wzbudzać nawet cienia podejrzeń.

Ledwie tylko wykonał polecenie ukrytego w gęstwinie człowieka, gdy zza drzew wyłoniła się ciemna sylwetka. O ile Glen mógł wnioskować w ciemności, był to barczysty, muskularny człowiek. Nagłowię nosił szeroki kapelusz i idąc pobrzękiwał ostrogami.

Jak dotąd wszystko idzie wedle planu! — pomyślał Glen. — Jestem jeńcem „Stepowych Wilków”.

— Zaczekamy tu, aż się nieco rozwidni — powiedział bandyta. — Będę cię musiał związać!

Glen zrobił możliwie głupią minę i udał przerażenie.

— Więc jednak jesteście z drużyny pościgowej?!

— Nie gadaj tyle!

Usiedli obaj.

Jeden patrzył na drugiego. „Wilk” patrzył na Glena chytrymi oczyma. Glen również nie spuszczał z niego oczu. Nagle „Wilk” poklepał Glena po ramieniu:

— No, nie ma sensu grać komedii. Jesteś greenhorn! Podaj mi łapę, chłopcze!

To mówiąc uścisnął prawicę Glena i roześmiał się wesoło.

— Masz coś do palenia? Pozostawiłem wczoraj w pośpiechu moją papierośnicę — dodał po chwili.

— Mam, zdaje się — odparł Glen i zaczął szukać po kieszeniach. Przy świetle płonącej zapałki dostrzegł, że jego towarzysz trzyma jeszcze ciągle rewolwer gotowy do strzału.

— Kim są „Stepowe Wilki”? I czego chcesz ode mnie, kolego? — zapytał po chwili Glen.

Kolega wahał się chwilę.

— „Stepowe Wilki” to ludzie tacy jak ty i ja. Mężczyźni, którzy likwidują handlarzy bydłem, a jeśli zajdzie potrzeba, to nawet szeryfów — rzecz jasna bez jakiejkolwiek winy z ich strony — przecie taki handlarz jeden ż

drugim może u licha oddać swe pieniądze bez stawiania oporu. Co? Zdaje się, że zgadłem, jak się miała tam w Redwood ta twoja sprawa?!

Glen roześmiał się.

— No, a jak ma się sprawa z drugą kwestią?

— Aha, chodzi ci o to, dlaczego odebrałem ci broń, old fellow? No, obejrzę sobie ciebie najpierw przy świetle dziennym, boy! Dostaniesz potem swoje kolty z powrotem. Cóż poczniesz, jeśli puszczę cię wolno?

— Sam jeszcze nie wiem!

— Człeku, wstąp do nas!

Glen wzruszył ramionami.

— Muszę coś mieć z tego.

— Zdaje się, człeku, że musiałeś chyba mieszkać długi czas na księżycu — zamruczał desperado — w przeciwnym razie wiedziałbyś, kim są „Stepowe Wilki”. Zdaj się na mnie — zarobisz u nas kupę pieniędzy!

Zamilkł.

Gwiazdy na niebie zaczęły blednąć. Szarzał świt. Glen mógł teraz przyjrzeć się dokładniej swemu towarzyszowi. Był to dwudziestopięcioletni mężczyzna o opalonej, smagłej twarzy i małym czarnym wąsiku; Wygląd zewnętrzny zdradzał, że w żyłach jego płynęła hiszpańska krew. Na pierwszy rzut oka był to w gruncie rzeczy wcale sympatyczny chłopak.

Takiego samego zdania o Glenie zdawał się być i desperado.

— No, na szpicla policyjnego nie wyglądasz! Jak się właściwie nazywasz? — zapytał młody bandyta.

— Glen Robles, a ty?

— Nazywają mnie tutaj Rewolwerbill Miałem kiedyś inne nazwisko, ale pozostało w aktach sądowych.

Bandyta podniósł się nagle.

— Możemy ruszać. Jest już jasno. No, musisz się teraz odwrócić do mnie piecami. Mimo sympatycznej rozmowy, jaka prowadziliśmy, wpakuję ci kulę, jeśli wykonasz jakiś podejrzany ruch!

Glen usłuchał.

Poczuł nagle, że bandyta zarzucił mu lasso. Rewolwerbill znał się widocznie na tego rodzaju sprawach; transportowanie jeńców nie było, zdaje się, dla niego pierwszyzną. Ściągnął pętlę dość mocno i omotał ją tak, ze Glen nie mógłby uwolnić swej szyi nawet z pomocą obu rąk. Następnie Bill wziął rewolwery Glena.

Podczas gdy Glen siodłał swego kasztanka, Bill przypatrywał się zwierzęciu okiem znawcy.

— Ładny koń! Mam tu w pobliżu mego ogiera. Możemy się zamienić, jeśli pozostaniesz u nas!

— O, co to, to nie! — odparł Glen. — Nie oddałbym mego kasztanka, za bardzo się do niego przyzwyczaiłem.

— Jak uważasz.

Bill ujął lasso, którym owinął szyję Glena i wyprzedziwszy go, zaczął z wolna przedzierać się przez gąszcz. Glen trzymając konia za uzdę postępował tuż za nim.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od polanki stał uwiązany koń bandyty.

Obaj, Glen i Rewolwerbill, dosiedli teraz koni. Bandyta przymocował koniec lassa do swego siodła i rozkazać Glenowi jechać za sobą.

Upłynęła tak dobra godzina. Wreszcie dotarli do małego przesmyku zbudowanego ręką ludzką. Glen podziwiał tę trudną technicznie do wykonania robotę. Nie oczekiwał tu czegoś podobnego. Dopiero teraz wpadło mu do głowy, że przecież było niepodobieństwem, by „Stepowe Wilki" przy częstych swych wyprawach przedzierały się przez tę nieprzebytą gęstwinę. Od przesmyku w górę ciągnęła się wąska ścieżyna, którą mógł z łatwością przejechać konno człowiek. Gałęzie były tu wycięte i ziemia udeptana.

— To nasza magistrala — powiedział Rewolwerbill, — nazwaliśmy ją „Park avenue!"

— Owszem, dobra, ale trochę za wysoka! — zaśmiał się Glen, przybierając żartobliwy ton swego towarzysza.

Drożyna była tak dowcipnie urządzona, że w zupełności dezorientowała nieobeznanego z terenem. Gdyby nawet komuś udało się przypadkiem odkryć tę drogę, zgubiłby się w labiryncie.

Upłynęła znowu godzina. Krzewy stawały się coraz rzadsze. Nagle wyłoniło się przed Glenem małe jezioro.

Bandyta zatrzymał konie.

— Robles, muszę ci teraz przewiązać oczy!

Własną chustą przewiązał Glenowi oczy i ujął cugle kasztanka. Milcząc jechali dalej. Wedle obliczeń Glena, jazda ta trwała jakieś dwadzieścia minut.

Wkrótce rozległy się głosy. Desperado zatrzymał konie i zdjął Glenowi przepaskę z oczu. Glen zdumiony rozejrzał się wokoło. Znajdował się ciągle nad brzegiem jeziora, nie wiedział jednak po której stronie. Jakieś dziesięć, dwanaście chat i blokhauzów stało opodal. Były to prymitywne zabudowania sklecone ze zwykłych pni. Te karłowate budowle przylegały do potężnego skalnego bloku, który rozpościerał się w tyle. Skała ta, wysunięta na górze w formie nawisu ku przodowi, stanowiła doskonałą ochronę przed burzą. Niedaleko od zabudowań wznosił się corral, w którym stały konie. Były to piękne okazy, których pozazdrościłby bandytom niejeden hodowca.

Rewolwerbill gwizdnął przeciągle. Z każdej chaty wybiegło po czterech, pięciu ludzi. Zaciekawieni, zaczęli się gromadzić dokoła Billa i Glena. Oglądali intruza z zainteresowaniem, lecz zupełnie spokojnie. Nie padło ani jedno głośne słowo. Tylko oczy ich patrzyły z ożywieniem.

Palili dalej spokojnie swe cygara i papierosy, jak gdyby dostarczanie jeńców było ich chlebem powszednim.

Rewolwerbill kazał Glenowi zsiąść z konia i zdjął mu z szyi pętlę. Uczynił to z gestem, który świadczył wymownie, że wszelka próba ucieczki jest teraz beznadziejna.

— Niech tam który zawoła szefa! — powiedział Rewolwerbill.

Jeden z ludzi znikł i po chwili powrócił z elegancko odzianym mężczyzną.

Glen zaraz na pierwszy rzut okna poznał w przybyłym swego sąsiada przy stoliku w zajeździe Basleya. Tak, nie ulegało wątpliwości — był to Calaveras.

Rewolwerbill podszedł natychmiast do niego. Przez chwilę rozmawiali szeptem. Glen stał jeszcze ciągle otoczony przez resztę członków bandy i

w krzyżowym ogniu ich spojrzeń. Poznał wśród nich jeszcze jednego człowieka, który owego wieczora bawił w hotelu Basleya.

Szef podszedł bliżej i przyjrzał się bacznie Glenowi. Patrzał nań takim wzrokiem jak handlarz, który kupuje konia — z czysto rzeczowym zainteresowaniem, a nawet jak się zdawało Glenowi — z odrobiną niechęci.

Powiedział Glenowi, by podszedł do corralu i tam zaczekał. Chciał w międzyczasie pomówić ze swymi ludźmi.

Calaveras miał miłą dykcję z nieco hiszpańskim akcentem. Rozkaz wypowiedziany grzecznym tonem poparł proszącym gestem. Glen zrobił jak mu kazano.

Spacerował sobie powoli nad brzegiem jeziora koło corralu.

Bandyci ustawili się półkolem i rozprawiali.

Nikt na pozór nie troszczył się osobą Glena. Zresztą, jak Glen sam osądził, wszelka próba ucieczki byłaby szaleństwem. Oparł się zadowolony o ogrodzenie corralu i czekał.

Upłynęło jeszcze jakieś pięć minut, po czym rozległ się przeraźliwy gwizd. Któryś z ludzi Calaverasa skinął na Glena ręką, by podszedł bliżej.

Znów stanął naprzeciw szefa.

Calaveras podkręcał w zamyśleniu swe czarne wąsiki.

— Głosowaliśmy, czy mamy cię przyjąć do naszego grona, czy też zlikwidować — głos jego brzmiał spokojnie i rzeczowo. — Postanowiliśmy cię zastrzelić! Przykro mi, ale nic na to poradzić nie mogę!

Glen spojrzał nań ż niedowierzaniem. Takiego obrotu sprawy nie przewidywał w ogóle.

Szybko opanował się jednak. To mogła przecież być zwyczajna finta! Może chciano wypróbować jego równowagę i spokój? Powiedział więc zupełnie chłodnym tonem.

— To ciekawa decyzja, szefie! Cóż was do tego zmusza? Jestem przecież bezbronny.

Szef podszedł bliżej i spojrzał nań złym błyskiem swych dużych, czarnych oczu.

— Wobec zdrajców nie mam żadnych zobowiązań, człowieku!

— Nie jestem zdrajcą i nie rozumiem, jak pan do tego doszedł!

Glen rozglądał się za swym wczorajszym towarzyszem, ale ten unikał jego wzroku i patrzył w bok.

„Jak na komedię — pomyślał Glen — żart ten przeciąga się zbyt długo”.

Zaczęło go .to złościć.

— Na Jowisza! — krzyknął. — Jak widzę, znalazłem się wśród ludzi, którzy z przyjemnością odbierają chleb katom!

— Zdaje się, że nie miałeś w ogóle pojęcia, co to są „Stepowe Wilki"? — powiedział nagle Rewolwerbill.

— Miałem, czy nie miałem! Wyłuszczyłeś mi to sam dokładnie!

Calaveras wzruszył ramionami i odszedł.

— Kto ma go zastrzelić? — zapytał jeden z ludzi o chudym, wydłużonym obliczu.

— To mi jest najzupełniej obojętne! — odparł szef.

— Ja tego nie zrobię! —dorzucił szybko człowiek o chudej twarzy.

— Rozstrzygnijcie to losem! — rzucił od niechcenia Calaveras.

Jednym skokiem znalazł się Glen za nim.

Zewsząd posypały się ostrzegawcze okrzyki.

— Jeśli pan jest przywódcą tych ludzi, nie może pan postępować jak skrytobójca!

Znów zabłysły Calaverasowi oczy.

Skinął na jednego z ludzi. Był to jeden z tych, którzy odwozili zabitego Chessa.

— Al —powiedział Calaveras — opowiedz chłopcom skąd go znasz?

Al ziewnął i spojrzał na Glena.

— Znamy się rzeczywiście. Byłeś tego wieczora w hotelu Basleya, gdy zabito skrytobójczo jednego z naszych ludzi. Widziałem cię tam!

— Well, i cóż stąd?

— Co stąd? Nic nam o tym nie wspominałeś! Już choćby z tego zajścia musiałeś znać „Stepowe Wilki". No, chłopcze — nie postąpiłeś zbyt chytrze! Jesteś szpiegiem!

Glen rozejrzał się wokoło.

Ani jedna twarz nie zdradzała żywszego dlań zainteresowania.

Zdał sobie dopiero teraz sprawę, że powinien był przecież wziąć pod uwagę spotkanie z bandytami w zajeździe Basleya. Próbował wprawdzie oponować i tłumaczyć, że nie ma między tymi faktami żadnego związku, ale nikt nie odpowiadał mu nawet.

— Dżentelmeni! — powiedział jeden z bandytów — będziemy ciągnęli losy.

Glen oparł się o drzewo.

„Ha, trudno! — pomyślał. — Popełniłem błąd. Może to zresztą nawet nie błąd, tylko ludzie ci byli piekielnie podejrzliwi i nie ufali nikomu, kto wdarł się w ich kryjówkę. No więc koniec..."

Nagle zbuntował się.

Nie! Jak długo jeszcze żył i oddychał, nie wolno mu było myśleć o śmierci. Opodal stał jego kasztan. „Ha! — myślał — może dopadną mnie lub może polegnę od ich kul, ale przynajmniej nie ustrzelą mnie jak zająca. Takie bydlęta!"

Raptem pojawiło się dwóch ludzi, których nie widział przedtem. Jeden z nich nie mógł złapać tchu i przystanął — drugi zaś wszedł do chaty nie zwracając żadnej uwagi na otoczenie.

Zdyszany człowiek przemówił po chwili:

— Przybywam z White Hills! Postrzelono tam szeryfa. Niech to diabli wezmą! To była precyzyjna robota! Ramię prześwidrowane gładziutko kulą.

Oczy losujących przez chwilę spoczęły na Glenie. We wzroku ich malowała się teraz iskra zainteresowania.

Odstawili kapelusz z losami.

— Jak to się stało? — zapytał Rewolwerbill.

Zapytany machnął ręką.

— Jeffries próbował załatwić się z tym człowiekiem w wiadomy sposób: chciał go zastrzelić siedząc na drzewie! No, ale sam się poparzył. Człowiek, którego chciał nam wydać jako mordercę Chessa, roztrzaskał mu ramię!

— Acha! Więc to tak! — powiedział człowiek o chudym obliczu. Ludzie skupili się znowu wokół kapelusza z losami.

Glen rozejrzał się bystro wokoło.

W następnej chwili do uszu desperados doszedł jakiś podejrzany szelest. Obejrzeli się. Momentalnie w ich rękach pojawiły się kolty.

Glen skoczył jak tygrys. Jednym susem znalazł się przy swym koniu, skoczył na siodło i zawrócił kasztanka.

— Hej, hola!— wykrzyknął ktoś.

Koń Glena wspiął się na tylnych nogach, tratując przednimi kopytami ludzi, którzy zagradzali mu drogę.

W tej samej chwili padło jakie tuzin strzałów. Kule brzęczały Glenowi tuż nad uchem, ale koń Glena oddalał się coraz bardziej i wkrótce znalazł się poza zasięgiem pocisków.

Było niemal cudem, że żadna z kul nie trafiła Glena, lecz mimo to ucieczka okazała się niemożliwa. Ledwie bowiem koń Glena wymknął się bandytom, zapadł się po kolana w bagnistym terenie. Glen usiłował go poderwać, ale już przy następnym skoku kasztan zapadł się głębiej. Z dala dobiegł Glena śmiech bandytów.

Nie było więc wyjścia.

„Np, ale tak łatwo mnie nie dostaną — upierał się Glen — dam im jeszcze do wiwatu!”

Jednym susem zeskoczył z siodła. Bill odebrał mu kolty, ale zapomniał, że Glen miał przytroczony do siodła karabin. Popędził konia nie chcąc, by zabito rumaka w walce.

Przebrnął z trudem bagnisko i znalazł się nad rzeczką, przez którą przewalał się duży pień. Nie namyślając się, przedostał się na drugą stronę, ale i tu było bagnisko.

Błyskawicznie legł w jakimś zagłębieniu. Teren był tu miękki i Glen czuł jak powoli, ale stopniowo zapada się głębiej. Nie miał teraz jednakże czasu zastanawiać się nad tym. Jakieś dwadzieścia metrów przed nim wyłoniły się „Stepowe Wilki”.

Śmiechy ich zamilkły, gdy dostrzegli, ze koń Glena znalazł się na twardym gruncie. Zdumieli się jeszcze bardziej, nie dostrzegłszy jeźdźca. „Musiał prawdopodobnie — myśleli — ujść pieszo poprzez bagniska. Za bagniskami znajdowała się mała ścieżyna, którą mógł ujść z łatwością. Co prawda, były tam rozstawione straże, ale z tym diabłem niczego nie można było być pewnym!”.

Zaambarasowało ich to trochę. Nie przypuszczali, że człowiek, którego skazali na śmierć, znajdzie w sobie tyle zdecydowania i zimnej krwi.

Jeden z „Wilków" podszedł bliżej i podniósł rękę. Począł wywijać kolorową chustą.

— Hallo, człeku! — wołał. — Wyłaź ze swej dziury! Chcemy ci się teraz jeszcze dokładniej przyjrzeć!

W odpowiedzi padł strzał. Kula przedziurawiła powiewającą na wietrze chustkę. Zdumiony bandyta opuścił ją na ziemię. Mimo woli z ust „Stepowych Wilków” wyrwały się słowa uznania.

Przygoda ta zaczęła ich interesować. Stanowiła coś w rodzaju sportu urozmaicającego monotonię leśnego życia. Kilku z nich usiłowało podpełznąć do Glena. Rozmyślili się jednak po drodze.

Do uszu Glena dobiegły urywki rozmów.

— Ten przeklęty koń kopnął mnie w głowę!

— Chłopcy! Zostawcie tego draba. Nie znacie go jeszcze... Ja wam mówię! To ten sam, co zabił Mac Farleya, zanim ten zdążył odetchnąć!

Glen nasłuchiwał: O czym ten człowiek mówił? Skąd mógł wiedzieć o zajściu w karczmie Raleighsa?

„Stepowe Wilki” zaczęły teraz rozprawiać z widocznym wzburzeniem. Śmierć Mac Farleya, a przede wszystkim fakt, że poległ z ręki Glena Roblesa zainteresował wszystkich. Nie myśleli teraz o jakimkolwiek ataku.

Człowiek, który był świadkiem tego zajścia w karczmie Raleighsa opowiadał teraz szczegółowo i z dużą przesadą. Z okrzyków bandytów Glen wywnioskował, że w ich pojęciu Mac Farley był znakomitym strzelcem i szybkość z jaką Glen położył go trupem, napawała ich podziwem i strachem.

Dowiedział się teraz ciekawych szczegółów. Stosunek Mac Farleya do bandy był co najmniej dwuznaczny. Mac Farley opuszczał kilkakrotnie jej szeregi i „Stepowe Wilki” podejrzewały go, że był na usługach policji. Prześladował ich wtedy pech. Po długich walkach, w których ponieśli ciężkie straty, udało się „Stepowym Wilkom” skryć, w górach. Mac z kilkoma innymi bandytami zaczął wtedy rabować na własną rękę. Banda śledziła go i natknęła się na Mac Farleya nad jeziorem równocześnie z Glenem. Sądzili wówczas, że mają do czynienia z szeryfem.

Teraz stało się wszystko jasne.

Przygoda, jaką miał z Mac Farleyem nabierała zupełnie innego wyglądu. Fakt, że „Stepowe Wilki” wzięły wówczas nad jeziorem Glena za szeryfa, umożliwił Mac Farleyowi ucieczkę. Wszystko to właściwie było teraz bez jakiegokolwiek znaczenia, ale Glen musiał podziwiać przebiegłość i zdecydowanie Mac Farleya, który nie wahał się zadrzeć z całą bandą „Stepowych Wilków".

Nie byłby jednak przypuszczał, że właśnie zabójstwo Mac Farleya uratuje mu teraz życie! Co więcej! Fakt ten utorował mu drogę do przyjęcia w poczet członków bandy!

A stało się to tak.

Kiedy bandyci uspokoili się już nieco, do bagniska podszedł Rewolwerbill, podniósł ręce do góry i zawołał:

— Glenie Robles! To wszystko było nieporozumieniem! Znamy cię teraz już lepiej! Jesteś morowiec i z pewnością nie jesteś szpiclem szeryfa — policja ściga cię również! Sami czytaliśmy, że za zabójstwo Mac Farleya wyznaczono na twoją głowę nagrodę! Człeku, wyłaź ze swojej mysiej nory! Słowo, że nie spadnie ci włos z głowy! Na diabła byłoby nam likwidować tak porządnego kamrata! Przydasz się nam!

Glen nie wierzył wprawdzie, że Bill mówi prawdę, ale mając w ręku karabin zaryzykował. W końcu było to rzeczą zupełnie obojętną, czy umrze wcześniej, czy później. Sytuacja Glena była tak czy owak beznadziejna. O ucieczce trudno było nawet marzyć nie znając terenu — jedyne co zostawało, to sprzedać swe życie możliwie drogo. Wstał i z karabinem gotowym do strzału zbliżył się do Billa.

— Ludzie, złóżcie waszą broń — powiedział Glen — bym mógł się przekonać o waszych pokojowych zamiarach!

Bandyci odłożyli natychmiast swą broń. Glen podszedł bliżej.

— A teraz idźcie przede mną— komenderował Glen.

Bill parsknął śmiechem.

— To fenomenalna heca! Pójdziemy do szefa jako jeńcy jeńca!

Calaveras spojrzał na grupę ze zdziwieniem, ale spokojnie. Wysłuchał sprawozdania Billa i spojrzał badawczo na Glena, który stał jeszcze ciągle z karabinem.

— All right! — powiedział wreszcie Calaveras. — Jesteś przyjęty!

Natychmiast Bill i reszta desperados podbiegła do Glena i zaczęła mu ściskać dłonie.

Glen nie dowierzał im jednak dalej:

— Nie zbliżajcie się do mnie — mówił nie wypuszczając z rąk karabinu — jeszcze przed godziną chcieliście mnie zabić — nie ufam wam!

Calaveras słysząc te słowa i widząc, że wszyscy znieruchomieli na swych miejscach, sam podszedł do Glena.

— Stać, szefie! Ani kroku, bo strzelę! — zawołał Glen.

Calaveras roześmiał się.

Śmiech jego brzmiał jakoś dziwnie nieprzyjemnie. Glen z trudem tylko opanował się, by nie pociągnąć za cyngiel. Zabiłby tego szubienicznika z przyjemnością — tak, ale wówczas można się było pożegnać na amen z pieniędzmi zrabowanymi przez Chessa.

Calaveras odpiął swój kosztowny pas z koltami i rzucił Glenowi pod nogi.

— Masz, boy! Jesteś teraz jednym z naszych. Koltem będziesz się mógł lepiej posłużyć niż twą długą strzelbą!

Glen nie czekał, by mu powtórzono to po raz drugi. Podniósł natychmiast oba kolty i przepasał się nimi. Trzymając ręce na kolbach rewolwerów podszedł bliżej. Zachowanie desperados uspokoiło go w zupełności.

Oddał z powrotem pas Calaverasowi i krzyżując na piersiach ręce powiedział:

— Słuchajcie! Jeśli mnie teraz tkniecie, to nie warci nawet jesteście umrzeć we własnych butach!

Nikt z desperados nie zamyślał nawet tknąć go choćby palcem. Otoczyli go kołem winszując sukcesu. Widać było, że cieszą się naprawdę z pozyskania nowego członka bandy, który umiał się dzielnie bronić, nie lękając się śmierci.

Calaveras obserwował jednak Glena w dalszym ciągu. Podparł ręką podbródek i patrzył w zamyśleniu. Ręce miał wypielęgnowane jak kobieta. Powiedział po namyśle:

— Jestem za przyjęciem Roblesa na zwyczajnych warunkach. Bill objaśni cię — mówił zwracając się do Glena — bliżej!

Wzrok Calaverasa spoczął teraz na gładkiej tafli jeziora. Twarz jego przybrała jakiś nieokreślony wyraz. Nagle odwrócił się i zniknął we wnętrzu chaty.

Glen musiał przyznać, ze Calaveras był elegantem mogącym, się znaleźć w najlepszym towarzystwie. Nie wyglądał zupełnie na groźnego przywódcę „Stepowych Wilków”, lecz raczej na jakiegoś wymuskanego arystokratę.

Sprawa była więc definitywnie załatwiona.

Rewolwerbill bezzwłocznie oddał Glenowi jego kolty i powiedział:

— Musimy zaprowadzić nasze konie do zagrody — po drodze wszystko ci objaśnię. Sprawa ma się następująco — ciągnął dalej. — Nie możemy niestety sprawdzić dokładnie twoich zeznań, ale podobałeś się szefowi i

chłopcom. Trudna była sprawa, gdy powzięliśmy podejrzenia, że jesteś szpiegiem. Nie było rady, aczkolwiek niechętnie — musielibyśmy cię zlikwidować. Teraz sytuacja uległa zmianie, musisz nam jednak wykazać, że naprawdę jesteś nasz! Musisz tego dowieść czynem!

Glen nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Miał wykazać tym łajdakom, że jego zamiary są wobec nich uczciwe! Ho, ho!

Bill spojrzał nań niezadowolony.

— Nie masz się z czego śmiać, do diaska! Ty greenhornie! Jak zabijesz człowieka, będziesz się mógł dopiero śmiać!

— Jak to? Zabić człowieka?!

Doszli do zagrody i zaczęli zdejmować koniom siodła.

Bill mówił dalej:

— W najbliższej przyszłości — jak urządzimy większą wyprawę — otrzymasz polecenie zlikwidowania człowieka. To jasne, well? Dopiero, gdy to uczynisz, będziemy cię uważać za prawdziwego członka bandy. Będziesz mógł wtedy dopiero wykazać, że twoje zamiary wobec bandy są uczciwe!

To co mówił, było dla niego rzeczą zupełnie oczywistą i naturalną, tak jak gdyby nie chodziło tu o życie ludzkie, lecz o sprzedaż lub kupno konia.

Glen starał się ukryć swe osłupienie. Z pozorną nonszalancją zapytał:

— Czy wszyscy członkowie bandy są przyjmowani na takich warunkach, czy tylko wobec mnie jest szef taki nieufny?

— W ostatnich dwóch latach postępujemy tak z każdym nowo wstępującym. Dopóki to nie nastąpi, nikt nie wskaże ci właściwej drogi do naszego obozu! Muszę cię również przestrzec, byś nie próbował uciekać! Utopisz się w bagnisku!

— Nie myślę wcale uciekać! — bronił się z uśmiechem Glen.

Oporządziwszy konie powrócili do obozu. Bill zaprowadził Glena do jednej z chat i wskazał mu tam miejsce.

— Przynieś gałęzi i zrób sobie legowisko. Możesz oczywiście spać na dworze, jeśli chrapanie chłopców zacznie zbytnio dokuczać! Z początku będzie ci trudno przyzwyczaić się do tego. Zresztą, panuje u nas wzorowy porządek! Co dzień jeden z nas idzie na polowanie. Ty nie musisz jeszcze na razie tego robić. Do czasu, gdy poznasz naszą kryjówkę!

Bill uznał, że wtajemniczył już dostatecznie Glena i pozostawiwszy go samego podszedł do innych, którzy siedzieli w cieniu chat.

Glen spędził resztę popołudnia na pozór zupełnie beztrosko. Wieczorem stwierdził, że bandyci mają regularnie wystawiane straże. Czterech ludzi osiodłało konie i odjechało. W dwie godziny później przybyło trzech innych, których Glen uprzednio nie widział. Byli to zluzowani strażnicy, do których należał zapewne również i Rewolwerbill.

W obozie panowała żelazna dyscyplina. Nie było przy pokerze żadnych sprzeczek. Różnice zdań wymieniano spokojnymi i rzeczowym tonem.

Każdy z ludzi miał przy sobie dwa kolty, a na kołkach wisiały w chatach strzelby.

Glen przyglądał się wszystkiemu.

Stwierdził, że żaden z „Wilków” nie miał przy sobie większej sumy pieniędzy. Jeśli któryś z nich przegrał w pokera większą kwotę, wstawał i szedł do chaty szefa, skąd wracał ze świeżym zapasem pieniędzy.

Zapytany o to Bill wyjaśnił Glenowi:

— Szef ma żelazną kasę, od której sam przechowuje kluczyki. Przywieźliśmy ten sprzęt na dwóch mułach — niełatwa to była sprawa! W kasie tej każdy z nas przechowuje zbędne pieniądze. U nas panuje wzorowy porządek. Jest jak w banku. Dając na przechowanie swe pieniądze, każdy z nas otrzymuje pokwitowanie od szefa — chcesz podjąć — musisz kwitować! Wszystko dokładnie i uczciwie!

Było to Glenowi nawet na rękę. Postanowił założyć sobie również „konto”. Poszedł więc do Calaverasa, by złożyć u niego część pieniędzy odebranych Chessowi.

Calaveras przeprowadził transakcje z fachową dokładnością. Glen obserwował ze zdumieniem, jak Calaveras posługuje się prawdziwym piórem Parkera i oryginalnym kwitariuszem bankowym. Wystawił Glenowi zaświadczenie i przyjął w depozyt pięćset dolarów. Zrolował je i nalepiwszy na pakieciku kartkę z nazwiskiem Glen, włożył pieniądze do ogniotrwałej kasy, która stała w kącie chaty.

Glen rzucił szybkie spojrzenie na jej wnętrze. Widok jaki przedstawił się jego oczom był tak niespodziewany, że wstrzymał oddech. Paczuszki leżały tam ciasno jedna na drugiej. Niektóre z nich były tak grube, że musiały zawierać po parę tysięcy dolarów. Nie ulegało więc wątpliwości, że każdy z „Wilków” dysponował parotysięczną kwotą.

Z ciekawością rozglądał się Glen po chacie. Prawie nie różniła się od innych, ale była urządzona nieco wykwintniej. W miejsce legowiska z gałęzi znajdowało się tu małe, składane polowe łóżko. Tuż obok stał składany stolik, na którym leżały toaletowe przybory: grzebień, szczotki, a także przyrządy do golenia. Przedmioty te miały srebrne i inkrustowane rączki i nasadki. W kącie stal elegancki kufer z krokodylej skóry, szlifowane duże lustro i w bogatej ramie portret pięknej Kreolki. Obok wisiał nowiuteńki winchester. Prócz tego znajdowała się tu jeszcze skrzynia z amunicją.

Wszystko to wskazywało, że przywódca bandytów musiał pochodzić z lepszej, meksykańskiej rodziny.

Calaveras podał Glenowi kwit.

— Bill powiedział ci wszystko?

— Tak sądzę, szefie!

— Objaśnił ci także nasze przepisy porządkowe?

— Nie!

— Słuchaj więc — Calaveras mówił równym spokojnym głosem. — Zdradę karzemy śmiercią! Tu nie ma wyjątków. Każdy członek bandy ma obowiązek zabić zdrajcę. Nie wolno się awanturować, nawet jeśli chodzi o walkę na pięści! Kto sięgnie po broń, zostaje na dwadzieścia cztery godziny przywiązany do drzewa. To byłyby najważniejsze punkty naszego regulaminu!

Przerwał.

Zamyślona i melancholijna twarz szefa stała się nagle ponura i straszna.

— By strzelać do ludzi, nie trzeba wyszukiwać sobie akurat kolegów! — powiedział dziwnie brzmiącym głosem. — Będziesz miał dość sposobności do strzelania! Tu w campie nie wolno przelewać krwi!

Zamilkł znowu.

Glen chciał już odejść, ale Calaveras zatrzymał go skinieniem ręki.

— Jeszcze jedno! Przed paru dniami zetknęliśmy się w zajeździe Basleya w White Hills?

— Niewątpliwie! — odparł Glen.

Wyraz twarzy Calaverasa uległ dziwnej zmianie.

— W południe zamordowano Chessa? Nieprawdaż?

— Tak! Zabito tam jakiegoś człeka — odparł Glen — nie wiem jednak, jak się nazywał. Nie widziałem go!

— Nie znałeś go? — zapytał Calaveras.

Jego zagadkowe zachowanie się zaniepokoiło Glena. W oczach Calaverasa można było wyczytać okrucieństwo i żądzę krwi. Glen wiedział teraz już z pewnością, że Calaveras wietrzy w nim zabójcę Chessa.

Musiał się więc mieć na baczności.

— Nie, nie zetknąłem się nigdy z Chessem Shearerem, powiedziałem ci to już raz szefie! — powiedział Glen

— Tak? No, no możliwe, że to przypadek, oczekuję w tej sprawie jeszcze dziś wiadomości. Jutro wyruszamy na większą wyprawę — będziesz. miał prawdopodobnie sposobność wykazać, czy nadajesz się do nas. Koń twój wytrzyma długą jazdę?

— Sądzę!

— Well! Jedziemy do Wygdane. Sprawa musi być załatwiona szybko i precyzyjnie. Zlikwidujemy tam bank!

Z trudem udało się Glenowi opanować zmieszanie.

— Mamy w Wygdane swego człowieka — ciągnął dalej Calaveras. — który wszystko przygotował. Ty wpłacisz większą sumę i poczekasz aż kasjer otworzy szafę, by włożyć pieniądze. We właściwym momencie naciśniesz cyngiel i zabijesz tego człowieka! Nie wolno ci zwlekać — szybko zapakujesz pieniądze — ale zupełnie spokojnie i z zimną krwią! Nikt ci nie przeszkodzi — o to już my się postaramy! Potrafisz to wykonać, czy boisz się może?!

— Myślę, że dam radę! — odparł Glen z udaną obojętnością.

— Więc wszystko w porządku! Jesteś dobrym strzelcem i myślę, że trafisz kasjera z miejsca, well? Nie możesz ani chwili zwlekać, by kasjer nie miał czasu dobyć swego rewolweru!

— Nie dopuszczę do tego!

— Ali right! Resztę załatwię sam z pozostałymi ludźmi! Idź teraz i przyślij mi Rewolwerbilla.

Z mieszanym uczuciem opuścił Glen chatę.

Szybko odszukał Billa i powiadomił go o zleceniu Calaverasa, następnie usiadł na ustroniu nad brzegiem jeziora i zaczął rozmyślać.

Nie ulegało wątpliwości, że Calaveras był chłopem kutym na cztery nogi. Stanowił jak gdyby syntezę tygrysa i węża w jednej osobie! Zmuszał każdego nowicjusza do morderstwa, zabezpieczając się w ten sposób przed ewentualną zdradą.

Sytuacja była trudna. To co Glen zdołał osiągnąć, nie przedstawiało w tym stanie rzeczy zbyt wielkiej wartości. Znajdował się wprawdzie w campie „Stepowych Wilków”, nie wiedział jednak, gdzie znajduje się tą ich kryjówka i jak się z niej wydostać. A o to przecież teraz chodziło.

Musiał dowiedzieć się, jaka droga wiodła do jeziora.

Glen podniósł się i z wolna zaczął krążyć wzdłuż brzegu. Kiedy go prowadzono tutaj, miał przez dwadzieścia minut oczy przesłonięte chustą!

Ale czyż mogło to naprawdę stanowić dla Glena przeszkodę w odnalezieniu drogi! Śmieszne!

Czas naglił.

Było pewne, że na eskapadę do Wygdane nie mógł się ważyć. Calaveras na pewno postarałby się, by Glen przy najmniejszym wahaniu dostał kulę.

Chytry człek z tego Calaverasa! Nawet wróg musiał mu to przyznać. Nie musiał się lękać rebelii swych podwładnych. Obawa przed wymiarem sprawiedliwości cementowała ich mocno. Kto usiłował zdradzić Calaverasa, sam na siebie zastawiał pułapkę.

Glen kuł rozmaite pomysły i odrzucał je znowu.

Przede wszystkim musiał zdobyć pieniądze, które Chess zrabował, a które przechowywał teraz w kasie Calaverasa.

Należało więc zakraść się nocą do chaty szefa i unieszkodliwić Calaverasa. Glen planował odebrać mu klucze, zabrać pieniądze i uciec — oczywiście pod warunkiem, że uda mu się odkryć tajemnicze wyjście z campu.

Jak jednak u licha odkryć tę przeklętą drogę? Obserwowało go stale jakie tuzin oczu! Damned!

Nie znajdował żadnego sposobu wydostania się stąd. Szkoda było czasu na rozmyślania. Nie pozostawało nic innego jak czekać, aż nadarzy się sposobność, by zmylić czujność „Stepowych Wilków”. W każdym razie nie mógł Glen dopuścić do zabicia kasjera w Wygdane.

Podniósł się i powrócił do campu. Z nudów zagrał w kości i wygrał pięć dolarów.

Głód mu doskwierał.

Poszedł do szałasu, w którym warzono kolację. „Stepowe Wilki” posiadały nawet własnego kucharza, który, jak opowiadano, był kiedyś kucharzem w jednym z pierwszorzędnych hoteli metropolii. Scysja z jakimś kolegą zaprowadziła go na ławę oskarżonych. Mając do wyboru między życiem w Sing-Sing a życiem wśród „Stepowych Wilków”, wybrał to ostatnie.

Wieczorem zaczęto już przygotowywać się do wyprawy. Czyszczono i oliwiono broń, przeglądano koniom kopyta i podkuwano niektóre.

Również Glen obejrzał pęciny swego kasztanka — czynił to zresztą z przyzwyczajenia.

Następnie Bill zaprowadził Glena do magazynuj kazał mu wziąć sobie nowe bryczesy z manczesteru, elegancką flanelową koszulę, jedwabną chustę i nowiuteńki kapelusz Stetsona, który z pewnością kosztował jakieś dwadzieścia pięć dolarów.

— To drobnostka dla naszego szefa — powiedział Bill, który stał oparty o drzwi magazynu i palił cygaro — wedle starego, każdy „Wilk” musi pokazać, na co go stać. Już na pierwszy rzut oka musi wyglądać elegancko i dostatnio, a nie jak jakiś obwieś!

Glen milczał.

VII

Glen spędził bezsenną noc.

Łamał sobie daremnie głowę nad tym, jak zdobyć zaufanie „Stepowych Wilków” nie mordując jednakże człowieka. Trudno było powziąć jakiś plan. Należało więc czekać na bieg wypadków. Sytuacja, w jakiej znajdował się Glen, nie była do pozazdroszczenia.

Wczesnym rankiem ruszano w drogę. Kucharz zaopatrzył ludzi w obfity prowiant na parę dni. Glen sądził, że może w pośpiechu zapomną o nim. Mylił się jednak. Sam Calaveras przewiązał mu oczy chustą, wyrażając przy tym nadzieję, że musi to uczynić po raz ostatni i że, gdy będą wracali, nie będzie już potrzeby kryć przed nim dostępu do campu. Calaveras mówił to tonem farmera rozprawiającego o swym wzrastającym zbożu i plonie.

Glen, chcąc nie chcąc, musiał się z tym pogodzić. Jedyne, co mógł stwierdzić, to fakt, że cała banda jechała na wzór indiański gęsiego, z czego wnioskował, że droga którą się przedzierali była dość wąska. Kopyta koni grzęzły w błocie, widocznie więc był to teren bagnisty. To wszystko wskazywało, że jadą poprzez bagnisko leżące opodal jeziora.

Po jakimś czasie Glen poczuł, że znajdują się znowu na twardym gruncie. Zdjęto mu teraz z oczu przepaskę. Rozejrzał się ciekawie wokoło. Z tyłu widniało jezioro i gęste sitowie, natomiast camp zniknął im całkowicie z oczu.

Rewolwerbill zaśmiał się szyderczo, widząc malujące się w jego oczach zdumienie — nic jednak nie rzekł.

Grupa oddalała się coraz bardziej od widniejącego w dali jeziora i po jakichś pięciu minutach znalazła się w wielkim, porosłym gąszczami przesmyku. Jechali, teraz pojedynczo. Jeden jeździec za drugim znikał w gęstwinie. Glen ze zdumieniem stwierdził, że jest to jednak inna droga, niż ta, którą przybył do campu jako jeniec Rewolwerbilla. Biegła ona w zupełnie innym kierunku.

W wyprawie brała udział niemal połowa bandy. Glen naliczył dwadzieścia pięć osób. Reszta (wraz z nimi i kucharz) pozostała jako straż obozowa.

Gdzieś na przedzie rozległo się nagle wołanie. Jeźdźcy przeszli niezwłocznie w szybki galop. Ziemia zadudniła. Konie były wypoczęte i mogły z łatwością wytrwać dłuższą drogę.

Droga biegła ciągle przez las, zmieniając raz po raz swój kierunek. Glen wywnioskował to z przezierającego poprzez drzewa słońca. Raz miał je po lewej ręce, raz z prawej, a często nawet z tyłu. Droga biegła więc spiralnymi łukami.

Zbliżało się południe.

Nagle powiał ożywczy wiaterek. Las zaczął się przerzedzać. Wszyscy zdawali się z przyjemnością wdychać świeże powietrze dolatujące z prerii.

Calaveras podjechał na małe wzgórze, skąd roztaczał się dość rozległy widok na okolicę. Szef wyjął lunetę polową i bystro rozejrzał się wokoło.

Glen zaczął się już teraz orientować w terenie.

Znajdowali się niespełna dziesięć mil od Wygdane.

Stwierdziwszy, że w okolicy nie ma żywej duszy, dał Calaveras sygnał. Jeźdźcy podzielili się w małe grupki po dwie, trzy osoby i ruszyli dalej.

Calaveras wydawał jeszcze ostatnie polecenia. Jego ludzie zdawali się być dobrze obeznani ze stosunkami panującymi w Wygdane. Toteż szczegóły planu nie przedstawiały żadnej poważniejszej trudności.

Dziesięciu ludzi uzbrojonych tylko w kolty miało niespostrzeżenie zająć dogodne stanowisko na placyku, na którym znajdował się bank. Dziesięciu innych z karabinami miało pozostać poza miastem w ukryciu, by stanowić ochronę w odwrocie.

Calaveras spojrzał na zegarek.

— Punktualnie o trzeciej każdy z was znajdzie się na swym stanowisku — zaczął mówić sennym głosem. — O trzeciej zamykają bank. Pięciu ludzi pozostanie przy mnie. Newton i Frazer — wy zatrzymacie się przed domem szeryfa! Kiedy rozpocznie się strzelanina i szeryf wybiegnie ze swego urzędu, załatwcie się z nim! Bill, Glen i ja załatwimy sprawę pieniężną. Ty, Glen, wejdziesz i wpłacisz tysiąc dolarów. Powiesz kasjerowi, by natychmiast włożył pieniądze do kasy. Nie zdziwi się! Ranczerzy często mają takie głupie kaprysy! Kiedy otworzy szafę, strzelaj! Rozumiesz? Następnie pakuj, ile się da! Bierz tylko banknoty i złoto! Na srebrniaki szkoda czasu! Twój strzał będzie sygnałem dla innych. Rozpoczniecie natychmiast — zwrócił się do innych — piekielną strzelaninę! Zainscenizujecie to tak, by wyglądało na bójkę między pijanymi kowbojami. Bill i ja pozostaniemy przed drzwiami banku, by nikt nie mógł przeszkodzić Glenowi. Ulica, musi się momentalnie opróżnić. Kiedy usłyszysz, Glen, na ulicy strzały, możesz spokojnie zacząć pakować pieniądze. Ludzie, przekonani, że chodzi tu o awanturę uliczną, nie będą zwracali uwagi na bank.

Calaveras przerwał. Zapalił papierosa, po czym zwrócił się znowu do Glena.

— Zrobisz to, czy może boisz się?

Glen dostrzegł, jak dwa tuziny par oczu spoczęły na nim w wyczekiwaniu. Wiedział, że odmowa byłaby dlań wyrokiem śmierci. Nikt z tych ludzi nie uważał go za tchórza i odmowę poczytano by mu z pewnością za zdradę.

Toteż odparł zimno i spokojnie:

— Powiedziałem już raz, że jestem gotów!

Calaveras przymknął nieco oczy uśmiechając się z lekka. Pierwszy raz dostrzegł Glen na jego twarzy uśmiech. Glen czuł, że Calaveras nie dowierzał mu mimo wszystko. Zdawał sobie sprawę, że niebezpieczeństwo groziło mu nawet wtedy, gdyby wypełnił plan w najdrobniejszych szczegółach. Calaveras był szczwanym lisem o wybitnej inteligencji — nie był zwyczajnym przywódcą bandytów. W jego na pozór zamglonym spojrzeniu czaił się niesamowity i nieprzeciętny rozum. Było jasne, że Calaveras uważa go za człowieka, który zamordował Chessa. Glen nie wątpił, że Calaveras prowadzi z nim jakąś diabelską grę i że zastawia nań pułapkę. Nie mógł wprawdzie dociec, jakie były jego zamysły, miał się jednak na baczności. Odwrót miał tak czy owak odcięty, Inni bandyci byli z odpowiedzi Glena w zupełności zadowoleni. Znikły ostatnie podejrzenia.

— All right! — powiedział wreszcie po dłuższej nerwie Calaveras. — A więc rozdzielać się jak powiedziałem! Część zatoczy łuk ku wschodowi, część na zachód. Musicie to zrobić tak, by możliwie nie wpadać w oczy. Punktualnie o trzeciej musicie znaleźć się na umówionych miejscach! Frazer, Newton, Bill i Glen pojedziecie ze mną najkrótszą drogą. Mamy czas i możemy jechać powoli!

Zaczęli się rozjeżdżać dużym łańcuchem.

Po godzinie znikli z oczu.

Glen, Calaveras i trzech innych ruszyło teraz dalej. Jechali obok siebie w milczeniu. Glen łamał sobie głowę, jak wydobyć się z tej matni. W Wygdane znajdowało się wprawdzie dość ludzi, którzy z łatwością mogli przepędzić dwa tuziny bandytów do diabła, ale plan Calaverasa był tak przebiegły, że co najmniej przez pół godziny mógł być panem sytuacji. Nigdy jeszcze nie znajdował się Glen w tak beznadziejnej sytuacji. Gdyby nawet zamknąwszy za sobą drzwi w banku opowiedział kasjerowi o zamierzonym napadzie, nie zdołałby zbyt wiele zdziałać, a co gorsza — zarówno Glen, jak i kasjer byliby niechybnie zgubieni. Calaveras miałby jeszcze zawsze dość czasu, by wyważyć drzwi — być może udaremniłoby to rabunek, ale pewne było i to, że Glen i kasjer zostaliby zabici...

Za późno, poznał Glen. że to na co się ważył, by zrealizować przyrzeczenie dane robotnikom, przerastało siły jednego człowieka.

Cóż począć miał teraz?

Za wszelką cenę musiał coś wymyśleć by uniknąć mordu. Mógł co prawda zabić Calaverasa i Billa i zabarykadować się następnie w banku. Było nawet wątpliwe, czy bandyci po stracie wodza usiłowaliby wtargnąć do wnętrza — sęk w tym. czy tak łatwo poszłoby zlikwidowanie Calaverasa i Billa! Problemem było również jak zachowa się kasjer, gdy usłyszy nagle strzały i człowieka strzelającego do na pozór spokojnych ludzi. Najprawdopodobniej sam zacząłby strzelać do Glena!

Istniała jeszcze jedna możliwość zapobieżenia zabójstwu, Glen musiał unieszkodliwić uderzeniem pięści kasjera, strzelić w powietrze i faktycznie zrabować gotówkę. Nikt nie będzie przypuszczał, a tym mniej Calaveras. że urzędnik jest tylko ogłuszony.

Domniemanie, że jest mordercą pozwoliłoby mu następnie poznać dokładniej kryjówkę „Stepowych Wilków” i dojście do niej. Pozostawało jednak w dalszym ciągu podejrzenie, jakie żywił doń Calaveras. Ha, trudno. Na wszelki wypadek Glen zyskiwał w tym wypadku na czasie.

Milcząc jechali jeźdźcy obok siebie. Gd czasu do czasu Calaveras spozierał na zegarek, regulując tempo jazdy. Nie chciał znaleźć się w mieście wcześniej od swoich ludzi, by nie wzbudzać ewentualnych podejrzeń.

Glen obserwował ukradkiem Frazera i Newtona, którzy mieli polecenie unieszkodliwienia szeryfa. Byli to wysocy mężczyźni o szerokich barach. Obaj mieli piegowate twarze, na których malowało się teraz znudzenie. Frazer miął twarz zeszpeconą ospą, Newton — śladami od uderzeń nożem.

— Ludzie zapewne bez sumienia — pomyślał Glen.

Z wolna wydostali się na gościniec. Jechali teraz bardzo powoli; Po dziesięciu minutach wyłoniły się kontury miasta.

— Newton i Frazer! Wy pojedziecie teraz naprzód — rozkazał Calaveras. — Wiecie już o co chodzi! Kiedy rozpocznie się przed

budynkiem strzelanina, zaczniecie zabawę z szeryfem! Jeszcze jedno! Uważajcie, żeby nikt przedtem nie zwrócił na was uwagi!

Obaj skinęli głowami i pognali konie.

Bill i Calaveras jechali wolno dalej.

Tuż przed pierwszymi domostwami Wygdane zatrzymał Calaveras konia i rozejrzał się. Glen i Bill poszli jego śladem. Wokoło panował zupełny spokój. Calaveras spoglądał milcząco w prerię, wyjął lunetę polową i obserwował coś bacznie. Wkrótce i Glen dostrzegł zbliżających się od strony stepu jeźdźców. Byli to uzbrojeni w karabiny bandyci, którzy mieli chronić odwrót. Zajmowali teraz wyznaczone im stanowiska.

— Bill, zdaje się, że wyłożyłem wszystko dokładnie chłopcom! Słyszałeś! Nigdzie nie ma jakiejś luki? — spytał po chwili Calaveras.

— Nie! Nigdzie! Wszystko musi pójść jak w zegarku! — odparł podkręcając wąsa Bill.

Szef spojrzał raz jeszcze na zegarek.

— Reszta powinna już też być na swych stanowiskach. Pora i na nas!

Ulice Wygdane były o tej porze niemal puste. Słońce prażyło niemiłosiernie i ludzie z przyjemnością zażywali poobiedniej drzemki: Tylko w rogu niektórych ulic bawiły się dzieci. Tu i ówdzie pojawiało się w oknach jakieś znużone oblicze. Z pobliskiej kuźni dolatywał odgłos młotów.

Kiedy wjechali w główne ulice miasta, obraz się zmienił. Ruch był tu większy. Przed jakimś sklepem stał wóz ciężarowy. Kilku tragarzy wyładowywało wory ż mąką. Nieco dalej kramarz popędzał muła, który objuczony garnkami i dzbankami glinianymi załamywał się pod ich ciężarem. Przed jednym z salonów stała bryczka, z której wysiadała właśnie jakaś młoda dama. Kilku ciekawskich przypatrywało się jej serdecznemu powitaniu z dwoma staruszkami. Naprzeciw znajdowała się redakcja „Wygdanes Herald". I tu stało kilka osób rozprawiających o czymś z ożywieniem. Przed knajpą stały osiodłane konie. Jakiś kowboj poprawiał przy siodle gurt.

Calaveras zatrzymał konia.

Znajdowali się teraz w centrum miasta. Naprzeciw wznosił się budynek z zakratowanymi oknami. Na frontonie widniał napis: „Banking business".

Calaveras wetknął Glenowi pakiet z plikiem dolarowych banknotów. Czynił to tak, by każdy mógł dostrzec jak wręczał Glenowi pieniądze, by ulokować je w banku.

Glen zdławił wzburzenie i wziął banknoty.

— Przelicz! — powiedział głośno Calaveras, po czym dodał półgłosem: — Licz powoli! Naszych chłopców jeszcze nie ma. Masz czas!

Glen zaczął mechanicznie liczyć wręczone mu banknoty. Calaveras i Bill spoglądali z niecierpliwością wokoło. Bandyci mieli nadjechać z dwóch. stron. To wyczekiwanie wydawało się Glenowi wiecznością.

Wreszcie rozległ się tętent koni.

Zegar na pobliskiej wieży kościelnej wskazywał punktualnie trzecią.

— Jazda! Teraz załatw to szybko! — szepnął Calaveras.

Glen zeskoczył ż siodła i podszedł do wahadłowych drzwi banku. Jego konia ujął za cugle Bill. Dostrzegł jeszcze, że również Calaveras oraz inni bandyci zsiedli z koni. Z determinacją pchnął drzwi i wszedł.

Znalazł się w obszernym pomieszczeniu przedzielonym żelazną siatką i ladą. Za ladą stał człowiek przed dużą szafą. Zajęty był sortowaniem pieniędzy.

— Chciałbym wpłacić małą sumkę — powiedział Glen i zdumiał się sam swym obojętnie brzmiącym tonem.

Kasjer przymknął na wpół otwartą szafę i podszedł do okienka. Był to trzydziestoletni mężczyzna o pełnym nalanym obliczu. Nosił okulary.

— Na czyje konto chce pan wpłacić? — zapytał nieco podrażnionym głosem.

— Chciałbym oddać te pieniądze na jaki tydzień w depozyt — ciągnął dalej Glen — na nazwisko Brysbane. Później odbiorę z powrotem po potrąceniu kosztów!

— Ile pan wpłaca?

— Tysiąc dolarów.

Kasjer podniósł zakratowane okienko i Glen począł liczyć banknoty.

Powziął plan.

— Pięćdziesiąt — sto — pięćdziesiąt — sto — sto pięćdziesiąt — liczył myląc się Glen.

— Wypił pan pewnie za dużo! — zawołał zniecierpliwiony kasjer.

Glen spojrzał na pozór ze zdumieniem. Oceniał odległość.

— Dlaczego miałbym...

— Nie umie pan liczyć. Daj pan tu! Policzę sam! Niech pan patrzy.

Urzędnik schylił się, by przeliczyć banknoty.

W tej samej chwili pochwycił go Glen za gardło zatykając mu równocześnie lewą ręką usta. Oczy napadniętego wysunęły się z orbit.

Glen wyrzucił pośpiesznie zdławionym głosem:

— Człowieku, zmuszono mnie do obrabowania banku! Zwrócę jednak pieniądze — nie lękaj się! Na dworze znajduje się dwudziestu uzbrojonych ludzi — albo będziemy obaj zgubieni, albo będzie pan posłuszny!

Wydobył szybko kolta i strzelił w powietrze.

— Zrozumiał pan? Ani słowa! Działam pod fizycznym przymusem! Pieniądze postaram się zwrócić!

Zrozpaczony patrzył Glen w osłupiałą twarz kasjera.

— Zrozumiał pan? — powtórzył.

Lecz człowiek ten milczał.

Dopiero teraz spostrzegł, że kasjer stracił z przerażenia przytomność. Los był dla Glena łaskawy pozwalając rozwiązać mu tak łatwo ten zawiły problem.

Szybko wyłamał kraty. Znalazł się przy żelaznej szafie. Z. gorączkowym pośpiechem zaczął ładować do skórzanego wora, w który zaopatrzył go Calaveras, złoto i banknoty.

Tymczasem na ulicy rozgrywały się piekielne sceny.

Zainscenizowana przez Calaverasa strzelanina rozgorzała na dobre.

W drzwiach ukazał się nagle Rewolwerbill.

— Ali right! Śpiesz się, Robles!

Glen rzucił mu napchane wory, po czym przelazł ladę.

— Zapakowałem wszystko! Bierz worek! Gdzie szef?

— Stoi na straży! Jazda! Chodźmy już!

Szybko podeszli teraz do drzwi i wybiegli na ulicę. Przebieg wydarzeń wyglądał tak, jak przewidywał Calaveras. Ulica wyludniła się momentalnie.

Widać było tylko dwie grupy ludzi ostrzeliwujące się wzajemnie. Co prawda, bacznego obserwatora musiałoby zadziwić, dlaczego, mimo gęsto padających kul, żaden z tych ludzi nie poniósł dotąd szwanku.

Ludzie potracili jednak całkiem głowy. Jedynym człowiekiem, który zachował zimną krew, był szeryf. Kiedy na ulicy rozległa się strzelanina, nie pobiegł, jak Calaveras przypuszczał, wprost ku drzwiom, których pilnowali Frazer i Newton, lecz wyjrzał najpierw przez okno. Dostrzegłszy podejrzaną postać Frazera, szeryf James Wolson pojął w lot, co się święci.

James Wolson posiadał te właśnie właściwości, które najlepiej kwalifikowały go na szeryfa. Uważając, że życie należy tylko wtedy wystawiać na niebezpieczeństwo, gdy jest to nieodzowne, nie usiłował nawet ująć któregoś z bandytów, lecz zdjął spokojnie zawieszony na ścianie winchester i, nie namyślając się długo, zestrzelił Frazera z konia.

Newton spojrzał osłupiały. Dostrzegł niebieską bluzę szeryfa i wystrzelił sześciokrotnie w jej kierunku. Kiedy jednak usiłował zbiec, padł z winchestera szeryfa drugi strzał kładąc bandytę trupem.

Z karabinem w ręku wyszedł teraz szeryf przed swe domostwo i pospieszył w kierunku, skąd dolatywały go odgłosy strzelaniny. Nie zdawał sobie jednak i teraz sprawy, co oznacza ta niespodziewana bijatyka.

Pierwsze, co zwróciło jego uwagę, to widok człowieka wynoszącego duży wór skórzany z Wygdane Banking. Szeryf stwierdził, że człowiek ten nie był bynajmniej kasjerem banku. Musiał to być bandyta! Zwyczajny ranczer nie szedłby zresztą tak spokojnie ulicą, na której rozgrywała się ta piekielna strzelanina.

Wolson był człowiekiem czynu. Szybko podjął decyzję. Przyłożył karabin do ramienia i pociągnął za cyngiel.

Huknął strzał.

Człowiek dźwigający skórzany worek padł na jezdnię.

Bandyci którzy jeszcze strzelali bez przerwy, byli przekonani, że Bill został trafiony którąś z ich zabłąkanych kul. Nie mogli dostrzec szeryfa, który stał teraz ukryty, we wnęce jednego z domów.

Wolson czekał. Był przekonany, że w następnej sekundzie ktoś z tych ludzi podejdzie, by zabrać worek.

Glen oparty o mur banku o parę zaledwie kroków od konającego na jezdni Billa obserwował ze zdumieniem bieg wypadków.

Opodal stał również Calaveras, z dymiącym rewolwerem w ręku. Był jeszcze ciągle przeświadczony, że panuje nad sytuacją, jakkolwiek zaczynała go trochę niepokoić tak długa nieobecność Frazera i Newtona.

Na dwie sekundy zapanowała grobowa cisza.

Ochłonąwszy ze zdumienia jeden z bandytów, nazwiskiem Jones, podbiegł do zwłok Billa, by zawładnąć skórzanym worem. Nachylił się i pochwycił go swymi chciwymi palcami. W tej samej chwili padł drugi strzał.

Jones podzielił los Rewolwerbilla.

Dopiero teraz zorientowali się bandyci, że ktoś pomieszał im szyki.

Calaveras spostrzegł grożące niebezpieczeństwo. Zatoczył ręką w powietrzu łuk. Był to sygnał do zaprzestania strzelaniny.

Mimo wszystko nie zamierzał Calaveras dać za wygraną. Postanowił wypłoszyć tajemniczego strzelca z jego kryjówki i zlikwidować go.

Szeryf Wolson zorientował się natychmiast, że przywódca desperados szuka miejsca, skąd padły śmiertelne strzały. Wcisnął się głębiej w

wystającą wnękę. Los jego byłby jednak przypieczętowany, gdyby nie fakt, że bandyci nie zrozumieli gestu swego szefa. Wielu z nich zresztą nie dostrzegło go wcale. Rozwścieczeni śmiercią Rewolwerbilla i Jonesa zaczęli strzelać w okna mieszkań. Świst kul zlewał się z brzękiem tłuczonego szkła.

Twarz Calaverasa nabrzmiała purpurą. Daremnie usiłował teraz opanować sytuację.

Szeryf Wolson czekał.

Pozostał nadal w ukryciu, bacząc jednak pilnie na skórzany wór leżący pośrodku ulicy.

Znowu naładował swój karabin.

Clarence Pott dostrzegłszy skinienie Calaverasa podbiegł, by pochwycić pieniądze.

I jeszcze raz zagrał karabin Wolsona.

Pott z wykrzywioną bólem twarzą legł obok swych towarzyszy. Kula Wolsona przeszyła mu pierś.

Calaveras stał czujny jak kot. Słyszał wyraźnie głuchy huk winchestera. Drżał z wściekłości, nie mogąc odkryć tajemniczego strzelca.

Zdawał sobie jasno sprawę, że poniósł haniebną porażkę. Trzech jego najlepszych ludzi leżało martwych obok zrabowanych pieniędzy. Pozostało mu siedmiu z jego bandy — a oni znajdowali się pod obstrzałem niewykrytego strzelca.

Nie wątpił, że mieszkańcy miasteczka opanują niebawem sytuację i że ta niefortunna eskapada nie ujdzie mu na sucho!

Jakaś kula oberwała ucho jednemu z kowbojów, który znajdował się w saloonie George'a Flintsa. Wśród ataku przekleństw oszołomiony kowboj zerwał się z miejsca. Również i jego towarzysze dali teraz upust swej wściekłości. Gdy do uszu ich doszły strzały, zachowywali się obojętnie przypuszczając, że chodzi tu o jakąś bójkę, o którą zresztą w Wygdane nie było nigdy trudno. Teraz jednak widząc okrwawionego towarzysza, nie mogli się powstrzymać. Dobywszy rewolwerów z impetem wypadli na ulicę.

Calaveras w mig zorientował się w grożącym mu nowym niebezpieczeństwie. Jedynym ratunkiem była teraz tylko szybka ucieczka.

Nie zwlekając przyskoczył do swego konia, który stał obok kasztanka Glena. Glen poszedł w jego ślady. Również siedmiu pozostałych bandytów dostrzegłszy, że przywódca ich znajduje się w strzemionach, zaniechało bezmyślnej strzelaniny i rzuciło się do ucieczki. Upłynęła niespełna minuta i cała banda pognała w stronę gościńca.

Wolson mógł z łatwością zrzucić jeszcze jednego z siodła. Zaniechał jednak tego zamiaru — musiałby bowiem spuścić z oczu pieniądze pozostawione przez bandytów. Z karabinem w ręku wyszedł ze swej kryjówki.

Kowboje, którzy wybiegli z knajpy George'a Flintsa stwierdzili z wściekłością, że trzy z ich koni postrzelili bandyci.

W kilka minut zgromadziło się Wokoło szeryfa jakieś dwadzieścia jeźdźców.

Szeryf zaorał worek z pieniędzmi i umieścił go w bezpiecznym miejscu. Nie wahając się teraz dłużej, dosiadł konia i rozpoczął na czele swej drużyny pościg za uciekającymi w popłochu „Stepowymi Wilkami”.

Calaveras i jego ludzie zdołali w tym czasie znaleźć się poza obrębem miasta. Bandyci ujechali gościńcem tylko kawałek drogi, po czym skręcili w zarośla, gdzie tkwiła reszta uzbrojonych ludzi Calaverasa.

Przywódca bandy nie przywykł do wygłaszania długich mów. Wskazał ruchem głowy na gościniec. W dali wyłaniała się już drużyna pościgowa.

— Wpadliśmy, boys! — powiedział spokojnie. — Pięciu z was pozostanie tutaj i będzie strzelać, gdy pościg znajdzie się na linii strzału. Zaskoczy ich to zapewne. Będą usiłowali się podkraść — wtedy szybko dosiądziecie koni i w nogi! Reszta będzie czekać parę mil dalej w zasadzce! Przepuścimy pięciu naszych ludzi i złapiemy pościg! A więc pięciu zostaje — reszta za mną!

Jak huragan pognali w step. Z dala dolatywały ich okrzyki prześladowców.

Glen, mimo szybkiego galopu, obejrzał się poza siebie. Drużyna pościgowa znajdowała się już w pobliżu miejsca, gdzie zaczaiło się pięciu desperados.

Powietrze zadrgało karabinową salwą.

Szeryf i towarzyszący mu kowboje zatrzymali konie. Trzy ogiery runęły na ziemię przygniatając ciężarem swych jeźdźców. Kilku kowbojów zeskoczyło z siodeł szukając ochrony, inni zawrócili konie uchodząc poza linię obstrzału.

Jakieś pół godziny trwał ten dziki pościg.

Nagle Calaveras zatrzymał swych ludzi skinieniem ręki. Teren był w tym miejscu górzysty, pełen wykrotów i rozpadlin. Nadawał się cudownie na zasadzkę. Calaveras rozkazał swym ludziom, którzy byli uzbrojeni w karabiny, zsiąść z koni i ukryć się w zaroślach. Jeden człowiek został, by pilnować koni.

— Za parę minut nadjadą nasi chłopcy, a za nimi cały pościg — objaśnił Calaveras. — Przepuścicie naszych boys i powitacie pościgową drużynę ołowiem! Zmusicie ich do zatrzymania się, a wówczas sami w nogi! Ciągle naszą starą drogą. W tym czasie my zrobimy maleńką pułapkę, chociaż przypuszczam, że po drugiej i trzeciej salwie odejdzie im ochota do dalszego pościgu!

Glen zdumiewał się coraz bardziej. Calaveras był doskonałym taktykiem i strategiem. Musiał mieć widocznie oficerskie przeszkolenie. Ludzie, którzy wpoili mu tę wiedzę, nie przypuszczali zapewne, że posłuży mu ona kiedyś do przewodzenia bandzie rabusiów!

Taktyka, jaką stosował Calaveras była rzeczywiście doskonała. Ścigający nie mogli teraz zupełnie zagrodzić poważnie któremukolwiek z desperados. Kiedy ludzie Wolsona w pościgu za grupą bandytów zbliżali się na odległość strzału, czekała ich stale karabinowa salwa.

Szeryf Wolson nie myślał jednak dać za wygraną. Rozkazał swym ludziom rozsypać się w tyralierę. Niestety i to nie skutkowało wiele. Grupa desperados oddawszy salwę dosiadała błyskawicznie koni, zmuszając Wolsona znowu do skupienia swych ludzi.

W tych warunkach dalszy pościg byłby szaleństwem. Już i tak sześciu ludzi Wolsona odniosło poważne rany. Lecz szeryf był upartym człowiekiem. Prośbą i groźbą usiłował nakłonić swych ludzi do kontynuowania pościgu. Wściekał się i klął, ale bezskutecznie. Kowbojom

odeszła wszelka ochota do dalszego polowania na „Stepowe Wilki". Wzruszali ramionami i zawracali konie.

Chcąc nie chcąc musiał wreszcie i Wolson pójść w ich ślady. Bez pomocy większej liczby ludzi dalsza walka była teraz beznadziejna. Wściekłość jego mitygowała tylko tą okoliczność, że udało mu się uratować bank w Wygdane przed poważną finansową stratą i wykazać „Stepowym Wilkom”, że Wygdane to nie White Hills.

VIII

„Stepowe Wilki” pędziły co koń wyskoczy w kierunku leśnej gęstwiny. W zawrotnym tempie migały pęciny rumaków. Gąszcza leśne zbliżały się coraz bardziej. Rozpoczęło się przedzieranie poprzez wąskie ścieżyny gubiące się w leśnych mrokach. Kiedy banda znalazła się nad jeziorem, nikt nie myślał o tym, by przewiązać i Glenowi znowu oczy. Glen skupił teraz całą swoją uwagę. Musiał dobrze zapamiętać dojście.

Zapadał już wieczór.

Pobliskie góry przybrały jakieś dziwaczne kształty. Mgła spowijała ich wierzchołki. Droga prowadziła jakiś czas wzdłuż jeziora.

Nagle jadący na przędzie bandyta znikł w wysokim szuwarze. Reszta poszła jego śladem.

Teraz dopiero zrozumiał Glen, gdzie znajdowało się owe tajemnicze przejście. Z lewej i prawej strony rozciągały się bagniska i tylko wąska ścieżyna stanowiła twardszy teren. Człowiek niewtajemniczony musiał tu zginąć niechybnie — ścieżka była bowiem tak dobrze zamaskowana, że nawet bystre oko nie dostrzegłoby tu nic więcej, jak tylko błoto porosłe sitowiem.

Jakieś dwadzieścia minut trwała jazda poprzez szuwary, po czym znów kopyta końskie uderzyły o twardy, skalisty grunt. Jeszcze mały łuk i przed oczyma Glena wyłoniły się chaty i blokhauzy desperados.

W czasie całej; długotrwałej jazdy nie padło ani jedno słowo. I teraz nikt z bandytów nie zdradzał żadnej skłonności do jakichkolwiek rozmów. W milczeniu rozsiodłali swe konie i odprowadzili je do ogrodzenia. Twarze, ponure i ciemne, były pokryte kurzem. Widać było, że ten zawrotny galop wyczerpał ich nerwy.

Calaveras znikł po chwili w swej chacie. Reszta zgromadziła się dokoła roznieconego ogniska. Kucharz przewiesił nad ogniem olbrzymi rondel, w którym gotowała się wieczerza.

Glen starał się dostroić do humoru swych towarzyszy. Skoncentrowana w milczeniu wściekłość uległa wnet rozładowaniu. Poczęto hałaśliwie rozprawiać nad przyczyną porażki. Jak się okazało nikt nie wiedział naprawdę, o co rozbiło się całe przedsięwzięcie i dlaczego Calaveras nakazał odwrót pozostawiając zdobyte pieniądze na łasce losu. Umilkli dopiero, gdy przy ognisku pojawił się sam boss. Widocznie przebrał w chacie bieliznę i odzienie — nie znać było bowiem na nim śladów kurzu. Również i humor poprawił mu się nieco.

Obejrzał każdego ze swych ludzi z osobna, jak gdyby chciał przejrzeć ich myśli.

Teraz dopiero spostrzegł Glen trzech osobników, których nie było gdy wyjeżdżali. Kiedy przypatrzył im się jednak bliżej, stwierdził, że byli to ludzie, którzy z Jeffriesem poszukiwali zabójcy Chessa w White Hills.

Wzrok Calaverasa zatrzymał się dłużej na twarzy jednego z nich. Nie chciał widocznie sprowadzać od razu rozmowy na temat wydarzeń w Wygdane, gdyż zapytał:

— Rozmawiałeś jeszcze raz z ludźmi w White Hills?

Zapytany przytaknął.

— Well szefie! Zdaje się, że nikt z mieszkańców White Hills nie jest mordercą Chessa Shearera!

— Hm! — chrząknął Calaveras patrząc w zamyśleniu w igrające języki ogniska.

Nagle uniósł głowę i powiedział przenikliwym, budzącym dreszcz zgrozy głosem:

— Skoro mieszkańcy White Hills nie umieją znaleźć mordercy Chessa Shearera — będziemy musieli zrobić to sami! Będziemy musieli chłopcy zerwać nasz układ z White Hills i upuścić temu obskurnemu miasteczku troszeczkę krwi... Teraz chcecie zapewne wiedzieć, czego nam dzisiaj poszło tak kiepsko, co?! — Powiem wam zaraz: przez waszą głupotę! — wyrzucił z sarkazmem sylabizując każdą głoskę.

Bandyci milczeli.

Calaveras przeczekał chwilę, po czym zaczął mówić dalej. Mówił długo i przekonywająco jak wytrawny adwokat lub oskarżyciel. Z żelazną logiką wyłuszczał zdumionym bandytom przyczyny nieudanego napadu i popełnione błędy.

— Głupcy! Dawałem wam przecież znaki, byście oprzytomnieli. Chciałem wykryć tego draba, który zastrzelił Billa i Jonesa. Ale cóż! Wam podobała się bezmyślna strzelanina. Ułatwiło to tylko temu łajdakowi dalsze pukanie z winchestera! W tym piekielnym chaosie trudno było ustalić, skąd strzelał właściwie ten obwieś. Faktem było, że ani na chwilę nie spuszczał z oka zdobytych przez nas pieniędzy i każdemu, kto odważył się po nie sięgnąć, posyłał natychmiast kulę. Na dobitek wasza bezmyślna strzelanina w okna knajpy sprowadziła nam na kark kowbojów. Gdyby nie to, ani przez myśl by mi nie przeszło brać udział w pościgu. Bylibyśmy spokojnie mogli wyśledzić kryjówkę tego łotra i unieszkodliwić go. Przypuszczam, że tym diabelskim strzelcem musiał być nikt inny, jak tylko sam szeryf Wolson. Posłałem Newtona i Frazera, by go zlikwidowali. Nie wrócili jednak. Widocznie byli tak niezdarni, że Wolson dał sobie z nimi łatwo radę, a co gorsza sprowadzili go przedwcześnie nam na kark. Przy widowisku, jakie urządziliście, nie było dlań rzeczą trudną ustrzelić Billa, Jonesa i Potta!

Policzki Calaverasa zaróżowiły się. Zamilkł.

Po chwili dobył papierośnicę i zapalił papierosa. Następnie zwrócił się znowu do swych słuchaczy.

— Bill, Jones, Pott, Newton i Frazer gryzą ziemię. Jak na jedną wyprawę to niemała strata, nadto musicie zważyć, że porażka nasza ma jeszcze jedną stronę medalu — jak dotąd uchodziliśmy za niezwyciężonych. Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę?! Dotąd wychodziliśmy zawsze obronną ręką i to napawało wszystkich trwogą. Każdy z naszych ludzi siał taką panikę, że mógł dać radę nawet dziesięciu mieszczuchom. Teraz opinia ulegnie zmianie. Trudno! W żadnym jednak wypadku nie możemy przejść nad tym do porządku! Nie możemy dopuścić do tego, by ranczerzy i szeryf Wolson tryumfowali! Za żadną cenę nie wolno nam pozwolić, by

zaczęli sobie zadawać tego rodzaju pytania, jak na przykład: a może tych „Stepowych Wilków” jest tylko tuzin? Może nie ma ich nawet tam, gdzie fama głosi, że ich są setki? By nie dopuścić do tego rodzaju przypuszczeń musimy bezzwłocznie przedsięwziąć nową kampanię — i to zaraz! Szeryf Wolson niedługo będzie się mógł chlubić, że pokonał „Stepowe Wilki”. Musimy bezwarunkowo odzyskać dawna opinię! Później... No, zobaczymy zresztą! Koniecznie musimy podtrzymać nasz prestiż!

Bandyci me bardzo wiedzieli co oznacza słowo „prestiż” — w pojęciu ich jednak musiało to być coś bardzo ważnego, skoro szef wypowiedział je z takim namaszczeniem.

Zewsząd padały słowa aprobaty.

Glen myślał teraz o June i o starym pastorze Farleyu. Na piersiach czuł łonowy ciężar. Zdawał sobie sprawę, że Calaveras zamierza coś przedsięwziąć przeciwko mieszkańcom Wbite Hills. Nie było rady! Jeszcze dziś w nocy musiał załatwić się z bandytami.

Ale jak?!

Sprawa posunęła się już tak daleko, że nie mógł dłużej zwlekać. Należało skończyć z odgrywaną dotąd komedią. Gra zaczynała być niebezpieczna! Stanowczo jeszcze dziś w nocy musiał coś postanowić, jutro bowiem mogło już być za późno!

Nagle poczuł na sobie czyjś wzrok. Jeden z ludzi Calaverasa gapił się na Glena bez przerwy. Był to jeden z trzech, którzy powrócili z White Hills.

„Czego ten drab chce ode mnie — pomyślał Glen. — Czyżby poznał we mnie człowieka, z którym rozmawiał w zajeździe Basleya?” Zrobiło mu się gorąco. Usiłował nadać swej twarzy bezczelny grymas i pytające spojrzenia tamtego odwzajemnił wyraźną prowokacją.

Calaveras odszedł parę kroków od ognia i zatopiony w swych myślach krążył dokoła jeziora. Chodził tam i z powrotem. Widocznie układał jakiś plan.

Człowiek, który patrzył poprzednio na Glena wstał i podszedł do szefa. Glen nie mógł dojrzeć jego oblicza, było na to bowiem zbyt ciemno, ale instynkt szeptał mu, że rozmowa ich dotyczy jego. Prawdopodobnie człowiek ten opisywał teraz Calaverasowi zajście w White Hills i informował go, że Glen zadarł z Jeffriesem nie z powodu rzekomego zabójstwa w Reedwood, ale dlatego, że Jeffries wietrzył w nim mordercę Chessa Shearera.

Ukradkiem dotknął Glen swych rewolwerów. Jego pierwszym odruchem była chęć wycofania się poza obręb ogniska, ale zwyciężył rozsądek. Ucieczka była i tak niemożliwa. Koń Glena stał w ogrodzeniu oddalonym o sto metrów od ogniska. Nadto dostrzegł, że Calaveras obserwuje go spode, łba. Jeszcze parę minut rozmawiał Calaveras żywo ze swym podwładnym, po czym ten ostatni powrócił na swe miejsce przy ognisku.

Calaveras w dalszym ciągu chodził tam i z powrotem miarowym krokiem. Wyglądało to tak, jak gdyby szef nie żywił żadnego zainteresowania dla tego, co działo się przy ognisku.

Ale były to tylko pozory.

Glen czuł, że burza wisi w powietrzu. Miał się teraz na baczności, by nie zaskoczyła go niespodziewanie.

Tymczasem kucharz zaczął rozdzielać kolację.

Głód doskwierał Glenowi już od dłuższego czasu, toteż nie żałował sobie i kazał kucharzowi podać podwójną porcję.

„Muszę gromadzić zapasy nowej energii” — pomyślał śmiejąc się w duchu.

Calaveras jeszcze ciągle kroczył rytmicznie dokoła jeziora. Ludzie wyczekiwali z napięciem jego decyzji. Byli znużeni intensywną jazdą, ale mimo to zachowywali spokój i równowagę.

Coś wisiało faktycznie w powietrzu.

Nagle Calaveras skinął ręką.

Ludzie pospieszyli doń natychmiast.

Również i Glen starał się znaleźć możliwie najbliżej szefa. Chwila ta była dla Glena niezwykle ważna. Stosownie do tego, co postanowił teraz Calaveras musiał i Glen ułożyć swój plan działania.

Calaveras zaczął mówić dobitnie:

— Ludzie! Nie sądziliście chyba, że będziemy się tu ukrywać dlatego, że jedna sprawa poszła nam kiepsko? Co? Góry Duchów nie bardzo nadają się dla nas na stałą kwaterę. Dłuższy pobyt na tych moczarach może przysporzyć nam reumatyzmu! Nieprawdaż, chłopcy?!

Zaśmiał się krótkim, urywanym, gardłowym śmiechem. Reszta śmiała się również. Widać było jednak, że czynią to z przymusem:

— Miejsce to było pomyślane jako punkt zbiórki i narad — ciągnął dalej Calaveras — służyło nam tylko jako schron w wyjątkowych wypadkach. Nie ma celu jednak zaskorupiać się tu dłużej. To byłoby najgłupsze ze wszystkiego, co można by wymyśleć! Kto z was mieszka w White Hills, jeszcze dziś w nocy pojedzie tam ze mną!

Decyzja ta spotkała się z głośną aprobatą.

Ludzie byli wprawdzie znużeni i łaknęli snu, ale w równej mierze byli ciekawi dalszych szczegółów planu.

Calaveras ciągnął dalej.

— Ci z was, którzy nie mieszkają w White Hills, będą musieli niestety spędzić jeszcze parę bezsennych nocy!

Na obliczach niektórych bandytów odmalowało się rozczarowanie. Calaveras nie zważał jednak na to.

— Zaraz wam coś powiem! Hallo, Hurd! — zawołał na jednego z desperados.

— Well! — odezwał się jakiś opryskliwy głos.

Hurd był to żylasty drab o bawolim karku i wąskich plecach. Calaveras zwrócił się teraz do niego.

— Hurd! Ty pojedziesz do Turkeya! Wiesz gdzie obozuje? Jakieś dwadzieścia mil od nas! Polecisz mu, by natychmiast przybył że swymi ludźmi. Muszę mieć teraz wszystkich.. Będziecie mieli rekompensatę. za utracony łup, a równocześnie damy White Hills maleńką nauczkę! Na dłuższą metę nasz pobyt w White Hills stanie się niemożliwy, skoro okazuje się, że Jeffries zawodzi tak haniebnie. Obrócimy teraz White Hills w perzynę i napełnimy przy tej sposobności swoje kiesy, po czym umkniemy przez kanadyjską granicę. Jako traperzy i poszukiwacze złota przekradniemy się naszą zwyczajną drogą. Na zimę musimy przenieść się całkiem na północ. Zresztą, podam wam później dalsze szczegóły. A więc Hurd — zrozumiałeś? Do jutra musisz być z Turkeyem i jego ludźmi w

White Hills — i to najpóźniej wieczorem. Przybędziecie do White Hills grupami!

Hurd skinął głową.

— All right — dorzucił obojętnym głosem.

Ciężkimi krokami podążył do ogrodzenia, gdzie znajdowały się konie.

„No, niezła próba sprawności — pomyślał Glen — najpierw ta szaleńcza jazda z Wygdane, a teraz znowu jazda po wertepach..."

Hurd był człowiekiem, który w każdym środowisku musiałby zwrócić na siebie uwagę. Był to typ urodzonego zbrodniarza. Wąskie szparki oczu świeciły niebezpiecznym błyskiem, wystające kości policzkowe zdradzały jego indiańskie pochodzenie, a niskie czoło nadawało twarzy ponury wygląd kretyna.

Za chwilę rozległ się tętent jego konia.

Calaveras nadsłuchiwał jeszcze chwilę, po czym zaczął mówić znowu:

— Nie pozostawimy tu w górach nawet straży. Musimy wyruszyć teraz stąd wszyscy, nawet kucharz. Potrzebny mi będzie każdy człowiek. Jeśli nas rozbiją, będziemy znów szukali tutaj ratunku Biada jednak temu. który da się pochwycić — czeka go pewny stryczek. Zrozumieliście, co?

Bandyci przytakiwali.

— Rushbroocke — zagadnął Calaveras jednego z ludzi o siwych włosach i bladym obliczu — Bill nie żyje. Ty obejmiesz teraz komendę nad ludźmi, którzy muszą pozostać poza White Hills!

— Zrobione, szefie! — odparł ochrypłym głosem Rushbroocke.

Teraz zwrócił się z kolei Calaveras do Glena:

— Robles!

— Well?

— Robles! — Twarz Calaverasa nie zdradzała żadnego napięcia. — Wyróżniłeś się w czasie napadu na bank w Wygdane... Masz, zdaje się, coś na pieńku z szeryfem Jeffriesem, nieprawdaż? Upieczesz teraz i ty swą pieczeń. Ty, Christy Stetton i jeszcze czterech innych pojedziecie ze mną do White Hills. Powrócimy do naszych domostw tak, jak gdybyśmy powrócili z podróży. Prawdopodobnie wieść o zajściach w Wygdane nie mogła jeszcze dojść do White Hills! Jeśli się pospieszymy, będziemy mogli załatwić nasze porachunki ż White Hills! W jakie parę godzin po przybyciu do White Hills zjawicie się u mnie — dam wam dalsze zlecenia!

— Zajadę do hotelu — powiedział Glen.

— Ależ skąd! — odparł Calaveras.

Glen dostrzegł czające się w oczach szefa szyderstwo.

— No, boy! Zamieszkasz u mnie. I tak chodzi tylko o dwie, trzy noce. Musimy przeczekać, aż przybędzie Turkey ze swymi ludźmi. Zamieszkasz u mnie i będziesz moim adiutantem. Powierzam ci kasę!

Glen najchętniej wykrzyknąłby z radości.

Calaveras chciał mu zawierzyć pieniądze desperados. Miał więc wszelkie szanse, by odzyskać pieniądze zrabowane przez Chessa robotnikom! I to nawet bez przelewu krwi!

Spojrzawszy jednak baczniej w oblicze Calaverasa stłumił swą radość. W twarzy szefa czaiła się jakaś podłość.

A może mylił się? Calaveras odwrócił się wreszcie od Glena.

— Zrozumieliście wszystko?

Gromkie „tak" rozległo się wokoło.

Calaveras przytknął dwa palce do swego szerokiego sombrero i wolnym krokiem podszedł da chaty.

— Pakować się! Ruszamy! — rozległy się zewsząd wołania.

Glen rzucił teraz od niechcenia:

— Czy aby dobrze czynimy, pokazując się teraz na gościńcu? Czy nie wpadniemy na jakąś drużynę pościgową?

Mówił, by rozwiać ewentualne podejrzenia desperados.

— Greenhorn! — wycedził Calaveras.

Spojrzał jednak, jak się zdawało, na Roblesa nieco uspokajającym wzrokiem.

— Nie będą nas przecież szukać na szosie w kierunku White Hills — wręcz przeciwnie — musimy bezwarunkowo jeszcze dzisiaj się tam znaleźć, by mieszkańcy White Hills nie mieli podstaw do przypuszczenia, że musimy się ukrywać! Phi! Zresztą, jeśli nawet natkniemy się na jakichś wywiadowców, to pokażemy tym pastuchom krów nasze papiery — będą, zapewniam cię, w najlepszym porządeczku. Gdyby im to nie wystarczyło, pobawimy się nieco koltami! Gzy myślisz, że nosimy tylko rewolwery po to, by straszyć dzieci?

Glen roześmiał się.

Również i Calaveras uśmiechną! się pod wąsem.

Uśmieszek ten wydał się jednak Glenowi bardzo dwuznaczny. Był teraz zupełnie zdezorientowany.

W godzinę później wśród zupełnych ciemności ruszyli w drogę. Kiedy znaleźli się na gościńcu — dniało. Banda rozdzieliła się teraz na mniejsze grupki. Część z tych ludzi znikła momentalnie, jak gdyby zapadła się pod ziemie.

Kilku desperados pozostało Byli to ci, którzy mieli z Calaverasem i Glenem pojechać natychmiast do White Hills.

Glen umocował przy siodle wręczoną mu przez Calaverasa żelazną kasetę bundy. Była piekielnie ciężka i Glen musiał zadawać sobie wiele trudu, by nie zleciała w czasie szybkiej jazdy.

Był już dzień, gdy wyłoniły się zarysy pierwszych domów White Hills.

Na polach farmerów coraz częściej spotykali teraz robotników rolnych. Z odległych pastwisk podjechało ku nim kilku zaciekawionych kowbojów. Każdego z nich obdarzał Calaveras jakimś wesołym żartem i hawańskimi cygarami. Wyglądał przy tym jak gentleman wycięty z żurnala.

Któż mógł więc podejrzewać coś złego?

Zresztą, każdy mieszkaniec White Hills znał umowę, jaka istniała pomiędzy Calaverasem a Jeffriesem i dotrzymywał jej skrupulatnie. Sytuację taką uważali za wcale dogodną i nie było znowu wśród nich takich śmiałków, którzy mieliby ambicje poskramiać „Stepowe Wilki”.

Desperados podjechali do White Hills od strony północnej.

Dom pastora Farleya tonął w słonecznym blasku. June stała w ogrodzie i uniosła głowę, by zobaczyć, co to za jeźdźcy przybywają tak wczesną porą do White Hills. Calaveras pozdrowił ją głębokim ukłonem zdejmując swe szerokie sombrero. June odwróciła się z wyraźną niechęcią. Na policzkach jej wykwitły gorące rumieńce pogardy. Glen dostrzegł zmianę w wyrazie jej twarzy.

Nadaremnie usiłował ukryć się za szeroką, barczystą postacią Stettona. Koń jego poprzednika uskoczył na bok i June dostrzegła jego twarz Nie

ulegało już teraz dla niej żadnej wątpliwości, że Glen Robles musiał być bandytą, skoro znajdował się w towarzystwie Calaverasa i jego ludzi.

Glen usiłował dać jej oczyma jakieś znaki. June nie zwracała jednak na nie uwagi. Bladość oblekła jej oblicze. Z szeroko rozwartymi źrenicami patrzyła na Glena.

Calaveras skinął w jej stronę ręką posyłając jej uśmiech światowego amanta.

Glen usłyszał jeszcze tylko, jak June biegnąc szybko w stronę domu wołała:

— Ojcze! Ojcze!

Biedna June! Co myślała sobie teraz?

Calaveras zwrócił się do Glena Roblesa:

— Boy, znasz tę małą?

Glen potrząsnął przecząco głową:

— Nie mam pojęcia, kim jest ta dziewczyna!

— Powinieneś ją znać właściwie. Ukatrupiłeś jej brata, Maca Farleya. To córka pastora Farleya. Jej stary tę dureń i dziwak, który urządza nam tutaj różne kawały. No, niedługo pozwolimy wyczyniać te historie! Chciałbyś mieć tę małą, co?

Jeszcze nigdy w życiu nie wystawiono Glena na tak ciężką próbę! Czyżby Calaveras zrobiło umyślnie?

Glen zbladł. Wściekłość i wstręt wstrząsnęły całym jego jestestwem. Zacisnął jednak, zęby, usiłując opanować wzburzenie, ale gra muskułów i bladość zdradzały wyraźnie jego stan psychiczny.

— No, co? — zapytał znowu Calaveras. — Będziemy i tak musieli ją zabrać ze sobą. Byłoby szkoda, żeby zginęła tu w White Hills.

— Dobrze, wezmę ją pod swoją pieczę — odparł dwuznacznie Glen.

Mówił to mrużąc oczy, ale Calaveras nie patrzył teraz nawet w jego stronę. Śmiał się.

— Musisz działać szybko, by inni nie zabrali ci jej sprzed nosa!

— Postaram się! — oczy Glena, na wpół przymknięte, ciskały gromy.

Kiedy bandyci znaleźli się na głównej ulicy White Hills, powtórzyła się historia, którą Glen już zaobserwował. Nieliczni przechodnie zaczęli szybko znikać w domostwach. Miasto opustoszało jak gdyby na umówiony sygnał.

Widocznie, mimo umowy, nie bardzo dowierzano tu Calaverasowi. Każde małe dziecko wiedziało, że to „Stepowe Wilki” i drżało na ich widok.

Niewątpliwe jak dotąd panował pokój i ludzie ci nawet dawali mieszkańcom White Hills niezłe zarobki, będąc najlepszymi klientami w sklepach i knajpach White Hills. Mimo to nurtował miasto niepokój: jak długo jeszcze będą trwały te idylliczne stosunki, czy pewnego dnia desperados nie wpadnie do głowy ogołocić i White Hills?!

Nie zdawali sobie jednak sprawy, jak blisko ziszczenia się były te ich domysły...

Poszczególni bandyci zsiadali przed swymi domostwami. Calaveras i Glen zsiedli przed eleganckim, jednopiętrowym domem.

Była to willa szefa bandy, „ranczera”, „hodowcy koni” i właściciela kopalń, Calaverasa.

— Ho, ho! — zaśmiał się szyderczo i z sarkazmem Calaveras. — Trudno, Robles, uwierzyć, jak łatwo jest oszukać ludzi! Ci mieszkańcy White Hills to głupia hołota!

Glen przytaknął skinieniem głowy. Nie powiedział jednak ani słowa. W milczeniu wniósł ciężką kasetę na werandę i postawił ją na stole.

— Gdzie mam ją zanieść? — powiedział wreszcie, wskazując na kasetę.

— Niech sobie tu stoi, Robles! Zostaniesz tutaj — masz przecież kolty, będziesz uważał na pieniądze! Ja muszę zaraz po śniadaniu pojechać do miasta.

Klasnął w dłonie. Natychmiast w drzwiach pojawił się mały Chińczyk. Calaveras wydał mu parę rozkazów. Po chwili zjawiła się mała indiańska dziewczyna i wniosła na tacy herbatę, za nią dreptał Chińczyk niosąc whisky.

Jakiś czas rozmawiał Calaveras z Indianką w nieznanym Glenowi narzeczu. Jedynie ze sposobu, w jaki patrzyła na szefa bandy, domyślił się Glen, że musi to być jego nałożnica.

Zasiedli wreszcie do śniadania.

Glen zdumiewał się ilością pochłanianych przez Calaverasa kieliszków whisky. Musiał również dla towarzystwa czynić teraz to samo, jakkolwiek nigdy nie był amatorem trunków.

Wychodząc Calaveras raz jeszcze zwrócił Glenowi uwagę, by pilnował kasy.

— Wprawdzie jest mało prawdopodobne, by ktoś odważył się tu, w White Hills; w biały dzień zrabować któremuś ze „Stepowych Wilków” kasę — mówił, klepiąc Glena, po ramieniu — ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

—O.K.! — odparł Glen.

Położył przed sobą na stole kolty i rozparł się swobodnie na bujaku.

— Aha! Jeszcze jedno — masz tu klucz od kasety gdyby któryś z chłopców chciał pieniądze — wypłać mu, ale nie zapomnij wziąć pokwitowania! Good bye!

Glen nasłuchiwał.

Zbliżała się niewątpliwie rozstrzygającą chwila!

Wstał i przepasał rewolwery.

Opanowało go jakieś dziwne uczucie, którego nie mógł się pozbyć. Raz po raz spozierał na leżącą na stole kasetę.

Calaveras miał niewątpliwie jakieś ukryte plany. Nie ulegało to dla Glena żadnej wątpliwości — mówił mu to jego instynkt, właściwy wszystkim ludziom Dzikiego Zachodu, którzy wychowywali się wśród niebezpieczeństw.

I teraz wietrzył jakieś poważne niebezpieczeństwo.

Nie było jednak rady. Musiał działać — i to natychmiast. Nie było ani chwili do stracenia. Szybkim ruchem wetknął klucz do zamka kasety — momentalnie drzwiczki odskoczyły.

Glen zajrzał z pośpiechem do jej wnętrza.

Jak przewidywał, była pusta. Tkwiły w niej tylko kamienie.

Glen nie wątpił już teraz — Calaveras chciał go przechytrzyć. Pieniądze miał zapewne przy sobie!

Tak, ale skoro nie wahał się zakpić z Glena, musiał widocznie już teraz realizować swe zamysły. Mimo woli obejrzał się. Tuż za nim stał Calaveras.

Widocznie wszedł przez jakieś tajemne drzwi. Zzuł nawet obuwie, by nie sprawić swymi krokami żadnego szmeru

— All right, Robles! — powiedział z diabelskim grymasem na ustach. Oczy jego błyszczały jakimś niesamowitym blaskiem. — Przechytrzyłeś, co?

— Well! — odparł całkiem spokojnie Glen.

Glen oparł się rękoma o krawędź stołu. Mózg jego pracował teraz błyskawicznie. Przemyśliwa nad sposobem i możliwościami ratunku.

— To zdrada, nieprawdaż, mister Robles?

Glen milczał.

— Wiesz jaka kara czeka zdrajcę?!

— To nie zdrada, to tylko po prostu wojenny wybieg!

— Wymówki! Jesteś zlikwidowany, Robles! Chciałbym dowiedzieć się jednak jeszcze czegoś, zanim wyślę cię w górne regiony, z których się już nie powraca. Odpowiesz?

— Z chęcią szefie!

Myśli Glena pracowały gorączkowo. Calaveras podszedł do niego. O to chodziło Glenowi.

— A więc, Robles, powiem ci, dlaczego nie dowierzałem ci od samego początku — widziałem cię w White Hills w dniu, w którym zamordowano Chessa. Podejrzewałem cię o to zabójstwo i mam po temu dość przyczyn — krótko mówiąc — uważam. cię za mordercę Chessa Shaerera!

— Jestem nim szefie! — odparł Glen.

Chciał sprowokować Calaverasa, by zbliżył się jeszcze bardziej.

Rzeczywiście — Calaveras podszedł jeszcze pół kroku.

— Wiedziałem o tym, Robles! Wiedziałem, że Chess miał przy sobie większą sumę pieniędzy, którą mu ty zrabowałeś. Obserwowałem cię! Nie jesteś łasy na pieniądze, nie jesteś nawet ciekaw, jaki jest twój udział w łupie. Zapomniałeś zupełnie o tym szczególe — dla mnie była to jednak wskazówka, że masz zupełnie inne zamiary! Jeśli ktoś zabija człowieka, by zdobyć jego pieniądze, nie wykazując jednakże zainteresowania dla zdobyczy, czyni to z innych, zapewne tylko jemu wiadomych względów. Chess zdeponował większą część pieniędzy u mnie — szukałeś więc ich u nas, nieprawdaż? Toteż wystawiłem cię na próbę. Wpadłeś, Robles! All right!

— All right! — przytaknął Glen.

— Wiec wszystko wyjaśnione?

— Tak myślę, szefie!

— Więc...

Nie zdołał wykrztusić więcej już ani słowa.

Glen czekał bowiem w napięciu tylko na odpowiednią chwilę, by unieszkodliwić Calaverasa. Wiedział, że Calaveras teraz strzeli. Nie wahał się już ani chwili. Był o ułamek sekundy szybszy. Oparł się o stół, przeginając równocześnie tułów wstecz. W następnej chwili Glen wyrzucił w powietrze nogi trafiając całą siłą Calaverasa w pierś. Zanim wódz bandy zdołał ochłonąć z oszołomienia, Glen skoczył i zwinnymi ruchami, wykręcił mu ręce. Calaveras nie zdążył nawet dotknąć cyngla. Z jękiem upadł bandyta na podłogę, wypuszczając z rąk rewolwer.

Calaveras nie był człowiekiem zdolnym do walki wręcz. Był fizycznie słaby. Umiał niewątpliwie przewodzić, ale imponował swym ludziom raczej zimną krwią i lotnością umysłu niż fizyczną krzepą. Bez koltów był jednakże bezradny.

Z trudem usiłował się wyrwać i podpełznąć do leżącej na podłodze broni. Ale Glen nie spuszczał go z oczu ani na chwilę. Mocnym kopnięciem w podbródek odrzucił go znowu na ziemię. Jak gdyby trafiony kulą, potoczył się bandyta w kąt werandy.

Glen nie namyślał się długo. Szybko pochwycił leżący na ziemi rewolwer bandyty.

Calaveras ogłuszony nie ruszał się wcale.

Glen odetchnął, Spokojny i opanowany, jak gdyby nic nigdy nie zaszło, poprawił zwichrzoną czuprynę.

Zastanawiał się, co począć z szefem bandy...

Nie mógł go dobić. Zresztą głośny odgłos strzału sprowadziłby mu na kark całe White Hills, co niewątpliwie popsułoby mu całkiem szyki.

Wahał się jeszcze chwilę, po czym zszedł z wolna do ogrodu. Musiał zatoczyć duży łuk, by dostać się do stajni.

W ogrodzie natknął się na Chińczyka krzątającego się koło jarzyn. Glen zatrzymał się chwilę obok niego i rzucił z uśmiechem parę słów, po czym wolnym krokiem podszedł do stajni. Jakaś przykucnięta postać na progu uniosła się. Był to Stetton.

Nie było to Glenowi zbytnio na rękę, nie wiedział przecież, czy Calaveras nie wtajemniczył w swe zamiary i innych. Było bardzo prawdopodobne, że Calaveras zostawił umyślnie Stettona przy stajni na straży.

Czyżby ten diabeł przewidywał aż tak dalece wszelkie ewentualności?!

Ale Stetton nie tknął nawet broni. Patrzył na Glena bezmyślnie. Był trochę pijany.

— Czego szukasz, Robles?!

— Zdaje się, że mam cię zluzować! — odparł Glen. — Burt jest teraz u szefa. Mówił mi, że mam cię zastąpić!

— Burt jest skończonym osłem — zaskrzeczał nieprzyjaźnie Stetton — dopiero przecież zluzowałem Jacka, ale możesz sobie tu zostać! Nudzi mi się i tak bez towarzystwa — nie lubię siedzieć i oglądać obłoki! Masz papierosa?!

— Poszukam.

Zamiast papierośnicy Glen dobył kolta.

Stetton w pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi. Zadarł głowę do góry i spozierał melancholijnie na snujące się po niebie śnieżne obłoczki.

Glen uderzył go kolbą rewolweru w czaszkę.

Kiedy bandycie wróciła przytomność, był już związany jak pakunek i z kneblem w ustach.

Glen rzucił go gdzieś pod płotem.

Bez chwili zwłoki wszedł Glen do stajni, rozglądając się za uprzężą. Znalazłszy ją, szybko osiodłał swego kasztanka i ostrożnie wyprowadził go na dwór. Jeszcze chwilę zatrzymał się na progu i nasłuchiwał. Z daleka dochodził go śmiech indiańskiej dziewczyny i skrobot jak gdyby mytego naczynia. Głosy te dochodziły gdzieś z suteren.

Glen skoczył na konia.

W kilka minut znalazł się na głównej ulicy White Hills. Głucho dudniły kopyta jego konia.

W oknach i drzwiach poszczególnych domostw widać było liczne twarze. Doleciał go jakiś znajomy głos.

— Robles! Stój do diabła! Dokąd pędzisz?!

Był to widocznie ktoś z bandy „Stepowych Wilków”, nie speszyło to jednak Glena — bandyta mógł przypuszczać, że jedzie z polecenia szefa.

Znalazłszy się przy ostatnim domostwie zawołał:

— June! June Farley! Pastorze!

W oknie ukazał się stary Farley.

Po chwili pokazała się j June, biegnąc do ogrodowej furtki. Gdy poznała Glena, stanęła jak wryta. Coś podcięło jej nogi. Nie mogła ruszyć z miejsca. Oczy jej spoglądały na Glena nienawistnie! Chciała zawrócić. Ale w głosie Roblesa zadrgało coś, co zmusiło ją do wysłuchania go.

— June! — zawołał. — Nie mam czasu na wyjaśnienia! W każdym razie ukryj się wraz z ojcem!

June podeszła teraz gniewnie jeden krok. Na jej obliczu malowały się ból i pogarda.

— Nie widzę powodu ukrywać się! — odparła dumnie.

— June! — krzyczał zrozpaczony Robles. — Nie mam ani chwili do stracenia. Jesteś w niebezpieczeństwie podobnie jak i twój ojciec...

— Ani ja, ani mój ojciec nie uczyniliśmy nikomu nic złego, a zresztą potrafimy się bronić, Mr Robles!

— June! Na miłość boską, June! „Stepowe Wilki” planują napad. Jadę po odsiecz, zanim nie będzie za późno!

— Po odsiecz! Pan po odsiecz? Widziałam przecież sama pana w towarzystwie „Stepowych Wilków”! Glen! Nie wierzę panu ani słowa! Pan usiłuje podejść mnie i mego ojca.

Głos załamał się i łzy spłynęły po jej pięknej twarzy.

Glen obejrzał się poza siebie. Nie puszczając cugli zawołał:

— June! Na moją wielką miłość, zaklinam cię na wszystko, co mam najświętszego... June, wierz mi — nie mam teraz czasu tłumaczyć ci, co zaszło, ale błagam cię ukryj się!

— A pan? —zapytała June z całym brakiem logiki zakochanych.

Walczyła ze zwątpieniem. Sama nie wiedziała, co sądzić. Fakt, że widziała Glena w towarzystwie „Stepowych Wilków” nie dawał jej spokoju, lecz mimo to podświadomie ufała mu. Znała zresztą Glena i wiedziała, że brzydził się kłamstwem.

Nagle do uszu June doleciał odgłos kopyt końskich.

Glen obejrzał się.

Zawołał raz jeszcze:

— June! June! Wierz mi — niebezpieczeństwo...

Szarpnął cugle i pognał jak wicher.

Trwoga ogarnęła nagle June.

— Wierzę ci, Glen, wierzę — szeptała zbielałymi i wargami.

Rozległy się strzały.

Zdołała jeszcze tylko dostrzec, jak Glen pchnął konia ostrogami i znikł za zakrętem. Widziała teraz, jak na gościńcu pojawiła się grupa ścigających go „Stepowych Wilków”. Nie było teraz żadnych wątpliwości, że Glen mówił prawdę!

Glen wiedział, że musi za wszelką cenę sprowadzić odsiecz, w przeciwnym bowiem razie June i jej ojciec będą zgubieni.

Musiał się śpieszyć, by zdążyć jeszcze na czas z odsieczą do White Hills! Miastu groziła wszakże zupełna zagłada!

Na domiar złego nie udało mu się ujść uwagi „Stepowych Wilków”, które teraz będą zapewne miały się na baczności! Trudno, nie było rady!

Calaverasowi wróciła widocznie przytomność szybciej, niż Glen mógł przypuszczać. Robles myślał teraz o szeryfie Wolsonie! Przy odrobinie szczęścia powinien się był nań natknąć — gorzej przedstawiałaby się sprawa, gdyby Wolson zaniechał pościgu!

Z tyłu raz po raz padały strzały. Kasztan Glena był jednak szybszy. Dystans między Roblesem a jego prześladowcami wzrastał coraz bardziej.

Był to pościg o życie.

Gdyby „Stepowe Wilki” dopadły Glena lub zdołały się przynajmniej zbliżyć na odległość strzału — los Roblesa byłby przypieczętowany.

Nie mógł teraz polegać wyłącznie na szybkości swego konia. Zatoczył łuk na południe, przekroczył jakieś wyschłe łożysko potoku, po czym zawrócił na północ.

Strzały milkły gdzieś daleko w oddali.

Jeszcze jakieś pół godziny morderczej jazdy i Glen znalazł się na drodze wiodącej do Wygdane.

Upłynęła spora godzina, gdy Glen dotarł wreszcie przed domostwo szeryfa. Zaczął pięścią tłuc w zamknięte drzwi.

Szeryf otworzył okno znajdujące się na pierwszym piętrze.

Wolson wiedział, że „Stepowe Wilki” będą odtąd jego najzacieklejszymi wrogami, toteż nie kwapił się z otwarciem drzwi nieznanemu przybyszowi. Wietrzył jakiś podstęp. Miał jakieś dziwne uczucie, że widział już gdzieś tę twarz. Na szczęście dla Glena nie mógł przypomnieć sobie gdzie.

— Czego pan chce? — zapytał swym basowym głosem.

— Muszę z panem natychmiast się rozmówić — odparł Glen— chodzi o „Stepowe Wilki”.

Wolson drgnął.

— „Stepowe Wilki”?

— Well, myślę, że opłaca się panu zejść na dół!

— Już idę! Niech pan poczeka!

Po chwili w drzwiach pojawił się szeryf. W ręce jego czernił się groźnie kolt. Wyraz jego twarzy nie wzbudzał teraz u Glena zbytniego zaufania.

— Niech pan przywiąże swego konia i wejdzie ze mną — powiedział szeryf. — Proszę mi nie brać za złe, że witam pana z bronią w ręku, ale czasy są teraz bardzo niepewne!

Glen przywiązał konia do stojącego opodal słupa telegraficznego.

Wolson nie spuszczał z niego oczu.

Wreszcie weszli do domostwa.

Glen usiadł.

Był śmiertelnie znużony i z lubością wyciągnął zdrętwiałe nogi.

— A więc szeryfie! Nie będę tracił wiele czasu na opowiadanie, proszę jednak pozwolić mi mówić do końca i nie przerywać — nawet gdyby niejedno wydało się panu dziwne...

— Well, proszę mówić!

Oczy Wilsona miały twardy wyraz, przeszywały Glena na wylot.

— Zwracam, panu na jedno jednak uwagę zastrzegam sobie zupełną swobodę ruchów i możność wyciągnięcia konsekwencji z tego co pan powie — ciągnął dalej zimno Wolson. — Nie jestem przekupnym

urzędnikiem — przypuszczam, że kolt w mej dłoni nie krępuje pana zbytnio?

— Bynajmniej, o ile tylko nie pociągnie pan przez omyłkę za cyngiel — odparł ze śmiechem Glen. — Chyba nie jest pan nerwowy, szeryfie?

— Jak dotąd — nie! No, ale mów pan wreszcie, u licha, o co chodzi?

— Więc proszę słuchać: po pierwsze — brałem udział w napadzie na bank...

Wprawdzie Wolson zapewniał, że nie jest nerwowy — jednakże palce drgnęły mu na cynglu.

— Pan brał udział w tym napadzie rabunkowym? Teraz już wiem, dlaczego twarz pańska wydała mi się znajoma!

— Zapewne! Proszę słuchać dalej. Musiałem to zrobić, by dopiąć celu!

— Zrabować pieniądze?!

— Nie, o to nie chodziło mi bynajmniej, musiałem jednak za wszelką cenę pozyskać zaufanie „Stepowych Wilków”. Jeden z tych drabów postrzelił mnie rabując pieniądze — i to nie moje w dodatku...

— Hm!

— Nie wierzy pan! Nie ma pan racji — nie po to przyjechałem do pana, by odgrywać komedie. Chess Schearer zrabował pieniądze powierzone mi przez moich towarzyszy — robotników drogowych... Przy tej okazji stwierdziłem, że jest członkiem bandy „Stepowych Wilków” — kiedy jednak dobrałem się wreszcie do jego skóry okazało się, że nie ma pieniędzy przy sobie...

Glen zaczął obszernie wywodzić, w jaki sposób znalazł się w obecnej sytuacji.

Poinformował następnie szeryfa o zamachu, jaki planują bandyci w White Hills, podkreślał przy tym, że pośpiech jest nieodzowny, zwłoka w działaniu mogła bowiem spowodować nieuchronną zagładę miasteczka.

Wolson słuchał cierpliwie.

Nagle zapytał Glena.

— Dlaczego akurat zwrócił się pan do mnie, skoro chodzi przecież o White Hills? Zdaje się, że to należy raczej do kompetencji szeryfa Jeffriesa?!

— Jeffriesa? Wiadomo panu przecież, że szeryf Jeffries zawarł z bandą „Stepowych Wilków” coś w rodzaju przymierza. Chciał mnie nawet przymknąć, domyślając się, że sprzątnąłem tego Chessa Shearera.

— No, że w White Hills jest coś nie w porządku, wiedziałem od dawna!

Glen opowiedział teraz, jak załatwił się z Jeffriesem.

Wolson z zadowoleniem trzasnął pięścią w stół.

— Więc wszystko O.K.! Do rana zbiorę pościgową drużynę i zobaczymy potem, co się da zrobić. Pod wieczór możemy już być w White Hills! Już moja w tym głowa, byśmy na czas znaleźli się na miejscu! Jakem Wolson! Pomyśl człeku o premiach, jakie nas czekają za przychwycenie tych łotrów!

Glen machnął ręką.

— Jeśli o to idzie — powiedział zimno Robles — nie reflektuję na nie. To pańska sprawa — pan jest szeryfem. Jest pan po to, by łapać bandytów i brać premie!

Wolson nie miał nic przeciwko, takiemu postawieniu sprawy. Wstał i podszedł do szafy.

Po chwili powrócił z dwiema szklankami i flaszką whisky.

— Przy. szklance whisky rozmawia się łatwiej — powiedział. — Proszę mi teraz opowiedzieć wszystko szczegółowo.

Opowiadanie ograniczyło się jednak do wypróżnienia parokrotnie sporych szklanic whisky. Widocznie szeryf Wolson często czerpał swe natchnienie ze szklaneczki...

— Poślę do White Hills jeźdźca, który powiadomi mieszkańców o naszych zamiarach i o tym, że jutro będzie gorący dzień!

— To mogę zrobić sam najlepiej — powiedział zdecydowanie Glen. — Zostawię mego konia u pana, a pan szeryfie, postara mi się na razie o innego. Jutro rano wyjadę wam naprzeciw i wskażę dogodne miejsce na zasadzkę!

— Chce pan teraz wracać do White Hills?! — zdumiał się Wolson.

— Tak, bezzwłocznie! Zjadłbym chętnie jednak dobrą sztukę mięsa!

— Ja również — powiedział Wolson — powiem zaraz, by przygotowali kolację!

Wolson wyszedł.

Glen pozostał sam. Do uszu jego dobiegały jakieś głosy. Z kuchni zalatywał zapach smażonego mięsa. Po kilku minutach powrócił szeryf.

— Jeszcze dziesięć minut cierpliwości, Mr Robles, i dostaniemy pyszną kolacyjkę — wieprzowinka, że palce lizać!

IX

Gdy zasiedli do kolacji, Glen zaczął dopytywać się o zdrowie kasjera banku. Wolson pocieszył go, że kasjer, ochłonął już z nerwowego szoku i ma się dobrze. Kolacja szybko dobiegła końca.

Glen z zadowoleniem wytarł serwetą usta. Poczuł przypływ energii i sił. Gotów był ruszyć natychmiast w drogę. Okazało się jednak, że nie było bynajmniej łatwą rzeczą znalezienie dlań odpowiedniego konia. Po dobrej półgodzinie powrócił wreszcie Wolson z jednym człowiekiem, który prowadził za uzdę chudego ogiera, jakiegoś mieszańca indiańskiego mustanga i arabskiego siwka. Nawet największy idealista nie potrafiłby dopatrzeć się w tym rumaku piękna, ale za to koń posiadał silne pęciny.

Gdy Glen ujrzał konia, który w dodatku wydał mu się narowisty, nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu.

— Myślę, że da pan sobie radę z tą bestią — powiedział Wolson.

— Well! — przytaknął Glen.

Wolson udzielił Glenowi jeszcze parę rad, wskazując najkrótszą drogę, po czym rozpoczęło się wspaniałe rodeo.

Ogier o szumnym imieniu Remus wykrzesywał cały snop iskier z kamiennego bruku. Kręcił się jak balerina, wyrzucając równocześnie przednie nogi jak bokser na ringu. Glen nie namyślał się jednak długo i wskoczył na siodło. Remus porwał się. Każdy inny jeździec byłby z pewnością znalazł się na ziemi z połamanymi kośćmi, ale Glen trzymał się mocno. Rumak poczuł ostrogi jeźdźca.

— Pierwsze dwie godziny pełnym galopem! — wołał Wolson odskakując na bok.

Glen nie zważał jednak na szeryfa, koń pognał teraz bowiem jak szalony głównym traktem. Ten kowboj umiał jeździć! Żelazną siłą swych ud zmuszał konia do posłuchu. Szczęściem — ulice były teraz niemal zupełnie puste. Nie wiadomo bowiem, czym by skończyły się harce niesfornego konia, gdyby na drodze pojawił się jakiś spóźniony przechodzień.

Remus gnał jak burza.

Glen uśmiechał się.

Był zadowolony z tego dzikiego ogiera. Zależało mu jak nigdy na pośpiechu.

Myślami był teraz już przy June. Miał nadzieję, że odsiecz nie przyjdzie za późno. Zapomniał o właściwym swym celu, o tym, że ma odebrać zrabowane pieniądze robotników... Wszystko to było dlań teraz takie odległe!

Myślał uporczywie tylko o jednym:

— June jest w niebezpieczeństwie!

By dotrzeć do White Hills, musiał Glen skręcić z gościńca i jechać na przełaj przez pastwiska.

Droga wiodła teraz przez rozmokły, bagnisty teren pocięty rowami. Glen zmuszony był dokładać wszelkich starań, by nie ugrzęznąć gdzieś w szlamie.

Natknął się na trzodę. Jakieś cielę zabiegło drogę, ale Remus ani myślał je wyminąć. Kopnął je w pędzie gnając dalej.

Tak upłynęła godzina, dwie, trzy...

Remus pędził ciągle jeszcze jak opętany, widocznie była to dlań nie lada okazja. Ale Glen nie miał zamiaru skręcić karku. Teren stawał się coraz uciążliwszy, pełen wzniesień i rozpadlin. Robles starał się przyhamować zwierzę, które mimo iż skóra jego była pokryta pianą, nie wykazywało żadnych oznak znużenia.

Z Wygdane do White Hills był spory kawał drogi. Uzbrojony oddział kawalerzystów mógłby pokonać tę przestrzeń najwcześniej w siedem godzin. Remus dokonał tego wyczynu w pięć, a co dziwniejsze — wykazywał jeszcze ciągle ochotę do wierzgania.

Glen natomiast był śmiertelnie znużony.

Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin nie spał ani chwili, a parominutowej drzemki w domostwie szeryfa nawet największy optymista nie mógłby określić mianem snu. Jakaś fala znużenia zalewała mu mózg, coś jak gdyby trucizna paraliżowało mu ruchy. Odczuwał zawroty głowy.

Na horyzoncie wyłoniły się pierwsze budynki White Hills.

Glen zmuszał się, by przezwyciężyć zmęczenie. Ogarnęła go znów wściekłość. Nie usiłował nawet się kryć, lecz jechał prosto gościńcem.

Przed hotelem Basleya, Remus zaczął znowu wierzgać kopytami. Z trudem tylko udało się Glenowi uwiązać go przed wejściem do zajazdu.

Kiedy zziajany wstąpił wreszcie na schody, ujrzał nagle wymierzone w siebie lufy rewolwerów.

To co nastąpiło, rozegrało się w okamgnieniu!

Jeszcze przez długie lata później rozprawiano o tym w Wbite Hills.

Tak się złożyło, że w chwili, gdy Glen zsiadał z konia, ulicą przechodził Jeffries. Jeszcze bardziej niż narowisty koń Glena zdumiało przechodniów zachowanie się szeryfa.

Jedną rękę miał Jeffries na temblaku. W pierwszej chwili, gdy spostrzegł człowieka, który go tak haniebnie oporządził, usiłował uciec. Opanował się jednak. Podczas gdy Glen borykał się ze swym koniem, szeryf blady jak kreda dobył zdrową ręką kolta. Ręka drżała mu. Zaszedł Glena z tyłu.

Przez ułamek sekundy patrzył Glen w wymierzoną weń lufę rewolweru, po czym błyskawicznie padł na ziemię.

Jeffries nie zdążył cofnąć już cyngla.

Padł strzał, lecz kula przeszła ponad głową Glena, który leżąc na ziemi dobył broni.

Jeffries widząc, że jego strzał chybił, dał za wygraną i z przerażeniem czekał, co teraz nastąpi. Był pewny, że zanim zdąży po raz drugi pociągnąć za cyngiel, będzie trupem.

Toteż zdumiał się niezmiernie, gdy oczekiwany strzał nie nastąpił.

Wokoło rozległy się śmiechy.

— Schowaj się, ty idioto! — wołał ktoś z gapiów.

Jeffriesowi z przerażenia wypadła broń z ręki.

Teraz dopiero huknął rewolwer Glena.

Wszyscy którzy przyglądali się temu dziwacznemu pojedynkowi myśleli, że Jeffries nie żyje, ale wrzask jaki wydobył się z jego gardzieli nie był jękiem konania.

— Boże! Moje kolano! — krzyczał Jeffries.

Kula Roblesa zdruzgotała mu kość goleniową.

Glen schował spokojnie rewolwer, po czym zwrócił się do otaczających go ludzi:

— Myślę, że nie będzie już mógł teraz wyczyniać swych bandyckich harców i być zakałą szeryfów!

— Słyszysz Jeffries? — rozległy się złośliwe głosy.

Glen roześmiał się ponuro.

Śmiech ten przenikał swą grozą do szpiku kości.

— Poddajesz się, Jeffries?!

W odpowiedzi Jeffries wyrzucił z siebie stek wyzwisk i przekleństw.

— Poddajesz się? — ponowił swe pytanie Glen.

— Nie! — krzyczał, wijąc się z bólu Jeffries.

Jakaś wściekła odwaga wstąpiła weń nagle. Zaczął strzelać.

Jedna z jego kul trafiła stojącego opodal konia. Remus padł, wierzgając w konwulsjach kopytami.

Gdy Jeffries wystrzelał cały swój magazynek, wyjął Glen spokojnie znowu rewolwer i pochylony do przodu podszedł do leżącego na ziemi wroga i strzelił doń trzykrotnie.

— Masz łotrze! Hańbo White Hills! — zawołał.

Na twarzach widzów widać było mieszane uczucia strachu i chęci walki. Typowa, niebezpieczna odwaga tchórzów...

Glen inaczej wyobrażał Sobie przyjęcie w White Hills: Chciał być zbawcą tych ludzi, a ci tymczasem patrzyli nań jak na dawno poszukiwanego mordercę.

Glen Robles rzadko popadał we wściekłość. Jego stosunek do życia cechowała raczej spokojna ironia i jakby rodzaj fatalizmu, kiedy jednak coś wzburzyło mu krew, nie panował nad sobą. Odzywał się w nim instynkt dawnych pionierów amerykańskich zdobywających w ciągłej walce z Indianami nowe osiedla.

Mieszkańcy White Hills otoczyli Glena półkolem. Prawie wszyscy byli zwolennikami szeryfa, toteż piersi ich dyszały żądzą zemsty, ale nikt z nich nie miał odwagi wystąpić pierwszy.

Każdy gotów był sięgnąć po broń, o ile ktoś inny dałby przykład. Patrząc jednak na Glena, odchodziła im i do tego ochota.

Wyglądał strasznie. Na czoło wystąpiły mu nabiegłe krwią żyły, a twarz zalewała mu purpura. W obu jego rękach czerniły się gotowe do strzału kolty.

Gapie nie ośmielili się zaczepić go i ustępowali mu z drogi.

Glen nie spuszczał ich z oczu i cofał się tyłem. Wiedział, że tego rodzaju ludziom nie można było dowierzać. Nie byli to wprawdzie bandyci w rodzaju „Stepowych Wilków”, ale tchórzliwi mieszczanie umiejący strzelać tylko zza płotu.

Znalazł się teraz w trudnej sytuacji.

Musiał za wszelką cenę przestrzec zwolenników Farleya. Ale jak to zrobić? Na domiar złego nie miał teraz konia, a jako prawdziwy westman — czuł się bez ogiera jak człowiek bez ręki.

Ulica pustoszała.

Glen nie dał się jednak wprowadzić w błąd. Słyszał jakieś podejrzane szmery. Gdzieś widocznie w pobliżu zbierali się ludzie.

Myślał jednak teraz nie o grożącym mu niebezpieczeństwie, lecz o June.

Gdzie „Stepowe Wilki”? Dlaczego nie było nigdzie widać żadnego z desperados? Nie ulegało wątpliwości, że „Stepowe Wilki” będą działać wedle z góry ułożonego planu.

Nagle w głowie Glena zaświtała myśl. Może Calaveras celowo bawił się z nim w chowanego, może umyślnie czekał, aż zwolennicy Jeffriesa załatwią się z Glenem? Było przecież wykluczone, by w dużej grupie ludzi, która przypatrywała się jego walce z szeryfem, nie było ani jednego człowieka z bandy Calaverasa!

W szybkich susach usiłował Glen dopaść do domu pastora Farleya.

Plan „Stepowych Wilków” wydawał mu się dość przejrzysty. Calaverasowi byłoby bardzo na rękę, gdyby zwolennicy Farleya wzięli się za łby z ludźmi Jeffriesa — to ułatwiłoby mu w znacznej mierze zadanie. Przypuszczalnie łatwo znalazłoby się coś, co mogłoby wywołać walkę między obu stronnictwami. Glen nie mógł jednak w żaden sposób dociec, co będzie bezpośrednim powodem tego starcia. Jedno wiedział z pewnością — mówił mu to jego instynkt — za wszelką cenę musiał się znaleźć, i to natychmiast, w domu pastora Farleya.

Strzelanina jaka miała miejsce przed zajazdem Basleya i śmierć Jeffriesa poruszyła lotem błyskawicy całe miasto. Zwolennicy Farleya na wieść że Jeffries nie żyje postanowili działać. Niestety, byli w pewnej mierze skrępowani przysięgą złożoną Farleyowi, że nie będą przelewać krwi ludzkiej, a nadto nie było ich dużo.

Glen znajdował się już blisko domu Farleya, gdy znowu padły strzały.

Obejrzał się.

Głównym gościńcem ciągnęła teraz bezładna masa ludzka.

Roześmiał się sarkastycznie.

Byli to ludzie Jeffriesa, którzy nie mając nawet odwagi zbliżyć się doń na odległość strzału, strzelali na oślep — ot tak, dla dodania sobie odwagi i dla hałasu! Ich przewaga liczebna była jednak olbrzymia.

Glen zaczął biec.

Okrzyki stawały się coraz głośniejsze i wkrótce zlały się w groźny wrzask.

Znalazłszy się już tylko parę kroków od domostwa Farleyów, Glen przystanął.

Odwrócił się.

Ścigająca go masa zatrzymała się również — umilkły okrzyki.

Zapanowała jakaś groźna cisza. Była to głucha cisza przed burzą.

Glen rozejrzał się wokoło.

Biegnąc wzdłuż domu pastora mógł pod jego ochroną z łatwością dopaść pobliskiego wzgórza. Jakieś pięćdziesiąt kroków dalej znajdował się las, który mógł mu dać tymczasowe schronisko.

Miał możność tu spokojnie przeczekać, aż zjawi się Wolson ze swą drużyną, a gdyby nawet i „Stepowe Wilki” rozpoczęły nań teraz nagonkę, nie tak łatwo byłoby go pojmać. Amunicji miał pod dostatkiem, a kolty jego działały sprawnie.

Tak, ale co będzie z June?

Nagle usłyszał cichy szept.

Podniósł głowę.

W oknie pojawiła się słodka twarz June.

— Proszę nie patrzeć w tę stronę — mówiła cicho — by ludzie nie zwrócili uwagi, że rozmawiam z panem! Nie patrz w okno, Glen! Proszę szybko pobiec wzdłuż płotu — nikt cię nie zobaczy... Od strony stepu brak w ogrodzeniu kilku żerdzi — przeleziesz przez tę dziurę i znajdziesz się wśród słoneczników, potem przez tylne drzwi wejdziesz do domu! Szybko, Glen!

Glen wahał się.

Nie chciał uwikłać June w jakąś awanturę. Po chwili zastanowienia doszedł jednak do wniosku, że tak jak radziła dziewczyna będzie najlepiej. Przecież wieczorem mieli na White Hills napaść bandyci!

Mimo to jednak nie opuszczały go wątpliwości.

Zwolennicy Jeffriesa byli wrogami pastora i przypuszczalnie nie zawahaliby się zaatakować jego mieszkania, gdyby wiedzieli, że ukrywa tam Glena.

Nie było jednak wyboru. Prześladowcy Glena zbliżali się coraz bardziej.

Robles w kilka sekund znalazł się u tylnych drzwi budynku

W drzwiach czekała nań June.

— Mój Boże! Co się stało, Glen?! — pytała zatroskanym głosem.

— Nic takiego, za co nie mógłbym wziąć odpowiedzialności! — odparł wymijająco Glen.

Stali chwilę w milczeniu.

Krzyki były coraz głośniejsze, lecz po paru minutach oddaliły się. Podstęp się udał. Prześladowcy Glena nie przypuszczali, że ukrył się tutaj. Byli pewni, że zbieg schronił się w pobliskim lesie.

Przechodząc jednak obok zabudowań Farleya, zwolennicy Jeffriesa wznosili przeciwko pastorowi wrogie okrzyki, obrzucając również i June stekiem obelg.

June spuściła głowę. Była blada jak śmierć.

Mimo woli położyła dłoń na ramieniu Glena. Był to instynktowny odruch dziewczęcia szukającego męskiej opieki.

Robles uśmiechnął się. W tej chwili poprzysiągł sobie raz jeszcze, że będzie czuwał nad June całe życie.

June opanowała się jednak szybko.

— Chodź! — szepnęła do Glena, wciągając go na schody. — Idź na górę i ukryj się na poddaszu!

Robles zaśmiał się głośno.

— June — ja mam się kryć na poddaszu? Czy wyglądam na takiego, który potrafi tkwić w kryjówce?

Spojrzała nań błagalnym wzrokiem.

— Gdzie twój ojciec, June?

— Nie ma go tutaj! Jest teraz u chorego — lepiej zresztą, by nie wiedział o tym, co zaszło. Jest przeciwnikiem przelewu krwi!

— Och, June! Nic nie mogę na to poradzić — przysięgam ci, że pierwszy zostałem zaatakowany!

Znów doleciały ich okrzyki.

— Boże! — zawołała June. — Całe miasto się zbuntowało! Słuchaj!

Nie przesadzała.

Słychać było okrzyki wielotysięcznej masy.

— Musisz natychmiast sprowadzić ojca, June! Muszę z nim pomówić. Chodzi o jego i twoje życie, a także o życie tych durniów!

— Pójdę po ojca! To niedaleko — zaraz wrócę!

Zarzuciła na plecy szal i chciała wybiec. Glen powstrzymał ją nagle.

— Proszę powiedzieć mi, gdzie jest pani ojciec?

Nie zdawał sobie sprawy, dlaczego zaczął znowu do niej mówić „pani”.

— Nie, nie! Nikt nie zrobi mi nic złego! Nikt mnie przecież...

Urwała i wybiegła zatrzaskując za sobą drzwi.

Glen został sam.

Opadł znużony śmiertelnie na krzesło. Momentalnie ogarnęła go senność. Usiłował z nią walczyć — bezskutecznie.

Jak przez mgłę patrzył na wiszące w czarnych ramkach fotografie. Były to rodzinne zdjęcia June.

Wzrok jego zatrzymał się na małym stoliku, na którym widniał rysunek. Przypuszczalnie skreśliła go sama June. Przedstawiał on młodego człowieka w ubraniu kowboja. Glen zdumiał się. Kowboj ten był bliźniaczo podobny do niego...

Nie myślał więcej. Zmorzył, go sen.

Obudził go jakiś hałas.

Siedział jeszcze parę chwil w bezruchu. Nie zdawał sobie dokładnie sprawy, czy śni, czy rzeczywiście słyszy jakieś okrzyki.

Nie miał pojęcia, jak długo spał w tej pozycji. Znużenie nie opuściło go jeszcze.

Rozejrzał się wokoło.

June nie było.

Walcząc ze zmęczeniem wstał i zawołał:

— June!

Ale znikąd nie było żadnej odpowiedzi.

Przeszedł do drugiego pokoju.

I tu nie było nikogo.

Na korytarzu dostrzegł drabinę prowadzącą na poddasze. Wspiął się po niej szybko i otworzył okienko znajdujące się w pułapie. Wydostał się na dach. Roztaczał się stąd rozległy widok.

Glen wyjął lornetkę polową uwieszoną u pasa i zaczął penetrować okolicę.

Nagle dostrzegł June.

Szła ulicą sama.

Po przeciwległej stronie ujrzał natomiast coś, co wprawiło go w zdumienie. Grupa dwudziestu jeźdźców zbliżała się wolno do znajdującego się na wzgórzu lasku.

Glen zaśmiał się. No, tam mogli go sobie spokojnie szukać!

Niespodziewanie huknęły z lasku strzały. Jeźdźcy zaczęli uciekać.

Zdumienie Glena ustąpiło miejsca przerażeniu, gdy w ludziach, którzy wyłonili się z lasku rozpoznał „Stepowych Wilków”.

Mieszkańcy White Hills, którzy w przeświadczeniu, że Glen ukrył się w lesie szukali go na wzgórzu, padali teraz pokotem pod gradem kul bandytów. Ci, którym udało się zbiec zapomnieli o tym, że mają również karabiny. W panicznym popłochu biegli w stronę miasta. Wiedzieli już

teraz, że miasto ich wydane jest na zagładę. Tchórzliwi i zdemoralizowani, nie śmieli nawet stawiać oporu „Stepowym Wilkom”.

Fala uciekających zmiotła i June.

Dopiero po chwili dojrzał ją przyciśniętą do płotu.

Upłynęło jeszcze parę minut i June zdyszana wbiegła do domu.

— Ojciec nie mógł pójść — ten chory umiera — ojciec udziela mu teraz ostatnich sakramentów!

Glen nie schodząc z drabiny kazał jej zaryglować drzwi i zabarykadować okna. Sam zaś przyglądał się w dalszym ciągu temu, co działo się na ulicy.

Mieszkańcy White Hills ochłonąwszy nieco z przerażenia zaczęli wznosić barykady i kryć się za nimi.

Calaveras znajdował się wśród swoich ludzi i gestykulował żywo. Widocznie nie wszystko szło po jego myśli.

Glen zaczął rozglądać się po okolicy.

W pierwszej chwili sądził, że może zjawiły się już przednie straże pościgowej drużyny Wolsona. Było to jednak wykluczone. Nagle przypomniał sobie, że Calaveras. rozkazał jednemu ze swych ludzie by sprowadził Turkeya z jego bandą. Ludzie ci widocznie oczekiwali w lasku rozkazów Calaverasa. Kiedy Turkey dostrzegł zbliżającą, się grupę uzbrojonych jeźdźców, w przekonaniu, że plany Calaverasa zostały odkryte, rozpoczął strzelaninę. Być może podejrzewał nawet zdradę.

To przedwczesne wystąpienie Turkeya nie mogło być Calaverasowi na rękę. Dało to bowiem czas mieszkańcom White Hills, którzy pozostali w centrum miasta, uzbroić się i przygotować obronę.

Upłynął kwadrans.

Glen zszedł na dół.

Uśmiechnął się patrząc, jak June barykadowała okna.

— Dobrze, dzielna June! — zawołał.

Spojrzała nań wdzięcznym wzrokiem. Dopiero teraz spostrzegła jego sczerniałą i wychudłą twarz.

Wzruszenie owładnęło nią całą.

Glen wrócił znowu na swój punkt obserwacyjny.

Bandyci zbliżali się do domostwa Farleya. W odległości jakichś pięćdziesięciu metrów zsiedli z koni. Ruszyli teraz naprzód szeroko rozciągniętą tyralierą.

Zbliżała się decydująca chwila!

Na horyzoncie nie było ani śladu pościgowej drużyny Wolsona!

Słońce miało się już ku zachodowi, mimo to mogło upłynąć jeszcze sporo czasu nim pojawiłaby się odsiecz.

Glen szukał miejsca, gdzie poprzednio widział Calaverasa — jednak na próżno: Zarówno on, jak i jego ludzie zniknęli, jak gdyby zapadli się pod ziemię.

Odruchowo spojrzał na willę Calaverasa i dostrzegł, że barykadowano w niej od wewnątrz okna. Zrozumiał teraz wszystko. Zaskoczony wypadkami Calaveras zmienił widocznie plan. Nie mogąc już zapobiec przedwczesnemu atakowi Turkeya, postanowił rozsadzić obronę White Hills od wewnątrz.

Niebawem rozległy się strzały.

Część desperados zawadziła teraz o dom Farleya.

Z ust June wyrwał się stłumiony okrzyk przerażenia.

Równocześnie usłyszał Glen gwizd kul i brzęk tłuczonych szyb.

W kilku skokach znalazł się Glen na dole i przystanął we framudze okna zabarykadowanego materacami. Wydobył swój rewolwer i poprzez szczelinę okiennicy wyjrzał na dwór.

Zobaczył, jak kilku bandytów skradało się pod płot.

Robles pociągnął za cyngiel. Wystrzeliwszy cały magazynek, naładował swą broń na nowo. Na ulicy wiło się w konwulsjach czterech desperados. Reszta rozbiegła się.

Glen zawołał donośnym głosem

— Przeliczyliście się, moi panowie! Nie tędy droga! Zanim wzejdzie księżyc, będziecie, wszyscy wisieć na latarniach White Hills!

W odpowiedzi usłyszał wyjące głosy.

Glen zdjął pas z amunicją i podał go June:

— Mała June! Ładuj kolty, ilekroć ci powiem!

— Dobrze! — odparła June.

Cała jej postać drżała.

— Mamy jeszcze dwa karabiny — Tommy'ego i Maca — zdaje się, że znajdą się i naboje — powiedziała.

Robles nie odpowiedział.

Jego kolty pracowały bez przerwy, a z ulicy dolatywały coraz to nowe okrzyki wściekłości.

Na chwilę umilkło wszystko.

— Dobrze, little June! Przynieś je! — zawołał Robles.

Głos jego był spokojny, niemal obojętny.

Tylko oczy jego rzucały niesamowity blask.

Uśmiechnął się. June z dużym wysiłkiem odwzajemniła ten uśmiech.

Chciał powiedzieć jej coś miłego, lecz właśnie w tej samej chwili gwizdnęła mu nad uchem kula. Posypał się grad zbitego szkła.

Turkey i jego ludzie zorientowali się, że obecnie grozi im największe niebezpieczeństwo ze strony przeciwnika, który zabarykadował się w domostwie Farleya. Postanowili więc za wszelką cenę unieszkodliwić najpierw tego wroga.

Sześciu ludzi Turkeya podpełzło aż pod sam płot. Dawało to im pewną osłonę, gdyż płot był zrobiony z szerokich desek. Ułatwiało im to regularne ostrzeliwanie okien.

— Daj mi karabin, June! — zawołał Robles. — Karabin, szybko!

Strzelając lewą ręką z kolta, wyciągnął nie odwracając się drugą w tył.

June podała mu strzelbę.

Glen przeczekał spokojnie, aż dymek wystrzału za płotem się rozwiał, po czym strzelił. Nie starał się nawet celować w głowę przeciwnika, skierował wylot lufy swego winchestera wprost w parkan na wysokość piersi strzelca. Druga smuga dymu posłużyła mu znowu za cel.

Dwa głośne jęki potwierdziły słuszność jego obliczeń. Stalowe pancerze kul karabinowych przeszły deski, trafiając ukrytych za nimi bandytów. Kiedy i trzeci bandyta otrzymał w ten sam sposób kulę — resztą uciekła w popłochu.

Glen patrząc przez szparę widział, jak Turkey przywitał ich wściekłymi gestami, Zrozumiał widać całą beznadziejność dalszego ataku, który i tak pochłonął jego siedmiu najlepszych ludzi.

W tej samej chwili z lewej strony domu rozległy się jakieś trzaski i okrzyki. Glen domyślił się, że to ludzie Calaverasa ukryci w jego domu przeszli do zbrojnej akcji. Pozostawił przy oknie June, sam zaś przeszedł do okna znajdującego się w lewym rogu pokoju.

Na ulicy w kałużach krwi leżało kilku mieszkańców White Hills. Tu i ówdzie widać było ludzi ładujących spiesznie karabiny i strzelających w okiennice willi Calaverasa.

Mieszkańcy White Hills nie mieli teraz już wyboru — musieli walczyć lub umrzeć! Ta świadomość czyniła nawet z największych tchórzy bohaterów.

Nagle gruchnęła z willi Calaverasa druga salwa. Zaczęła się regularna, obustronnie zaciekła strzelanina.

Tymczasem Turkey przeszedł do ponownego natarcia.

Robles przygotował się spokojnie do zdecydowanej obrony; Położył obok siebie na stole dwa karabiny i oba kolty. Dwadzieścia kul czekało na swe ofiary! Niedługo zresztą!

Dwa razy strzelił bez widocznego skutku, lecz następnie trafił trzykrotnie lepiej. Szybko podał karabin June.

June wzięła go drżącymi rękoma.

Robles bez chwili zwłoki złożył się z drugiego karabinu. I znów huknęły strzały. Opróżnił cały magazynek. W ogrodzie zaścieliło drogę sześć trupów, mimo to jednak ludzie Turkeya zbliżali się coraz bardziej.

Było to w pewnej mierze dla tak doświadczonego westmana jak Robles nawet na rękę, ułatwiało mu bowiem posługiwanie się koltami.

Pierwszym bandytą, którego wziął sobie teraz na cel Glen, był sam Turkey. Kula trafiła go w pierś przeszywając na wylot. Ten sam los spotkał i trzech jego dalszych towarzyszy.

Desperados pienili się z wściekłości. Cofnęli się w bezpieczne miejsce i zaczęli obstrzeliwać stamtąd okna domostwa Farleya gradem karabinowych kul.

Glen uczuł nagle piekące uderzenie w policzek. Czuł, że jest ranny. Pomacał dłonią twarz i stwierdził, że kula zdarła mu tylko naskórek nie naruszywszy ani mięśni, ani kości. Krew jednak ściekała z rany strugami.

June ujrzawszy lejącą się strugami krew, krzyknęła. Glen zniecierpliwionym gestem wskazał jej jednak, by podała mu świeżo naładowany karabin.

Ludzie Turkeya usunęli się teraz poza linię strzału. Jakiś drab objął nad nimi komendę — tak przynajmniej wydało się Glenowi obserwującemu bandytów.

Debatowali nad czymś żywo. Prawdopodobnie sprzeczali się jaką obrać taktykę. Śmierć przywódcy wprowadziła w ich szeregi widoczny chaos.

Glen skorzystał z powstałej chwilowo pauzy i sprawdził, co się dzieje po drugiej stronie miasta.

Toczyła się tam zaciekła walka.

Mieszkańcy White Hills tkwili za pośpiesznie skleconymi barykadami i ostrzeliwali willę Calaverasa. Gdyby nie akcja Glena, ludzie Turkeya mogliby spokojnie zajść mieszkańców White Hills od tyłu.

Sytuacja była krytyczna, lecz nie beznadziejna.

Jak długo udawało się Roblesowi trzymać ludzi Turkeya w szachu, nie mogli oni zaatakować mieszkańców White Hills. Sytuacja ta musiała jednak ulec zmianie z nastaniem nocy.

„Jeśli Wolson nie zdąży na czas — pomyślał Robles — położenie będzie bez wyjścia”.

Ludzie Turkeya; mimo zaprzestania ognia, nie zamierzali bynajmniej zrezygnować z dalszej walki. Na sposób indiański zaczęli pełzać po ziemi. Gdy jednak część posuwała się naprzód, druga przygotowywała broń do strzału. Nie upłynęło nawet dziesięć minut, gdy strzelanina rozpoczęła się od nowa.

Glen obliczył dokładnie, jak długo będzie trwał ten ich manewr. Sam w pojedynkę niewiele mógł zdziałać na dłuższą metę. Bandyci posuwali się tak szeroką tyralierą, że Glen mógł dostrzec zaledwie dwóch, trzech przeciwników.

Tymczasem zapadał zmierzch. Sprzyjało to bandzie Calaverasa.

Z wolna poruszające się postaci desperados trudno było dojrzeć pośród krzewów i zabudowań. Kule padały bez przerwy, waląc w prymitywnie zabarykadowane okna. Glen mógł teraz tylko z trudem celować. Pierwszy raz w życiu serce zabiło mu ze strachu.

Spojrzał ukradkiem na June.

Twarz dziewczyny była biada jak kreda.

— Jesteś mi już teraz niepotrzebna, little June — powiedział Glen.

Usiłował nadać swemu głosowi spokojne brzmienie.

— Wyjdź prędko na dach i wciągnij za sobą drabinę!

June potrząsnęła przecząco głową.

— Nie zrobię tego Glen! Zostanę przy tobie!

— Musisz stąd pójść! — zawołał Glen.

Głos jego brzmiał szorstko.

— Idź, mówię ci! — powtórzył.

— Nie, nie pójdę! — upierała się June.

— Damned! Dziewczyno, słuchaj, u licha!

Glen liczył się z tym, że lada chwila ludzie Turkeya przypuszczą szturm do wejściowych drzwi.

June spojrzała mu wprost w oczy. W tym spojrzeniu wyczytał wszystko, czego mężczyzna mógł pragnąć od ukochanej kobiety.

Ciemniało coraz bardziej.

„Koniec już" — pomyślał. Tylko odsiecz Wolsona mogła ich uratować, ale szeryfa nie było widać. Obejrzał się raz jeszcze, by stwierdzić, czy June posłuchała jego rozkazu. Nie dostrzegł jej. W pokoju panowała już zupełna ciemność.

Salwy karabinowe nie ustawały — co więcej: wzmagały się coraz bardziej.

Glen nie był już w stanie zapobiec temu, że część ludzi Turkeya przedostała się na tyły obrońców White Hills. Strzelał dalej spokojnie i równocześnie. Ani razu nie zadrżała mu ręka, jakkolwiek sytuacja wydawała mu się zupełnie beznadziejna.

Nie czuł nawet, jak jakaś kula przeszyła mu lewe ramię. Dopiero po chwili opadło mu ono bezwładnie. Zagryzł wargi do krwi i strzelał dalej.

Dostęp do bramy zasłany był rannymi i zabitymi. Raz po raz zmieniał Glen pozycję przy oknie — zdawał sobie sprawę, że nie wytrzyma już długo tego regularnego i wściekłego oblężenia. Wszędzie czyhała nań śmierć. Odruchowo cofał rękę, gdy brakło mu naboi i za każdym razem czuł drobną dłoń June, która podawała mu nowe ładunki.

Nagle ujrzał, jak dwie ciemne postaci rzuciły się ku drzwiom wejściowym.

Strzelił raz i drugi.

Chybił jednak.

Ręka mdlała mu z wyczerpania.

Słychać było uderzenia toporem w dębowe drzwi wejściowe.

— Koniec — jęknął Glen. — June, kochana June — błagam cię, spróbuj uciec tylnymi drzwiami, przez pola, błagam cię, ukr...

Nie dokończył. Poczuł w gardle smak krwi.

Nagle rozległ się tętent koni.

Glen ujrzał nadjeżdżających szerokim łukiem jeźdźców z pochodniami.

Przypuszczał, że to Wolson ze swymi ludźmi.

— June — zawołał Glen — June! Nadchodzi pomoc!

Mylił się jednak.

To byli ludzie Calaverasa! Podpalacze

Glen opuścił rewolwer.

— To nie oni! Wszystko przepadło, June!

— Daj mi twój rewolwer, Glen — powiedziała teraz zdecydowanym głosem June.

Z dołu dolatywał piekielny wrzask.

To ludzie Turkeya zdołali wywalić frontowe drzwi i tłoczyli się na schodach.

Glen pochwycił June za ramię i wciągnął ją do drugiego pokoju, po czym zaryglował drzwi.

June ścisnęła mu dłoń.

— Z tobą do śmierci! — szepnęła.

— Kochana June...

Te dwa słowa zawarły w sobie wszystko, co chciał i mógł jej powiedzieć.

Do uszu Glena doleciały znowu odgłosy kopyt końskich. Podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać.

Tym razem nie mylił się chyba... To musieli być ludzie Wolsona!

— June... June... to zdaje się...

Nie zważając na niebezpieczeństwo wychylił głowę przez okno. Wytężał wzrok. Nie mógł niczego rozeznać dokładnie, ale nieustanne strzały i kierunek błyskającego ognia dowodził, że z obu stron miasta nadciągała odsiecz.

Glen odetchnął głęboko. Teraz wybiła godzina Calaverasa i jego bandy!

Wetknął swe rewolwery do olstr, pochwycił karabin i stanął na parapecie okna.

— Już dosyć walczyłeś! — zawołała prosząco dziewczyna. — Daj już spokój!

Glen nie odpowiedział jej.

Dopiero po chwili szepnął:

— Słyszysz, mała June? To Wolson ze swymi ludźmi! Niebezpieczeństwo minęło! Zostań tu — ja muszę iść!

— Zostań Glen! Błagam cię, zostań!

— Nie bój się, June! „Stepowe Wilki” nie mają teraz czasu oblegać dalej domostwa. Wrócę niebawem! Good bye, little June!

Oparłszy się zdrowym ramieniem o framugę okna zeskoczył na dół.

Skulony pobiegł wzdłuż płotu.

W ciemności dostrzegł trzy postaci strzelające w stronę stepu.

— „Wilki" — szepnął do siebie.

Przykucnął i złożył się do strzału.

Strzelił trzykrotnie ze skutkiem — trzy ciała zwaliły się na ziemię. W parę chwil potem dwóch innych bandytów podzieliło los swych towarzyszy.

Kilku ludzi broniących się na barykadach przyłączyło się do Glena.

Wzięte w dwa ognie, nie mogły niedobitki bandy Turkeya stawiać większego oporu. Po upływie dziesięciu minut drogę zaległy ciała zabitych i ciężko rannych.

Tymczasem drugi oddział drużyny pościgowej podszedł do ataku na dom Calaverasa.

Z narażeniem życia nawiązał Glen łączność z ludźmi Wolsona. Zobaczywszy Glena, Wolson poklepał go po ramieniu.

— No, myślę, że będziemy wnet gotowi! Z trzech okien przestali już strzelać...

— To może być równie dobrze podstęp — odparł Glen, obserwując równocześnie drzewo znajdujące się w pobliżu willi Calaverasa.

Konary tego stuletniego dębu dotykały niemal dachu budynku, w którym zamknęli się bandyci.

— Ktoś umiejący się wspinać, mógłby z łatwością przedostać się na dach willi — powiedział Glen. — Spróbuję wdrapać się i zadać im bobu!

— Niezła myśl — odparł po chwili zastanowienia Wolson. — Wydam moim ludziom odpowiednie instrukcje.

Glen przedostał się szybko na drugą stronę ulicy i zaczął wdrapywać się. Oblężeni nie mogli go dostrzec, ponieważ ludzie Wolsona bez przerwy ostrzeliwali okna willi. Po upływie paru minut znalazł się Glen na dachu. Po omacku szukał jakiegoś wejścia.

Odkrył wreszcie ruchomą klapę. Nie wahał się długo i przecisnął się przez mały otwór dachowy. Znalazł się na strychu.

Przystanął w milczeniu. Nasłuchiwał jakiś czas, po czym zapalił zapałkę.

Wokoło znajdowało się mnóstwo rupieci, spoza których wyłoniły się drzwi. Glen podszedł bliżej i nacisnął klamkę.

Drzwi otwarły się.

Znalazł się teraz w wąskim korytarzu, z którego prowadziły w dół kręte schody. Z dołu dochodził go odgłos strzałów i przekleństw. Trzymając kolty w obu dłoniach zaczął ostrożnie schodzić na dół.

Znalazł się na pierwszym piętrze.

Rozejrzał się wokoło.

Przy oknie znajdującym się na korytarzu leżało trzech zabitych. Okiennice podziurawione były setkami kul. Na podłodze potworzyły się kałuże krwi.

Wszedł do pokoju.

Oczom jego przedstawił się ten sam widok.

Na ziemi leżało czterech ludzi. Nie ruszali się. Jeden rzut oka przekonał Glena, że i ci ludzie nie żyli. Trzeci pokój był zupełnie pusty. Widocznie bandyci znajdowali się teraz w parterowych pokojach. Uwagę Glena zwróciły na wpół uchylone drzwi, z których dolatywała smuga światła. Skradając się jak kot, podszedł Glen aż do samych drzwi.

Przystanął.

W pokoju zobaczył mężczyznę zwróconego doń plecami. Glen poznał w nim natychmiast przywódcę bandytów, Calaverasa. Calaveras stał przed wpuszczoną w mur szafą, w której znajdowała się żelazna, ogniotrwała kasa.

Pomimo krytycznej sytuacji Calaveras był spokojny i zrównoważony. Glen widział, jak przywódca bandy spokojnie opróżniał zawartość kasy kładąc ją obok na stole. Były to grube pliki banknotów. Prawdopodobnie myślał o ucieczce.

Glen mógł zastrzelić go jak psa, ale nie chciał tego uczynić, nie dając mu szansy obrony.

— Halo, szefie! —powiedział Glen spokojnym głosem. — Może zechce się pan łaskawie obrócić — mam z panem do pomówienia maleńkie słóweczko!

Teczka, którą trzymał, wypadła Calaverasowi z rąk.

Znieruchomiał.

W migotliwym świetle świecy poznał swego śmiertelnego wroga i dostrzegł wymierzone weń lufy rewolwerów.

Opanował się jednak.

— Nie wiedziałem, Robles, że mam zaszczyt gościć cię pod moim dachem. Ale cieszę się, cieszę się naprawdę z tego spotkania.

Umilkł, nasłuchując, co się dzieje na dole.

Chce zyskać na czasie — pomyślał Glen.

— Jak pan się tu dostał? — zapytał bawiąc się pozornie bezmyślnie swymi rękami Calaveras.

Lecz Glen nie spuszczał zeń oka.

Wiedział, że nadchodzi teraz rozstrzygająca chwila.

— To obojętne, Calaveras, jak wszedłem, ważniejsze jest to, że pan już stąd nie wyjdzie — odparł Glen cedząc każde słowo. — Nie ma pan teraz już żadnej szansy! Najmniejszy ruch, a zastrzelę pana jak psa!

— No, no — nie tak gwałtownie — szydził Calaveras. — Możemy przecież ubić jeszcze mały interes! Mam tu moc pieniędzy — starczy dla nas dwóch! Co o tym sądzisz? Proponuję ci flfty-fifty, pół na pół! Myślę, że to uczciwa gra?! Możemy ujść stąd obaj!

Fala gorącej krwi zalała Glenowi mózg.

— Nie jestem złodziejem, Calaveras! Hands up i jazda! Odwróć się twarzą do ściany! Mam już dość tej zabawy!

— No, no! Powoli! Ja też mam coś do powiedzenia! — zawołał Calaveras.

Jeszcze nigdy w życiu nie widział Glen człowieka, który by tak szybko potrafił dobyć broni, jak to teraz uczynił Calaveras. Mimo to Glen był o jedną setną sekundy szybszy. Zanim Calaveras zdążył pociągnąć za cyngiel, gruchnął rewolwer Glena.

Broń wypadła Calaverasowi z rąk. Zatoczył się jak pijany i upadł. Kula Glena przeszyła mu serce.

Glen podszedł do stołu, na którym leżały pieniądze.

Paczki były posegregowane i zaopatrzone napisami: „Poczta w Jumie 16000", „Bank w Blackwood 18000", „Neef Bloodin 3400”.

„Hm! Skrupulant, do diabła!” — pomyślał Glen.

Na jednej z paczek widniał napis „Chess Shearer — akcja indywidualna 7000”. Glen wrzucił resztę pieniędzy do kasy, zamknął ją i zabrał klucz.

Paczkę z dolarami wetknął spokojnie do kieszeni. W tej samej chwili usłyszał na schodach jakieś kroki.

— Halo, szefie! Jednym susem znalazł się Glen przy drzwiach. Na progu stał jakiś bandyta. Człowiek ten zobaczywszy Glena, osłupiał ze zdumienia. Chwilę tę przypłacił życiem. Nie czekając ani chwili Glen wypalił, kładąc go na miejscu trupem.

Strzelanina na dole ustała.

Zapanowała śmiertelna cisza.

Także na zewnątrz ustały strzały.

Glen czekał.

Nagle otwarły się drzwi frontowe. Zdesperowane niedobitki bandy Calaverasa postanowiły przedrzeć się przebojem. Z karabinami w rękach z furią wypadli na dwór, ale Wolson, który był i na to przygotowany nie zawahał się ani chwili.

Dał sygnał.

Zaczęła padać salwa za salwą.

Nikt z mieszkańców White Hills nie mógł później powiedzieć, że bandyci tanio sprzedali swe życie, żaden jednak z desperados nie uszedł cało. Padli do ostatniego.

X

Świtało.

Wschodzące słońce oświetliło złotymi promieniami podziurawione kulami domostwa White Hills. Wszędzie wrzała gorączkowa praca. Skrupulatny Wolson opieczętował willę Calaverasa i nie na darmo — wszak w kasie znajdowało się tam siedemdziesiąt tysięcy dolarów!

Miasto okrywała żałoba. Czterdziestu trzech mieszkańców White Hills postradało w walce z bandytami życie — drugie tyle stanowili ciężej i lżej ranni.

Wolson nie ustawał w poszukiwaniu Roblesa, który niepostrzeżenie opuścił willę Calaverasa. Po długiej wędrówce znalazł go wreszcie.

— Halo!— zawołał śmiejąc się. — Muszę zapisać sobie dokładnie pańskie nazwisko!

— Po co? — zapytał Glen?

— Po co?! Pan jeszcze pyta? Muszę chyba, u licha, podać władzom federalnym do wiadomości, komu zawdzięczają zlikwidowanie bandy „Stepowych Wilków”! Damned! Po co!? To dobre!

Wolson sapał klnąc i zanosząc się na przemian śmiechem.

— Byłoby mi wstyd — ciągnął dalej Wolson — gdybym po tym wszystkim nic dla pana nie zrobił. Zaproponuję władzom, by mianowały pana szeryfem White Hills. Jeśli jest ktoś, kto nadaje się na objęcie tego stanowiska — to właśnie pan! Ludzie z White Hills dowiedzieli się dzisiaj, komu mają do zawdzięczenia ocalenie i dzięki komu tego obskurnego miasta całkiem nie wzięli diabli! Niech pan popatrzy — ci ludzie wstydzą się spojrzeć panu w twarz! Ich uprzednie głupie zachowanie nie pozwala im zbliżyć się do pana.

— Nie mam do nich żalu! — zaśmiał się Glen.

— Zdradzę panu, że projekt mianowania pana szeryfem White Hills jest ich własnym pomysłem!

— Pięknie — zastanowię się jeszcze nad tym!

— Aha — jeszcze jedno! Szuka pana pastor Farley! Idź pan! Może chce panu za coś podziękować, co?

Wolson mrugnął nań okiem.

Robles poczerwieniał jak młoda dziewczyna.

— Szeryfie — może mi pan na parę dni pożyczy konia jednego ze swych ludzi? Mój kasztan jest u pana, a ogier, którego daliście mi w Wygdane padł od kul bandytów.

— Ależ naturalnie, Mr Robles! — zawołał Wolson z widoczną radością, że może przysłużyć się młodemu człowiekowi. — Proszę — niech pan sobie sam wybierze!

Uścisnął Roblesowi dłoń, po czym rozeszli się.

Glen skierował się w stronę domu Farleya.

Stary pastor zajęty był właśnie przygotowywaniem niedzielnego kazania. Zobaczywszy Glena wstał i podszedł mu naprzeciw.

— Jestem pańskim dozgonnym dłużnikiem, panie Robles — powiedział wzruszonym głosem! — Wiem wszystko. Dziękuję panu z całego serca! Dziękuję za opiekę nad June i za obronę miasta!

— To było mym obowiązkiem — odparł Glen. — Po prostu zwyczajnym ludzkim obowiązkiem!

— No, no! Pięknie! A cóż zamierza pan robić teraz?

— Najpierw powrócę do obozu robotników drogowych — tam, gdzie pracuje pański syn, Tommy...

— Zobaczy pan... Tommy'ego?! — zapytał cicho pastor.

— Tak!

Przez chwilę mężczyźni milczeli.

— Powiedz pan Tommy'emu, że... Przebaczam mu z całego serca...

Głos załamał się pastorowi. Opanował się jednak i ciągnął dalej:

— Przebaczam mu wszystko! Powiedz mu pan, że... mam nadzieję niebawem go zobaczyć. Niech przyjeżdża natychmiast! Ja już jestem stary! Panie Robles — nie wiem, jak długo jeszcze pożyję, a tak bardzo pragnę zobaczyć jeszcze chłopca!

Glen chciał coś odpowiedzieć, ale nagle otwarły się drzwi z kuchni i June wbiegła do pokoju.

Zarzuciła ojcu ramiona na szyję i zawołała:

— O, daddy! Posyłasz po Tommy'ego? Jakże się cieszę!

— June! Zdaje się, że podsłuchiwałaś?

— Tylko tym razem, daddy!

Podeszła teraz do Glena.

— Glen, za to co pan uczynił, nie mam w ogóle słów podzięki!

— Tak, tak — dorzucił pastor. — No, ale nie odpowiedział mi pan jeszcze, co będzie z panem?

— Sam jeszcze nie wiem!

— Słyszałem, że mieszkańcy White Hills chcą ofiarować panu urząd szeryfa. Ja na pańskim miejscu — zgodziłbym się.

Glen spojrzał na June.

June zaczerwieniła się i spuściła oczy.

— Zastanowię się — powiedział Glen. — Chciałbym jednak mieć parę dni czasu do namysłu!

— Dobrze! Pomówię z ludźmi! Kiedy pan jedzie?

— Dzisiaj po południu.

— Więc jedź pan z Bogiem, Mr Robles! Niech cię Bóg błogosławi. Wracaj jednak jak najrychlej.

Ktoś nagle zawołał pastora.

June i Glen pozostali sami.

— Żegnaj June — powiedział patrząc jej w oczy.

— Glen, może jednak przyjąłbyś propozycję mieszkańców White Hills?

— Może... — odparł — ale wpierw muszę wiedzieć, czy naprawdę zależy ci na tym, bym wrócił?

— Och, Glen! — zaśmiała się June. — Ty jesteś prawdziwym mężczyzną — czy pytałeś mnie o to?

— A więc chcesz?! Weźmiemy ślub?

Stanęła na koniuszkach palców i zarzuciła mu ręce na szyję: Glen ucałował jej rozchylone, wiśniowe usta.

W dwie godziny później ruszył w drogę.

Wczesnym rankiem znalazł się w campie robotników drogowych. Natychmiast otoczyły go całe rzesze.

— Boys! Mam wasze pieniądze! — zawołał Glen.

— Wszystko?! — pytały wzburzone głosy.

Zaczęli się tłoczyć i z trudem tylko udało się Sandy'emu zaprowadzić porządek.

Glen rozglądał się za Tommym.

Nie było go.

Zaczął szczegółowo opowiadać o swych przeżyciach i ostatniej zażartej walce ze „Stepowymi Wilkami". Nagle jakiś głos w drzwiach zapytał:

— A gdzie była June?

Glen obejrzał się. W drzwiach stał Tommy.

Po paru minutach udało się wreszcie Tommy'emu przedostać do Glena.

Rzucili się sobie w ramiona.

— No, powinienem cię zboksować! — zawołał Glen. — Ojciec pragnie byś wrócił...

— Naprawdę...?

— Tak, nie żartuję!

— Glen, pojadę z tobą...

— No, chyba! Wracam także do White Hills — chcą mnie tam zrobić szeryfem!

— No, Glen! Czy tylko do tego ci tak śpieszno?

To mówiąc Tommy parsknął śmiechem.

KONIEC